

WYDANIE ŚWIĄTECZNE

www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 52 (1094)

21-27.12.2020

Cena 7,50 zł

(w tym 8% VAT)

CO ŁĄCZY POLAKÓW?

**PROF. ZBIGNIEW
MIKOŁEJKO**
RELIGIJNOŚĆ
OD ŚWIĘTA

**PROF. CEZARY
SZCZYLIK**
ONKOLOGIA
W PANDEMII

MARTA DYMEK
WEGAŃSKIE
ŚWIĘTA

MICHAŁ RUSINEK
DISCO POLO
BEZ LITOŚCI

**ANDRZEJ
GRABOWSKI**
ZIELONE
DRESY FERDKA

**ZAKOPANE
GÓRALE
W ROZPACZY**



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115

9 771509 311003

52 >

e-koleda, koleda!



sklep.mleczko.pl

CYTATY

**SIOSTRA
MAŁGORZATA
CHMIELEWSKA,**
Wspólnota Chleb Życia
*Trzeba odwagi,
by być przyzwoitym.
Przyzwoitość bywa
ośmieszana.*
„Twój Styl”

JERZY URBAN,
redaktor naczelny
*Zamiast „Ody
do radości” Europa
powinna śpiewać
odę do ciemnoty.*
„Nie”

ZIEMOWIT SZCZEREK,
pisarz
*Lewicy nie wolno
mówić, że „świat
tak robi, to my też
musimy”.*
„Wolna Sobota”
magazyn „Gazety Wyborczej”

ADAM GRZESZAK,
publicysta
*Orlen będzie sam
wydawał gazetę,
sam je dystrybuował
i sam rozdzielal
między nie reklamy.*
„Polityka”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Ducha nie gaście

Kończy się ten niezwykły rok. Pandemia rozwalila nasze codzienne życie. W jakimś stopniu dotknęła wszystkich. Najostrzej tych, którzy nie przeżyli choroby. Przerażająco długa jest lista naszych Czytelników i Przyjaciół, których w ostatnich miesiącach pożegnaliśmy nekrologami.

Oby przyszły rok był dla nas łaskawszy. Sama nadzieja jednak nie wystarczy. Trzeba będzie wielkiej mobilizacji ze strony instytucji państwowych. Ale nawet najsprawniejsze instytucje nie zastąpią gotowości Polaków do szczepień. A już na starcie jest z tym fatalnie. Do licznych podziałów, jakie są w naszym kraju, doszedł kolejny. Na tych, którzy będą się szczepili, i na pozostałych. Skuteczność apeli jest wątpliwa. Tak jak w sprawach maseczek i unikania miejsc, gdzie można się zarazić. Skutki widzimy codziennie. Makabryczna liczba zgonów robi wrażenie głównie na tych, którzy i tak poddali się restrykcjom. A co z pozostałymi? Z tymi, którzy na zwróconą im uwagę pokazują środkowy palec? Jak traktować lekarza czy pielęgniarkę, którzy deklarują, że nie będą się szczepić? A nauczycieli? Jak ma funkcjonować instytucja czy zakład pracy, gdzie będą dwie tak różne grupy pracowników?

Czy musi dojść do kolejnej, jeszcze większej fali zachorowań, by była akceptacja dla obowiązkowych szczepień? Taka forma

wolności wyboru, której efektem może być śmierć ludzi zarażonych, jest absurdem. Nie znajduję argumentu za mnożeniem z tego powodu ofiar. Tu już nie chodzi o podziały polityczne, klótnie ideologiczne, powszechną wrogość i egoizm. Na szali jest to, co najważniejsze. Ludzkie życie. Zmiany mogły się zacząć od autorefleksji władzy.

*Drodzy Czytelnicy
i Przyjaciele,
życzymy Wam dobrego
zdrowia i miłych, nawet
jeśli samotnych, świąt.
Ducha jednak nie gaście.
Jesteśmy z Wami.
Zespół PRZEGLĄDU*



Ale gdzież tam! Nawet pandemia nie wpłynęła na rządzących, by przestali judzić, szcuć jednych na drugich i zarządzać państwem poprzez kolejne kryzysy. Zająci sobą, nie patrzą na skutki. Na dewastację psychiki ludzi. Na pogłębianie ich lęków. Na przygnębiające poczucie samotności.

Zaradzić temu musimy sami. Każdy na miarę własnych sił i możliwości. Mamy przecież telefony. W tych dniach nie mogą milczeć.

CZYTAJ I WSPIERAJ



Drodzy Czytelnicy, nie piszemy pod dyktando polityków ani reklamodawców. Jesteśmy częścią wspólnoty ludzi myślących podobnie.

**Dzięki Waszemu wsparciu
rozwijamy naszą fundację.**

Wydajemy kolejne książki i PRZEGLĄD. Realizujemy program PAMIĘĆ. Rozbudowujemy stronę www i na Facebooku oraz kanał na YouTube.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy o darowizny na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta

Każda złotówka ma znaczenie!

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Religijni od święta**
– rozmowa z prof. Zbigniewem Mikołajką
- 12 Co jeszcze łączy Polaków**
Na relacje trzeba ciężko pracować
- 15 Góralu, czy ci nie żal?**
Zakopane w rozpacz
- 18 Jeden onkolog i 70 pacjentów dziennie**
– rozmowa z prof. Cezarym Szczylikiem
- 22 Takich ran nigdzie nie zobaczysz**
Medycy na ulicy

ZAGRANICA

- 26 Pielgrzymów w tym roku nie będzie**
Pustki w Jerozolimie
- 28 Wielka śmierć wielkich miast**
Ucieczka z amerykańskich aglomeracji

HISTORIA

- 32 Wojna kleru z Witosem**
Mandaty dla Piasta

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 36 Lepiej wspólnie mówić**
Do rządzących:
poszukajcie w sobie empatii

KULTURA

- 38 Z dystansu niektóre rzeczy lepiej widać**
– rozmowa z Michałem Rusinkiem
- 41 Culturalia**
- 42 W głowie mam cały czas głos Ferdka**
Andrzej Grabowski
w serialu wszech czasów
- 58 Tamara Łempicka – królowa art déco**
- 66 Cenna sztuka najnowsza**

OBSERWACJE

- 46 Prezentowe trendy 2020**
Stawiamy na relaks i wygodę
- 48 Gęś z kalafiora**
– rozmowa z Martą Dymek

SPORT

- 52 Zarobki futbolistów**
bardziej frapujące niż gra
Spadek apetytów i stawek

EKOLOGIA

- 56 Nieludzkim głosem**
Zwierzęta są gadułami

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Ducha nie gaście
- 25 Andrzej Romanowski**
Triumf Iketaona
- 31 Roman Kurkiewicz**
Pierogiem, bigosem polskość malowana
- 35 Tomasz Jastrun**
Wesele i pogrzeb
- 37 Andrzej Szahaj**
Korporacje internetowe
i władza nad światem
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkała**
Jabłko Benjamina
- 55 Wojciech Kuczok**
Pójdźmy wszyscy do stołu



22
KRAJ

TAKICH RAN NIGDZIE NIE ZOBACZYSZ

Medycy na ulicy

48

OBSERWACJE

GĘŚ Z KALAFIORA

– rozmowa
z Martą Dymek



58

KULTURA

TAMARA ŁEMPICKA –
KRÓLOWA ART DÉCO

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS, ADOBE STOCK



Wiesław Kot
Wygrani i przegrani w kulturze

Krynica Morska po sezonie

Dziewięć godzin na SOR-ze



f Co z tą policją

Dr Krzysztof Liedel mówi, że problemem dla policjantów jest odbiór ich działań w lokalnym środowisku, wśród przyjaciół, znajomych. A co to za biadolenie? Jeżeli ktoś wybiera pracę w siłach prewencji, to idzie na służbę PiS, świadomie decyduje się wspierać autorytaryzm. Gdy kandydat na policjanta tego nie wie, to jest idiotą. A jak ktoś robi to z przekonania, to jego sprawa. Tak czy siak, powinien wiedzieć, że kiedyś może stanąć przed komisją weryfikacyjną. I będzie jak w filmie Pasikowskiego.

Miron Piwowar

Kiedy w 1990 r. zmieniano nazwę z milicji na policję, jakież to były nadzieje! Przez krótki czas funkcjonowało to na dobrych zasadach – policja służyła obywatelom i walczyła z przestępczością. Ugrupowania prawicowe szybko jednak doszły do wniosku, że tak nie może być, bo na stanowiskach muszą być ludzie, którzy będą nam służyć. Tak się stało, stąd czystki w policji. Dzisiaj na wszystko jest za późno, bo przyszli tacy ludzie jak ci na proteście kobiet. Oni będą pałkami okładać kobiety, byle podliznąć się władzy. Teraz władza zyskuje, a obywatel traci.

Andrzej Kościński

f Jakich zmian wymaga polska policja?

Jedyną zmianą, jakiej wymaga polska policja, jest ciągle przypominanie każdemu policjantowi, że zadaniem



policji jest ochrona obywateli przed przestępcami – zarówno tymi z rynsztoka, jak i tymi z piedestału oraz wszystkimi ze szczebli pośrednich.

Olaf Nowaczyk

Policja przeszła już tyle zmian, czystek i etapów selekcji negatywnej, że tylko pozytywistyczne hasło pracy u podstaw może przynieść jakieś efekty. A i to po jakimś czasie. W razie ewentualnej zmiany orientacji rządzących nie należy fundować policjantom kolejnej czystki, lecz najpierw zdefiniować jasno i wyraźnie cele tej formacji. Czy ma być służebna wobec społeczeństwa, czy represyjna jak obecnie. Różnica może się wydawać w pewnych aspektach działań niewielka, ale to chyba ważne, czy działamy z miłości do dobra, czy z nienawiści do zła. Najważniejsza jest motywacja podejmowanych działań. I tę świadomość trzeba zaszczepić w obecnych i potencjalnych funkcjonariuszach, a potem wokół niej stopniowo odbudowywać tę formację.

Nie chcę w ten sposób powiedzieć, że policja będzie mieć pałki z gąbki i różowe kajdanki, tam, gdzie trzeba, interwencje muszą być zdecydowane. Natomiast demonstrowanie brutalności, siły i władzy, którą daje mundur, trzeba wykluczyć, zwłaszcza wobec słabych, niezdolnych do obrony lub obnoszących swój pacyfizm.

Zbigniew Derejski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Największa na świecie szopka stanęła na Plaza del Ayuntamiento w Alicante w Hiszpanii. Figura Józefa ma 18,5 m, Matki Bożej – 10,5 m, Dzieciątko Jezus – 3 m, a zajęły 183 m kw. Dzięki temu dzieło José Manuela Garcíi Esquivy trafiło do Księgi rekordów Guinnessa.



Agnieszka Holland została przewodniczącą Europejskiej Akademii Filmowej.

Mariusz Wilczyński, reżyser filmu „Zabij to i wyjedź z tego miasta”, otrzymał Złote Lwy, główną nagrodę na festiwalu w Gdyni. Po raz pierwszy nagrodę otrzymała animacja. Producentkami filmu są Ewa Puszczyńska i Agnieszka Ścibor.

Marian Turski, kierownik działu historycznego „Polityki”, otrzymał Nagrodę Honorową im. Sérgio Vieira de Mello za działania na rzecz ochrony praw człowieka.

Maciej Stuhr po siedmiu latach walki wygrał z „Super Expressem”, który musiał go przeprosić za kłamstwa pod jego adresem.

W czasie 337 aukcji sztuki, które odbyły się w 2019 r., obroty sięgnęły prawie 300 mln zł. W tym roku szykuje się duży wzrost sprzedaży (portal Artinfo.pl).

Piotr Sierzputowski, trener Igi Świątek, został uznany przez WTA (Women's Tennis Association) za Trenera Roku 2020.

Magdalena Pawlak, prezes Fundacji Dorastaj z Nami, i wolontariusze opiekują się dziećmi, które straciły rodzica w trakcie pełnienia służby publicznej. W ciągu 10 lat było to 262 podopiecznych, aktualnie zaś fundacja ma ich 131.



67% chorych na COVID-19, którzy wymagają podłączenia do respiratora, umiera (Polskie Towarzystwo Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych).

Prof. Alojzy Nowak, rektor UW, mimo wielkich problemów uczelni **ma jeszcze czas na członkostwo w radach nadzorczych**: Jastrzębskiej Spółki Węglowej, Banku Millennium, NORGE, ZE PAK SA oraz na funkcję doradcy prezesa PZU SA. Pensja rektora – 36 tys. zł – nie wystarczy?

Jadwiga Emilewicz, była wicepremier i największe rozczarowanie Jarosława Gowina, **miała jednak jakiś sukces**. Z puli 15,5 mln zł premii dla pracowników ministerstw i urzędów centralnych Emilewicz na swoich wydała 12 mln zł.

Marcin Warchoł, wiceminister sprawiedliwości i polityk Solidarnej Polski o nieznanych sukcesach w pracy, stał się ekspertem od leczenia COVID-19. Lansuje w mediach niezbadany lek, amantadynę. A jak będą ofiary, to kto go osądzi?

O 60 osób mniej zgłosiło się do seminariów duchownych i zgromadzeń zakonnych. W seminariach diecezjalnych naukę zaczęło 289 alumnów. Do zgromadzeń zakonnych trafiło 149 osób.

Marcin Ociepa, wiceminister obrony narodowej, wiceprezes Porozumienia, jest szczęściarzem. Dwie jego organizacje dostały dotacje państwowe. Łącznie 2,5 mln zł.

PRZEBŁYSKI



Lobbysta Mastalerka

Każdy chce mieć swojego Hofmana. Cudotwórcę, który potrafi łączyć biznesmenów mających kłopoty z politykami mającymi potrzeby. Skoro PiS ma Adama Hofmana, to bez-

objawowy prezydent Duda postawił na Marcina Mastalerka. Podobnie jak Hofman Mastalerek też ma firmę zajmującą się PR i marketingiem. A skoro Duda go lansuje, to biznes już wie, do kogo w razie czego warto pukać. Patent prosty. A jaki skuteczny. I kasodajny.

Gorzej z lotnością Mastalerka. Góra 50% Hofmana. Ale przecież tak, albo i gorzej, mają wszyscy protegowani Dudy.

Czaputowicz odpoczywa po rzezi

A gdzie to teraz bywa Jacek Czaputowicz? Przez złośliwców zwany naukowcem, a w realnym życiu kompletnie nieudany eksperyment prezesa K. Nieudany dla polskiej dyplomacji.

Ale nie dla Kaczyńskiego – ten może być zadowolony, że popychał do stanowiska ministra zrobiło to, po co zostało tam wysłane. Czaputowicz jak rzeźnik wyciął w MSZ ostatnich fachowców, którzy nie byli klonami PiS. Takimi, co to ani be, ani me, ani kukuryku, jak mówił Wałęsa.



Miękiszony z rady miasta

Po czym poznać radnego prawicy z dumnego miasta Warszawa? Przecież nie po pracy. Co rozumiemy, bo trudno coś robić, mając dwie lewe ręce. I głowę do potakiwania wodzom. Warszawskim radnym PiS taktyka na mięksiszona bardzo się opłaca, i to dośownie. Matka partia płaci synekurami. Radny Cezary Jurkiewicz ma robotę w Polskiej Fundacji Narodowej. Radna Olga Semeniuk jest sekretarzem stanu. Radny Błażej



Poboży też jest wiceministrem. A radny Filip Frąckowiak pracuje u Kurskiego w TVP. Praca tych radnych dla miasta to ujadanie na prezydenta Trzaskowskiego. Transmitowane na żywo w TVP Info.

Ciąg dalszy przeprosin

Trzeba mieć bardzo dobre zdrowie, dużo czasu i kasę na adwokatów. Bez tego trudno wygrać z Ringier Axel Springer Polska. Cztery lata i osiem miesięcy musieli czekać na przeprosiny Marek Działoszyński i jego syn Wojciech.

Byłego komendanta głównego policji i jego syna wreszcie przeproszono za nieprawdziwe i nierzetelne informacje. W czterech kolejnych numerach „Faktu”, od 1 marca do 4 kwietnia 2016 r., robiono z Działoszyńskich worek do bicia. I tak na okragto. Przez długie lata. Bezkarnie.





PYTANIE TYGODNIA

0 czym warto podumać w święta?

RYSZARD BAŃKOWICZ,
przewodniczący Rady Etyki Mediów

Myślę, że warto się zadumać nad tym, kiedy wreszcie uda się nam żyć w normalnym kraju – i co możemy zrobić, żeby to przyspieszyć. Natomiast jeśli chodzi o nasze podwórko, media, cenne będą przemyślenia na temat tego, czy wróci stan, w którym ich etyka jest przedmiotem troski nie tylko piszących dziennikarzy, ale także ich kierowników, naczelnych, a przede wszystkim wydawców.

DR MIRA MARCINÓW,
psycholożka, filozofka, pisarka

Z perspektywy czasu oceniam, że najważniejsze pod względem refleksyjnym były dla mnie święta, które spędziłam, przygotowując się do egzaminu doktorskiego z filozofii. Musiałam przypomnieć sobie cały egzystencjalizm i dużo myślałam o wszystkim, co związane z kruchością i skończonością naszego istnienia czy brakiem wolności. Zachęcam do stawienia czoła tym trudnym kwestiom, a więc do tego, by w święta na przekór wszystkiemu, co dzieje się wokół, zająć się myśleniem filozoficznym, choćby domorosłym. Ćwiczmy refleksję na temat spraw najważniejszych – sensu i bezsen-

su, życia i śmierci – i zachęcamy bliskich do takich rozmów. Oczywiście taka zaduma, refleksja, filozofowanie jako ćwiczenie się w umieraniu jest możliwe pod warunkiem, że wszystkie inne potrzeby zostaną zaspokojone. Wiem, że taka możliwość namysłu egzystencjalnego to luksus, którego wszystkim bym życzyła w te święta.

KS. DR ROMAN PRACKI,
*teolog, psychoterapeuta,
duchowny luterański*

Jeśli któryś polityk będzie się fotografował na tle żłóbka lub składał przy tej okazji jakieś obietnice, warto się zadumać, czy używając Dzieciątka Jezus, nie chce znaleźć szczeliny w twoim sercu dla własnej ewangelii. To, co ma do przekazania ten żydowski chłopiec ocalały z zagłady, dziecko uchodźców i w końcu robotnik budowlany, nie potrzebuje własnego radia, gazety czy telewizji. On nie zwróci się o dotację, aby głosić wartości. Nie ma takiego funduszu sprawiedliwości, grantu lub innego projektu, o który by zawniósował. Tej kruchej Ewangelii wystarczy kilku pasterzy, rybaków i ty. Jezus nie upomni się o ustawy i konstytucje gwarantujące jego wyznawcom społeczne przywileje. Sam nie zabiegał o nie ani nikomu ich nie

obiecał. Bóg zwyczajnie wkłada w twoje dłonie opłatek, aby przełamać go tylko z tym, kogo kochasz. Wtedy staniesz się częścią tej historii.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
DANUTA ROSTKOWSKA

W święta szczególnie warto oddać się namysłowi nad swoimi relacjami z bliskimi. Czy w kolejnym roku nie chcielibyśmy częściej się spotykać przy wspólnym stole, zamiast gonić za innymi sprawami? Czy prezenty, które im dajemy, nie są sposobem na zagłuszenie wyrzutów sumienia, że rodzina i przyjaciele dostają od nas za mało tego, co najcenniejsze, czyli czasu?

ARTUR PIE

Czy warto było tak pędzić, wyrabiać tyle nadgodzin, kupować kolejne rzeczy?

MAĆKO LECHITA

W święta warto podumać nad lewicowym programem społecznym i metodą zbudowania od nowa solidnego poparcia społecznego dla lewicy. Czego sobie, a także Państwu życzę serdecznie.

Not. Michał Sobczyk

Religijni od święta

Dwie trzecie Polaków nie ufa Kościołowi.
To odwrócenie proporcji z lat 90.



Rozmawia Robert Walenciak

Badania pokazują, że spada zaufanie do Kościoła, i to bardzo mocno. Czy to trwała tendencja, czy tylko chwilowa, pod wpływem różnych wydarzeń?

– To jest proces trwały, ale też kompulsywny. Pulsujący. Spójrzmy na ostatni rok. W styczniu Kościołowi ufało 39,5% Polaków, w wakacje trochę to wzrosło, po czym runęło. I teraz, mam badania z 15 listopada, spadło do najniższego poziomu w historii, do 35%. Wyównało się to z mocną nieufnością wobec Kościoła, która wynosi 32%. Dodatkowo 31% badanych deklaruje się jako obojętni, co właściwie także oznacza negację, tylko niezdecydowaną. Czyli mniej więcej dwie trzecie pytanych nie ufa Kościołowi, jedna trzecia – ufa. To odwrócenie proporcji z lat 90. Wtedy 55-65% Polaków Kościołowi ufało.

Wielka zmiana.

– I to jest, moim zdaniem, proces nieodwracalny. Może on w pewnych

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁAJKO

– filozof i historyk religii, kierownik Zakładu Badań nad Religią w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN

niewielkich granicach się zmieniać. Ale trend jest jednoznaczny.

Kościół nie ma szans, by się odbić?

– Musiałby w Kościele, i nie tylko w Kościele, nastąpić jakiś cud odmienienia. Ale właściwie, jak się przyglądam, już chyba nikt tego cudu odmienienia nie oczekuje. Wśród katolików, ludzi Kościoła, dominuje rozgoryczenie. Rozgoryczenie instytucją i różnymi formami jej obecności w naszym życiu. Postawami i deklaracjami ważnych ludzi Kościoła.

To nie jest Irlandia

Czyli to nie jest taki zwrot, jaki mieliśmy w Irlandii, tylko raczej powolna erozja wpływów?

– Wymywanie... Przy czym to wymywanie też ma swoją logikę. Powołam się na badania Europejskiego Sondażu Społecznego, w którym Polska – mój instytut – brała udział. Ponawia się je co dwa lata. W tym roku poddaliśmy analizie kraje o katolickiej dominancie kulturowo-religijnej albo takie, w których katolicyzm stanowi znaczny odłam wierzących. I można powiedzieć tak: w poprzednim podsumowaniu dla Europy, także dla Polski, przez 10 lat, w latach 2002-2012, była pewna stabilizacja. Jako osoby religijne określało się ok. 67-68%. Po czym do 2018 r. to runęło. Nie we wszystkich krajach. We Francji czy w Austrii nastąpił zaskakujący wzrost – i wcale nie jest to związane z obecnością islamu. Ale to wyjątki, bo we wszystkich właściwie krajach Europy, również w Polsce, nastąpiło mocne obniżenie religijności. We wszystkich grupach wiekowych. U nas w grupach starszych o 3-4%, a w tych młodszych, między 15. a 45. rokiem życia, spadło to o 9-10%. Mówimy o deklarowanej religijności. A deklarowana jest zawsze wyższa niż rzeczywista. Ale jest jeszcze ciekawsza rzecz...

Jaka?

– Mianowicie w latach 2002-2018 aż o 17% spadła w Polsce deklaracja co do codziennej modlitwy. W 2002 r. do tego, że codziennie się modli, przyznało się 47% pytanych, a teraz już tylko 30%. To pokazuje, że co prawda trwają te formy zewnętrznej obecności w Kościele, ale w środku coś się dzieje. Powstaje rodzaj wydumuszki, takiej pałuby, można powiedzieć, religijnej. W Polsce mamy bowiem do czynienia z tym, co potocznie nazywa się katolicyzmem kulturowym. Olivier Roy nazwał to w swojej książce z 2013 r. „świętą nieświadomością” – kiedy właściwie religia jest religijnością życia, a nie wyboru. Co więcej, w mniejszych miejscowościach, zwłaszcza na wsi, pandemia odstąpiła pewien dramat.

Jakiego rodzaju?

– Kościół jest tam jedyną formą życia społecznego, zbiorowego. Dlatego pandemia i restrykcje pandemiczne wywołały panikę moralną. Bo trzeba było przejść na formy, które ks. Andrzej Draguła określa mianem „chrześcijaństwa bezliturgicznego”, które polega na pozbawianiu

wiernych bezpośredniego udziału w obrzędowości kościelnej. Wtedy religia życia, wraz z wpisanym w nią rytualizmem, nakazem osobistego uczestnictwa w obrzędach, wpadła w pustkę, objawiła swoją bezradność, słabość. A to, co Kościół proponował na czas pandemii w granicach tzw. liturgii domowej jako wyrazu kapłaństwa powszechnego,

– Nie ma już tego nakazu, można nie chodzić. Uwidoczniło to, jak silny był w niektórych środowiskach ten społeczny, kulturowy jedynie, przyzwyczajenie do kościoła.

O pełnej duchowości nie ma więc mowy?

– Tak! Znowu muszę sięgnąć do europejskiego sondażu. Mianowicie spada liczebność tej grupy osób, któ-

problem. Bo jeśli się kruszy ta tożsamość, jej poczucie, to jednocześnie kruszy się tradycyjny sposób rozpoznawania, czy jest się w pewnej kulturze, czy we wspólnocie narodowej. Trzeba więc nowego lepszycza. A co nim będzie?

Do tego zmierzam – słabnie mit Polaka katolika. Co nowego może być w zamian?

– Na razie jest Polak rebeliant. Tworzą się, zwłaszcza w przypadku młodych ludzi, wielkie środowiska kontestacji systemu, zarówno z prawej, jak i z lewej strony. To, co ultrapravicowscy młodzi deklarują, też nie jest przecież systemowe. Nie mówiąc już o masowej kontestacji, która wyplętnęła na polskie ulice po tym nieszczęsnym orzeczeniu pseudotrybunału. Tutaj tak naprawdę nie ma już miejsca dla tego, co systemowe. Nawet dla tych mocno wspierających protesty polityków opozycji, z Koalicji Obywatelskiej czy z Lewicy. Przyjmuje się ich z grymasem.

Coś z tego wynika?

– To jest bardzo niedobre. Życie polityczne nie może polegać na nieustannym kwestionowaniu politycznych wiązań, muszą być jakieś ▶

Religijność słabnie, a zewnętrzne formy stają się drastycznie rozbuchane.

to coś, co określa się jako internetową kolektywność, stało się właśnie przedmiotem wspomnianej paniki, buntu, rebelii przeciw narzuconym regułom bezpieczeństwa pandemicznego. Bo tak naprawdę w tych wiejskich wspólnotach ludziom zabierano nie tylko kościół, ale również jedyną postać społecznego istnienia. Te wspólnoty przestawały być wspólnotami. Nic ich nie lepiło w jakąś jedność. Z kolei w wielu innych parafiach pandemiczne ograniczenia przyjęto z ulgą.

Bo już można nie iść na niedzielą mszę?

re deklarują się jako głęboko religijne. W Polsce do ok. 11-12%. Ale spada też na Węgrzech i w mniejszym stopniu na Słowacji.

Polak katolik, Polak rebeliant

Przez całe lata wiara była w Polsce elementem tożsamości. Może nie duchowa, ale te obrzędy.

– W Polsce wiara jest czynnikiem rozpoznawania tożsamości kulturowej, narodowej, tego czegoś, co już prawie 100 lat temu Stefan Czarnecki nazwał katolicyzmem wyznaniowym ludu polskiego. Ale to jest

W NOWY ROK Z E-WYDANIEM

Drogi Czytelniku,
dziękujemy za elektroniczną prenumeratę i spędzony z nami rok.
Z okazji świąt i zbliżającego się Nowego Roku mamy specjalną ofertę!

Kupując elektroniczną prenumeratę roczną
(e-prenumerata lub subskrypcja),
ZAPŁACISZ TYLKO 99 ZŁ
I DOSTANIESZ E-BOOK „DĄBROWSZCZAKÓW” GRATIS

Do tego użyj kodu **SWIETA2020**, a dostaniesz książkę „PRL. Od Jajty do Października '56” w wersji papierowej, którą wyślemy na wskazany w zamówieniu adres pocztowy!*

*Wysyłka nieregistrowana Poczta Polska

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl



► polityczne reprezentacje. Zgodnie z przykazaniem starego Arystotelesa, nie ma doskonałych. Trzeba więc wybrać te, które są bliższe ciału.

Ale protestujące nie chcą tak wybierać.

– Owszem, ulica może odruchowo tak działać, tylko że... Co ciekawe, ta ulica jest bardzo antyklerykalna, choć w protestach biorą też udział katolicy. Bo przecież znaleźli się tam różni ludzie, od radykalnych feministek po

być religijny, tyle że ta jego religijność na Zachodzie staje się intymna, podlega prywatyzacji. I jeśli mówić o Polsce, to widzę podobny proces. Zmierzenie w kierunku czegoś, co można nazwać chrześcijaństwem bezwyznaniowym. Albo w stronę rozmaitych synkretyzmów religijnych – trochę chrześcijaństwa, trochę New Age, trochę różnych treści niechrześcijańskich, jakieś praktyki magiczne, jakiś gnostycyzm.

ze wspólnotami religijnymi, a więc i kulturowo, odrębnymi.

Samoprzekroczenie

A rola biskupów w życiu publicznym? W latach 90. była niezwykle istotna.

– No tak, ale wymarło pokolenie biskupów cieszących się sporym autorytetem. Nie żyje abp Gocłowski, nie żyje kard. Macharski, nie żyje Jan Paweł II, no i abp Józef Życiński. To były wielkie figury życia kościelnego w Polsce, życia religijnego i nie tylko religijnego. O niekwestionowanym autorytecie. I w miejsce tych wielkich figur nie pojawił się nikt albo pojawili się ludzie mierni czy amoralni. Tacy, którzy za świadczenia materialne i rozwiązania prawne gotowi są zapłacić rządzącym każdą cenę. A jednocześnie cała ta historia ze skandalami pedofilskimi...

To był cios. Filmy Sekielskich poruszyły lawinę.

– Oczywiście one nie działają od razu, automatycznie, na zasadzie: dziś skandal, jutro załamanie. Czasem wywołują reakcje odwrotne. Tak

Zostanie po nas tradycja kulturowa, która będzie miała w sobie ślad religijny.

głęboko wierzące katolicki, które nie są zadowolone z postawy Kościoła wobec wolności wyboru, wobec ich cielesności. A także z amoralnego i zgubnego dla Polski mariażu ołtarza z tronem. Oraz – jak się ostatnio okazuje – z patką policyjną.

Chrześcijaństwo bezwyznaniowe?

Człowiek jest taką istotą, że potrzebuje duchowości. Jeżeli nie ufamy Kościołowi, to co z naszą duchowością?

– Właśnie się nad tym zastanawiałem... Jest stara hipoteza Harveya Coxa z 1965 r., miasta świeckiego.

Że Kościół to ludzie, to wierni, a nie instytucja.

– Że człowiek nigdy nie przestaje być *homo religiosus*, nie przestaje

Chrześcijaństwo zawsze łatwo przyswajało miejscowe obrzędy i zwyczaje.

– Wielkie religie są synkretyczne. Przechodzą przez społeczeństwa, kultury niczym lodowce. I nabierają szczątków tego, co się pod nimi znajduje. Pełno tam rozmaitych rzeczy, niekoniecznie ortodoksyjnie słusznych. Jest jeszcze inny proces, o którym trzeba powiedzieć. W Polsce nie ma na ten temat stosownych badań, ale pewne wnioski

Tworzy się swoista gigantyczna wydmuszka religijna.

możemy wyciągnąć z badań Instytutu Statystyki Kościelnej ojców pallotynów. Tych corocznych, na temat *dominantes*, czyli uczestniczących w mszy. Z tych badań wyłania się coś, co Benedykt XVI nazwał religijnością insularną, wyspową.

Na czym to polega?

– Różnice pomiędzy Zagłębiem, Pomorzem Zachodnim, Warszawą a Tarnowskiem, Podkarpackiem, Świętokrzyskiem, Lubelszczyzną czy góralszczyzną, jeśli chodzi o praktyki religijne, są niebotyczne. Jeśli w Tarnowskiem za *dominantes*, tych chodzących co niedziela na mszę, uznaje się jakieś 70%, na Lubelszczyźnie czy w Świętokrzyskiem – ponad 60%, to w Warszawie mamy 20%, w Zagłębiu i na Pomorzu Zachodnim badają 26%. Różnica jest przepastna. *De facto* mamy do czynienia

było w przypadku pierwszego filmu Sekielskich, po którym pojawiały się postawy obronne. Bo uderzenie było tak silne.

Tamten film wywołał u wielu Polaków efekt wyparcia?

– Ten pierwszy, jak wynika z badań, był w roku 2019 najczęściej oglądanym filmem na YouTube w Polsce. Kolejne wywołały większy skutek. Bo już to jakoś dotarło do świadomości. Teraz mamy następne filmy, pojawił się watykański raport na temat kard. McCarricka. Okazało się, że tuż po polskiego Kościoła, nawet postacie mityczne, jak kardynałowie Gulbinowicz czy Dziwisz, są pobrudzone. O postaciach pomniejszych, jak biskupi Szkołodź czy Janiak, czy paru innych, mówić nawet nie warto. A tak generalnie swoiste bezczelne manifestowanie odporności na prawdę, na prawo i na sprawiedliwość mocno tym Kościołem, hierarchią tego Kościoła, zachwiało. Hierarchowie okazali się ludźmi małymi.

Żegnam zmarłego nagle

Wojciecha Gawędę

Z wykształcenia inżynier, z powołania menedżer, a z charakteru Przyjaciół.

Wojtek miał tyle talentów, że mógł nimi obdzielić wielu. Do czegośkolwiek się wzięł, odnosił sukces: elektronika, informatyka, biznes. Przebił się w Austrii. I w Polsce. Inteligentny i błyskotliwy, pomocny i życzliwy.

W 1991 r. bardzo pomógł uratować „Sztandar Młodych”, bo z lewicą było mu po drodze.

Wojtek był mi bardzo bliski. Żal wielki.

Żonę Wojtkę Marysię i syna Maćka serdecznie przytulam

Jerzy Domański

Ci, co byli bliżej, tego nie widzieli?

– Na długo przed tym, zanim upadł Dziwisz, rozmawiałem nocą z kard. Macharskim. I on, nie wchodząc w szczegóły, miał bardzo krytyczny stosunek do kard. Dziwisza. Nie mówił tego wprost, był oględny, ale można było zrozumieć, co myśli.

A co myślał?

– Dziwisza uważał za człowieka małego. A sam był przecież człowiekiem pokory absolutnej i wielkiego ducha. Otóż mamy do czynienia z czymś takim, co się nazywa autotranscendencją, samoprzekroczeniem. Może ono prowadzić do różnych rzeczy w przypadku porządnym osobowości. Ale w przypadku osobowości małych autotranscendencja jest falsyfikacją. Samoprzekroczenie dokonuje się wbrew talentom, zdolnościom, postawie etycznej czy rozumności. W związku z tym narzędziem stała się rola, stały się purpura i fiolet. Namaszczenie biskupie i podniesienie kardynalskie... Również pycha materialna... Tak jak u Głódzia – władcza pycha, traktowanie innych, niższych, także ludzi Kościoła, księży, jak feudalny pan traktował poddanych.

Jacyż to z Głódzia czy Dziwisza feudałowice?

– Właśnie! To imitacja. Bardzo farsowa. Karykaturalny teatr arystokratyczny. Zewnętrzne prerogatywy, posiadłości, ten park danieli, różne ekscesy... Ileż to lansu! Z jednej strony, w duchu kontrreformacyjnej teatralności barokowej, z drugiej – na podobieństwo wielkiego chłopskiego wesela. Bo wszystko musi być na bogato, wypasione.

Żyjemy w jakimś tyglu dziejowym. To trudne, ale w tyglu jest tak, że wszystko się wypala, a cenny kruszec zostaje.

Największe, imponujące...

– Licheń, Świątynia Opatrzności... Pamiętam, kard. Glemp wybrał najpierw bardzo interesujący projekt tej świątyni, nowoczesny. Ale nie z tego ducha, więc został przez resztę biskupów przywołany do porządku. Tak samo zresztą jest ze świątynią Rydzika na obrzeżach Torunia. To wszystko jest takim pseudobarokiem, wymieszanym z socrealizmem. Twórca Lichenia,

ks. Eugeniusz Makulski, który niedawno zmarł, przecież był głęboko, co pokazał film Sekielskich, zanurzony w skandale pedofilskie. Władza, erotyzm, pycha, tego typu kontrreformacyjne formy, wymieszane jeszcze z narodowym cierpiętnictwem. W Licheniu, w Kałkowie na Gólgocie Świętokrzyskiej obserwuje się hiperboliczność form, wymieszaną z motywami cierpiętniczymi. Jeśli

W Kościele, i nie tylko w Kościele, musiałby nastąpić jakiś cud odmienienia. Ale już chyba nikt tego nie oczekuje.

ktoś cierpiał w nowożytnej historii – to tylko my! W tych Katyniach, Oświęcimiach i na Syberiach. Ta postawa jest straszna! Gdzie tutaj kościelny uniwersalizm?

A gdzie treść?**Nasza wiara jest narodowa.**

– To niby jest narodowe, ale fałszywe – i utkane z mitów mesjańskich i dorystycznych. Cierpiętniczych. To się miesza. I dlatego jest cepeliada. Byłem w Licheniu dwa razy. Drugi raz byłem tam w dzień powszedni. I zobaczyłem Licheń opustoszały. Jest wtedy absolutnie martwy. To miejsce żyje tylko wtedy, kiedy zjawiają się tłumy. Takie miejsca ujawniają się tylko w dniach świątecznych. A w inne ich nie ma. Licheń ciągle jeszcze budzi ciekawość swoją gigantomania, tak samo jak Chrystus ze Świebodzina, który jest największy na świecie. Czy figura Jana Pawła II w parku miniaturowym w Częstochowie. Postawili ten

gigantyczna wydumka religijna. Forma imponująca, a gdzie treść? Przecież to się rozsypuje.

Ale Polacy nie chcą, żeby to się rozsypało, znikło. Do wielu form są bardzo przywiązani. Do świąt, Wigilii, szopki, choinki, opłatka... Lubią to!

– Ja też to bardzo lubię. I to zostanie. Zostanie po nas tradycja kulturowa, która będzie miała w sobie

ślad religijny. Boże Narodzenie! To wytworzyło takie bogactwo form, bogactwo przeżyć, w istocie pozakościelnych... Zwłaszcza że podstawową formą Wigilii jest to, co można nazwać Kościołem domowym. Pasterka gdzieś tam się pojawia, ale ona jest później, jest pokazaniem, że Kościół domowy przynależy do szerszej wspólnoty. Ale też jest często radosnym śpiewaniem. Takim właśnie z ducha szopki bożonarodzeniowej. Bo w Polsce, poza wszystkim, bardzo silny jest franciszkański rys chrześcijaństwa. Franciszkanie różnych odmian, wystarczy wspomnieć bernardynów obecnych pośród drobnej i średniej szlachty – to oni przynieśli te szopki, ten sposób świętowania. To, co nazywamy polską religijnością ludową, jest franciszkańskiego chowu. Podkreślenie więzi z naturą, ze zwierzętami. To będzie pracowało niezależnie od tego wszystkiego, co dziś się dzieje.

Nie zniknie...

– Mamy gigantyczne świadectwa w kulturze, w polskiej sztuce, literaturze. Zresztą, jak mawiał ks. Władysław Piwowarski, wybitny socjolog, polska religijność jest religijnością odświętną.

Bardzo optymistycznie kończymy – że Wigilia zostanie, a piana odpłynie.

– Zostanie to, co naprawdę wartościowe. Żyjemy zresztą teraz w jakimś tyglu dziejowym. To zawsze jest trudne. Ale w tyglu jest tak, że wszystko się wypala, a cenny kruszec zostaje.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

CO JESZCZE ŁĄCZY POLAKÓW



To, co łączy ludzi, nie bierze się znikąd.
Trzeba na to ciężko pracować

Anna Brzeska

Jesteśmy coraz bardziej podzieleni – trąbią wszyscy od lewa do prawa. I mają rację, bo w tym szalonym roku klócimy się nie tylko o to, czy być z PiS, czy z anty-PiS, czy się szczepić, czy nie, czy wulgaryzmy na protestach są OK, czy noszenie maseczek ma sens – a wreszcie i o to, czy skuteczne udawanie, że się jest w domu podczas izolacji, „żeby sanepid się nie kapnął”, to przejaw godnego podziwu sprytu, czy żenującej głupoty.

Czy tak już ma być zawsze? Czy teraz, gdziekolwiek się obrócimy, walić będziemy głową w ścianę opinii skrajnie odmiennych niż nasze? A może jednak wciąż nas coś łączy?

Zapytałam o to kilkoro uważnych obserwatorów rzeczywistości.

PROF. PAWEŁ ŁUKÓW, filozof i etyk

Mam wrażenie, że tym, co obecnie może nas jednożyć, są w najlepszym razie sprawy przynależące do sfery prywatności lub sfery mikrozbiorowości, w których funkcjonujemy na co dzień. To mogą być rozmowy o dzieciach – albo w ogóle rzeczy dziejące się w ramach naszego wąskiego kręgu towarzyskiego bądź zawodowego.

Nie widzę natomiast idei czy wartości łączącej nas w życiu publicznym jako obywateli Polski, czegoś, o co chcielibyśmy wspólnie zabiegać. Na moje oko jest to następstwo niewybaczonego i trwającego od 30 lat zaniedbania edukacji obywatelskiej.

Nie wiem więc, czy mogę powiedzieć tu coś pozytywnego. Nie mamy przecież nawet czegoś, co można by nazwać wspólnym językiem, służącym do rozmawiania o dzielących nas różnicach. To, co jedni nazywają faktem społecznym, drudzy nazywają ideologią. Przemoc w czasie manifestacji, która dla jednych jest nieszczęściem, dla drugich jest dowodem patriotyzmu. Niezależnie od tego, że się różnimy w poglądach, potrzebujemy wspólnych pojęć, aby móc świat opisywać, po to by go potem analizować i rozumieć.

Po 1989 r. wiele osób myślało, że Polaków połączy tradycja, jakaś etniczno-historyczna wspólnota, w której się zamkną i odizolują od reszty świata. Obecny rząd jest spadkobiercą tego myślenia. Ale ta tradycja i wspólnota niespecjalnie chcą żyć w umysłach Polaków. Nie jest to sposób myślenia bliski młodzieży, której Jan Paweł II kojarzy się bardziej z memem w internecie niż z ideami

etycznymi. Wiara środowisk konserwatywnych w samostanie łączącą nas moc wydarzeń i osób z przeszłości okazała się płonna.

Z kolei środowiska liberalne wierzyły, że demokracja da nam wspólne środowisko idei i język dyskursu publicznego. Wydawało się, że gdy nastanie demokracja, zrobimy się, chcąc nie chcąc, tolerancyjni, skłonni do dialogu, zdolni do wzniesienia się ponad własne urazy i gotowi do współpracy. Widzimy jednak, że to również się nie wydarzyło.

To, co łączy ludzi, nie bierze się znikąd. To rzecz nabyta, na którą trzeba ciężko pracować.

PROF. STANISŁAW OBIREK, antropolog kultury

Tym, co nas zabija, jest rosnąca polaryzacja, a może nawet tkwienie w informacyjnych bańkach, które stają się coraz bardziej nieprzemakalne. I doprawdy nie wiem, co odpowiedzieć na pytanie, co nas jeszcze łączy. Czuję się bezradny zwłaszcza wobec mojej byłej instytucji, czyli Kościoła katolickiego. I pomyśleć, że w 2002 r. wydałem, jako członek zakonu jezuitów, książkę „Co nas łączy? Dialog z niewierzącymi”. Wtedy nas naprawdę wiele łączyło, i to nie tylko wierzących z niewierzącymi, ale również wierzących między sobą.

Obirek: Jedyne, co może nas połączyć, to obawa przed zniszczeniem wspólnego domu, jakim jest nasza planeta.

Dzisiaj, po prawie 20 latach, trudno mi sobie wyobrazić zebranie tak różnych autorów i autorek, którzy zgodziliby się wystąpić w tej samej publikacji. A jeśli skorzystać ze świątecznych metafor, mam trudność z wyobrażeniem sobie wspólnej wieczerzy wigilijnej czy łamania się opłatkiem z ludźmi, których bez skutku od lat próbuję zrozumieć. Chodzi mi głównie o wybór polityczny i religijny. Jeden i drugi pozostaje dla mnie nie tylko zagadkowy, ale też niebezpieczny dla przyszłości kraju, w którym wspólnie żyjemy.

Na pewno tym „czymś” nie będzie więc taktyczne przemilczanie rosnących różnic ani udawanie, że ich nie ma. Bo są – i właśnie one sprawiły, że młodzi ludzie tak licznie zaczęli po 22 października protestować na ulicach

i formułować coraz bardziej zdecydowane hasła odmowy uczestniczenia w zmowie powszechnego zakłamania.

Czyli nie świat pustych metafor religijnych będzie nas łączył, nie ostatecznie skompromitowana polityka – ani układanie się z najbardziej niszczącym dla kruchej polskiej demokracji Kościołem katolickim.

Jedyne, co może nas połączyć, to obawa przed zniszczeniem wspólnego domu, jakim jest nasza planeta – zagrożona już nie tylko ociepleniem klimatycznym, ale i ciągle groźnym koronawirusem. Ten wspólny lęk przeżyty solidarnie może wyzwolić zachowania, które przełożą się na przyjacielską, sąsiedzką i rodzinną solidarność. To jest owo kruche „coś”, które może nas połączyć.

NATALIA FIEDORCZUK, pisarka

Łączy nas piłka, kiełbasa i piwo tyskie. Łączą nas lata 90. i martyrologia tego, co było wcześniej – zarówno 30, jak i 130 lat temu. Łączy nas instynkt absurdu, poczucie humoru tak charakterystyczne dla polskiej szerokości geograficznej – na pograniczu desperacji, samodekaluowania i ojkofohii, jednak stanowiące arterię komunikacyjną kulturowej wrażliwości. Łączą nas wspólne obśmiewanie traum i autoironiczna zazdrość wobec tych, którzy mieli historyczne szczęście żyć w nieco łatwiejszym świecie. Łączy nas ambiwalencja, nieustalony stosunek do autorytetów i nietuzinkowo twórcza postawa wobec rzeczywistości.

Łączą nas ojcowie – złote rączki, nieustający naprawiacze usterek i awarii. Łączą nas zaradne i gospodarne matki, mnożące dysponentki dóbr doczesnych. Łączą nas pomidorowa i rosół, alkohol i święta świecko-kościelne. Łączy nas podskórne napięcie polskiej niedzieli, powoli rozpuszczające się w sennym lenistwie przed TVN. Łączy nas polonez taty i maluch wujka Staszka. Łączy nas sam wujek Staszek i jego celna riposta, której treści nie należy przytaczać w kulturalnym, drukowanym magazynie. Łączy nas *modus* nieuzasadnionych, osobistych przytyków, które tak naprawdę bywają próbą rozpaczliwego nawiązania kontaktu z innym człowiekiem. Gdzie „Ale żeś, chłopie, przez tę zimę przytył!” oznacza „Czuję ulgę, że nie wszyscy mężczyźni w moim wieku wyglądają jak modele z siłowni”, a „Rozwodzisz się? No to teraz zobaczmy, kto ci zechce z dwójką dzieci”, trzeba tłumaczyć jako „Tak naprawdę bardzo się boję samotności”.

Łączą nas płaski krajobraz, ciepłe wspomnienia z wczasów nad zimnym morzem, przyczepa Nie-wiadów i domek Brda. I łączy nas mroźny, różowawy zachód słońca nad ogródkami działkowymi.

MICHAŁ SYSKA, prawnik, doradca polityczny, publicysta, dyrektor Ośrodka Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a

Na pewno tym, co łączy Polaków, jest celebrowanie sukcesów sportowców z orzełkiem na piersi. Bo rozwój internetu, a zwłaszcza mediów społecznościowych, sprawił, że zamykamy się w bańkach, w których spotykamy osoby o podobnych gustach, statusie społecznym, postawach światopoglądowych i opiniach

politycznych. Nie mamy kontaktu z innymi, nie znamy ich wrażliwości, intencji ani doświadczeń. To w konsekwencji prowadzi do dyskryminacji czy wykluczania. Logika internetowych mediów społecznościowych sprzyja konfrontacji, a nie dialogowi. Z kolei kryzys tradycyjnej prasy i faktyczny demontaż mediów publicznych powoduje zanik sfery publicznej jako miejsca cywilizowanego ścierania się różnych poglądów. Coraz mniej jest też przestrzeni, gdzie mogą się spotkać różne grupy społeczne. Być może ostatnim miejscem spotkań ludzi o różnych światopoglądach i statusach społecznych są areny sportowe, a kibicowanie pozostaje wspólnotowym, łącącym rytuałem.

PROF. IRENEUSZ KRZEMIŃSKI, socjolog

Gdybym miał na to pytanie odpowiedzieć kilka miesięcy temu, byłoby to znacznie trudniejsze! Znaleźliśmy się teraz w osobiwej sytuacji, kiedy ostry podział w społeczeństwie istotnie złagodniał. Znacząca część zwolenników PiS nabrała dystansu i krytycznie spogląda na władzę, więc można sądzić, że przy świątecznych i noworocznych stołach temperatura dyskusji będzie niższa niż wcześniej. Wiele osób z przeciwstawnych obozów

Krzemiński: Znaczną część społeczeństwa połączyła niechęć do władzy.

poczuło, że jednak mają coś wspólnego ze sobą! Szczególnie dotyczy to kobiet, a od nich atmosfera rodzinna i koleżeńska bardzo zależy.

Znaczną część Polaków łączy lęk przed koronawirusem, ale to wcale nie sprzyja porozumieniu. Lęk raczej ludzi od siebie oddala. Socjologicznie łączy ich jeszcze nieufność do instytucji i rządu – do tego trzeba dodać niewiarę w organizację szczepień, które mają nadejść. Niezadowolenie i krytyczne spojrzenie na władzę ma łączącą moc! Czynnikiem niechęci do władzy – wprowadzie niedawno demokratycznie wybranej – połączył dziś bardzo znaczącą część polskiego społeczeństwa.

Wierzę, że pozytywnie łączy ludzi obyczaje – zwłaszcza związane z nadchodzącymi świętami, i to niezależnie od aktualnej oceny Kościoła. Tkwią w nas głęboko i domagają się właściwego działania. Nawet jeśli święta nie będą zbyt radosne z powodu ograniczeń – będą wspólne. Wspólne także będzie odczucie niezadowolenia ze szczególnej, niedobrej sytuacji, w jakiej spełniają się rytuały świąteczne. W końcu wciąż tkwimy w środku okropnej pandemii. Lecz ▶



► świąteczne dni i tak przyniosą radość i chwile wytchnienia. Nie można sobie wyobrazić Wigilii bez prezentów, bez życzeń, nawet jeśli będą tylko przez telefon czy za pomocą komputera. Być może nabiorą przez to większego znaczenia. Społeczna mobilizacja do pomocy innym w Polsce ostatnio nie znikła, a raczej się wzmocniła – tak przynajmniej mówią w mediach. To też nas łączy i daje zadowolenie. Pozytywne wiadomości o innych budzą odruch sympatii i dają znak, by wyciągnąć ręce do ludzi. Dobrych Świąt!!!

ANDRZEJ GRYŻEWSKI,
seksuolog, psychoterapeuta

W sferze seksualnej Polaków mężczyzn łączy dbałość o to, by mieć wzwód. Dla większości jest to punkt honoru. Jeśli nie mają wzwodu z partnerką, to nawet jeśli ją uwielbiają, i tak są gotowi odejść. Brak wzwodu uważają za blamaż, więc odejście jest dla nich trochę jak *harakiri* dla samurajów, którzy musieli popełnić samobójstwo, jeśli złamali swój kodeks honorowy.

Dodam jednak, że ma to pozytywne strony. Z tą troską o wzwód łączy się przecież pragnienie usatysfakcjonowania partnerki – choć oczywiście wielu Polaków popada tu w przesadę, nie docenia gry wstępnej czy znaczenia czułości. Polska to skansen Europy. Utrzymują się w niej

Gryżewski: Mężczyzn z Polski łączy duma ze swojego członka.

stare przekonania, które od wielu lat nie mają racji bytu w innych krajach. 114 lat temu austriacki psychiatra głosił, że członek w stanie sztywności jest w stanie dać kobiecie orgazm pochwowy, i to fałszywe przekonanie w Polsce ma się dobrze.

Inną rzeczą łączącą mężczyzn z Polski jest duma ze swojego członka. Pacjenci – szczególnie geje – którzy podróżują po różnych krajach, mówią, że liczba zdjęć penisów wrzucanych przez Polaków do sieci – w porównaniu z liczbą zdjęć przesłanych przez przedstawicieli innych nacji – jest ogromna. To samo mówią pacjentki – mężczyźni z innych krajów, np. Europy Zachodniej czy Wschodniej, nie eksponują swoich członków w takim stopniu jak osoby z Polski. Możliwe, że ta duma z penisa wynika z tego, że Polacy są w górnej średniej, jeśli chodzi o jego wielkość.

Z kolei kobiety w Polsce łączy duża dbałość o wygląd ciała. Jest to widoczne nawet u osób, które z różnych względów nie mają specjalnie dostępu do klubów fitness

czy gabinetów medycyny estetycznej – próbują więc zadbać o wygląd choćby przez wyróżniające się, jaskrawe stroje. Polki myślą o wyglądzie swojego ciała nawet w sypialni. Często słyszę od pacjentek, że idąc do łóżka, zwracają uwagę na ułożenie ciała w taki sposób, by wypaść jak najatrakcyjniej. Wciąż różnimy się tu od mieszanek Europy Zachodniej, które chcą przede wszystkim dobrze się czuć w swoim ciele, stawiają na luz i naturalność. Dodam, że ta dbałość o wygląd ciała u Polek przekłada się nawet na skłonność do udawania orgazmów. Są przekonane, że ich orgazm jest potwierdzeniem ich atrakcyjności dla partnera. Inaczej mówiąc, udają orgazmy, by dać partnerom przyjemność patrzenia na partnerkę w trakcie orgazmu. To taki uboczny skutek dbania o wygląd – jakby jego elementem było również zachowanie się kobiety w łóżku. Wbrew pozorom dotyczy to też osób świadomych w kwestiach seksualności, wykształconych i atrakcyjnych.

MAGDALENA OKRASKA,
etnografka, publicystka, działaczka społeczna

Co łączy Polaków? Myślę, że dwie sprawy. Jedna to kultura społeczna, wspólny świat sensów, w którym splatają się znane nam wszystkim kody kulturowe, wspólne tabu, chęci i niechęci. Polska rzeczywistość społeczna to towarzyskość, radosna hałaśliwość, obchodzenie przepisów, załatwianie (miałam ogromny problem, by wytłumaczyć Anglikowi, co to znaczy załatwić), trwanie w konflikcie, a jednocześnie wspólnocie interesów i „jeździe na tym samym wózku”. To jak kolejka do lekarza, w której stajemy się na krótką chwilę częścią tej samej zbiorowości, z identycznymi prawami i obowiązkami. To bycie sprytnym, elastycznym, ale gościnnym i z sercem na dłoni. Na pytanie „A czy nie da się...?”, jest jedna odpowiedź: „Wszystko się da”.

Okraska: Polaków łączy ciężka praca i... ciągły zapierdół.

Polskość to dom pachnący obiadem, to zimna wódka, mycie na święta okna, rozmowy o przepisach na bigos. Nasza forma, jedyna znana, jedyna bezpieczna.

Druga sprawa jest mniej radosna – Polaków łączy ciężka praca i... ciągły zapierdół. Rynek pracy nigdy nas nie rozpieszczał, wrzucono nas w koleiny niskich oczekiwań i zgody na zarabianie niewiele za mnóstwo czasu spędzonego poza domem. Łączy nas też przedsiębiorczość, aktywność, łapanie pięciu srok za ogon. A w konsekwencji – zmęczenie fizyczne i psychiczne. Z którego i tak kolejnego dnia wstaniemy do walki, przywdziewając naszą przyłbicę i przyjmując rolę matki Polki, silnego ojca rodziny czy dzielnej babci. To nas konstytuuje i stwarza.

Wystuchała i spisała Anna Brzeska
aebzeska@tygodnikprzeglad.pl



Góralu, czy ci nie żal?

**Na Podhalu żartują: Nie pytaj, co premier zrobi dla ciebie.
Pytaj, jak temu zapobiec**



Paweł Grocholski

Zaciągnięte kredyty trzeba spłacać, a tu sąsiad mówi: Twój klient ci mogą mnie zarazić, umrze moja matka, szpital się zablokuje, a twoje dziecko, jeśli się zrani, może nie doczekać na pomoc, bądź odpowiedzialny. Żyjące z turystyki Podhale w czasie zarazy, którą zwalcza się, zakazując turystyki, jest miejscem kumulacji ogromnych emocji.

Przygotowania do świąt trwają mimo niepewności. Pozwolą otworzyć czy nie? Oszczędności powoli się kurczą, a ci, którzy ich nie mieli, muszą korzystać z pomocy rodziny lub przyjaciół. Szczęśliwie spektakularnych bankructw nie było, za to rozgrywa się wiele cichych dramatów osób niezdolnych do krzyku, a pozbawionych możliwości pracy. Są też ludzie, których romantyczny pomysł na życie w górach z pracy z turystami legł w gruzach.

Mieszkańców Podhala elektryzuje pytanie, co będzie, jeśli zakażą

podróżowania i nikt nie przyjedzie. W zamkniętych restauracjach pojawiły się dekoracje świąteczne, w mroźne noce pracują armatki śnieżne. Nie wyłączono ich nawet w ów dzień, kiedy wicepremier Gowin wieszczył zamknięcie stoków narciarskich. Hotele są zamknięte, nie wiadomo, co z rezerwacjami na okres świąteczno-noworoczny. – Rząd do 27 grudnia chce nas poinformować, czy możemy przyjmować rezerwacje na święta, przecież

haków (chodzi o zakładanie asekuracji w czasie wspinaczki – przyp. aut.), mam więc doświadczenie w biciu młotkiem i tak dotrwałem do teraz. W sezonie miałem tylko cztery dniówki, zacząłem więc sprzedawać moje obrazy. A jeszcze przygarnąłem do domu bezdomnego. I nie jest łatwo, jest nawet bardzo ciężko – mówi Julian Klamers, artysta, przewodnik tatrzański żyjący z oprowadzania po górach wycieczek szkolnych lub grup.

**Przygotowania do świąt trwają mimo niepewności.
Pozwolą otworzyć czy nie?**

to absurd – wytyka właścicielka hostelu. Sylwester stał się tematem tabu. Nikt nie chce o tym rozmawiać, epidemia jest żywiołem niezależnym od woli, ale decyzje polityków też są traktowane jak taki żywioł.

– Stwierdziłem, że głową muru nie przebiję, wziąłem młotek, rytec i zacząłem rzeźbić w kamieniu. Człowiek w życiu nabijał się tych

– Zorganizowanie ferii zimowych w jednym terminie to absolutna bzdura! Jak w czasach, kiedy należy utrzymywać dystans, można wpaść na pomysł skumulowania ludzi w jednym miejscu i czasie? Zamiast pomyśleć o rozciągnięciu ferii na dłuższy okres, co spowodowałoby, że jednorazowo w Zakopanem będzie mniej ludzi, oni robią

▶ odwrotnie – tu Wojtek Gąsienica, góral, który pracuje jako przewodnik tatrzański, zaczyna używać barwnych, lecz niezbyt nadających się do druku określeń. – Zabili sezon letni, chcą zabić zimowy, blokują nam możliwość egzystencji, zakazują wykonywania pracy i nie dają żadnej rekompensaty. Święta? Nie denerwuj mnie nawet, jestem ateistą, ale Wigilię jako dzień spotkania z najbliższymi zawsze celebrowałem. Po pierwsze, bezprawnie zawłaszczili stare pogańskie święto, a po drugie, nie postawią przecież policjanta przed każdą góralską chałupą. Jeśli zakazujesz komuś pracy, to powinienes jakoś mu to wynagrodzić, chyba że skazujesz go na śmierć głodową. Przepisy uderzają w najbardziej potrzebujących, pracę tracą pokojówki, sprzątaczk, kelnerki, parkingowi, chłopcy odśnieżający podwórka pensjonatów, instruktorzy jazdy na nartach itd. Premier mówi: przebranzowić się. Jak ma wyglądać moje przebranzowienie z przewodnika tatrzańskiego? Jeśli zakazą przemieszczania się, to nawet nie będę mógł uciec do Holandii, żeby się zatrudnić przy patroszeniu ryb.

Tymczasem, mimo niemal całkowitego braku zorganizowanych grup, z których żyła większość przewodników, we wrześniu został pobity rekord, jeśli chodzi o liczbę osób, które weszły na teren Tatrzańskiego Parku Narodowego. We wrześniu również, po zakończeniu wakacyjnego sezonu, w działających z ograniczeniami restauracjach zabrakło miejsc, a elegancko ubrani ludzie ustawiali się w długich kolejkach. Zwykle działo się to zaraz po zmierzchu, czyli po powrocie z gór. Turyści stali parami, cicho i spokojnie rozmawiając w oczekiwaniu na możliwość zajęcia miejsca przy stole. Zarazem mimo wrześniowego rekordu trudno spotkać osoby, które podsumowując lato 2020 r., odnotowały wzrost dochodów lub utrzymały się na podobnym poziomie co rok wcześniej. – Miałem klientów w sezonie, nie narzekam, choć przychodu miałem 30% ubiegłorocznego – przyznaje Stanisław Styrzczała, przewodnik i właściciel parku linowego w Chocholowie. Dodaje jednak, że biura, które wysyłały do niego klientów ze Stanów, odwołały dosłownie wszystkie rezerwacje.

Cierpliwie czekających na swoją kolej ludzi widać było w jeszcze



– Miałem klientów w sezonie, choć przychód był na poziomie 30% ubiegłorocznego – przyznaje Stanisław Styrzczała.

jednym niezwykłym miejscu – były to eksponowane skalne ściany Mnicha. Na niewielkich, granitowych półkach w dni słoneczne i pochmurne kulili się przyszli zdobywcy góry, która jest symbolem taternictwa. Tu pojawia się optymistyczny akcent – jedna z osób zajmujących się wprowadzaniem turystów na Mnicha przyznaje, że lato 2020 r. było dla niej najlepszym sezonem, inne mówią o dobrym sezonie.

Niemal każdy żyjący z turystyki staje się potencjalnie winnym złamania prawa.

Aż do 7 listopada z dużego zainteresowania cieszyli się właściciele drewnianych domków na wynajem. Ludzie często bali się wielkich hoteli, gdzie nie dało się uniknąć spotkań z innymi gośćmi, wybierali więc domki, które otrzymywali na wyłączność. Po zamknięciu „obiektów hotelowych” utrzymywała się plotka, że dotyczy ono tylko hoteli, a pensjonatów i domków już nie. Po tygodniu okazało się, że wszystkie obiekty są zamknięte. Szczęśliwie dla właścicieli obiektów noclegowych od kompletnego zamknięcia są cztery wyjątki, z których jeden zrobił karierę: „możliwe jest korzystanie z hoteli, jeśli się jest w podróży służbowej”. Drugi wyjątek dotyczył zgrupowań sportowców, trzeci medyków, czwarty

pacjentów i ich opiekunów. Te ostatnie wyjątki nie wywołały żadnych emocji.

W słoneczne listopadowe weekendy podróżujący służbowo Polacy tworzyli korki na Zakopiance. Było ich tak wielu, że na parkingach przed wejściami w Tatry brakowało miejsc, a na szlakach panował ruch jak latem. Konieczność podejmowania podróży służbowych do Zakopanego spotkała się z pełnym zrozumieniem ze strony osób udzielających im noclegów. Każdy wcześniej napisał i wydrukował odpowiednie oświadczenie. Trochę inaczej pisali internetowi żartownisie, sugerując, że to wcale nie są służbowe podróże, a zupełnie inaczej osoby obawiające się ewentualnego zarażenia.

– Oj, nie byłoby tych „podróży służbowych”, gdyby rząd, zakazując pracy, zrobił tak jak rząd Austrii, czyli zapewnił ludziom wypłatę na poziomie 80% dochodów z roku ubiegłego. Zamknęli mi biznes, przez pewien czas nie mogłem prowadzić baru, nie mogę także wynajmować domków, ale nie licząc na państwo, przygotowałem się na tę ewentualność. Wiosną sprzedawałem samochody, latem pracowaliśmy po 12 godzin dziennie i zaoszczędziliśmy trochę pieniędzy. Nie zwolniłem ani

jednego pracownika, zyskałem czas na poświęcenie się pasji jeździeckiej, jednak po raz pierwszy od 14 lat, żeby łątać dziurę w budżecie, zatrudniłem się i co drugi dzień pracuję w kolejce na Kasprowy Wierch. Szczęśliwie mam na wypłaty dla moich ludzi, którzy z powodu obostrzeń nie mogą pracować – mówi Przemysław Sobczyk, przedsiębiorca. Dodaje jednak, że kupił sprzęt skiturowy do swojej wypożyczalni, wziął kredyt, a zimowego zamknięcia jego firma może nie przetrwać. – Obyśmy w Wigilię nie musieli jeść chleba z dżemem, wszystkiego dobrego! – kończy naszą rozmowę.

W sprawie podróży służbowych rząd sugeruje podjęcie „jakichś działań”. Budzi to obawy, ale podobne

do niepokoju wywołanego przez chmury zwiastujące nadejście halnego. Będzie wiało i stopnieje drogocenny śnieg, nic z tym nie da się zrobić, starzy górale akceptują sytuację i nie tracąc energii, wracają do przerwanej pracy. Młodszy śmieją się, powielając wymyślone lub podłapanie gdzieś hasła typu: Nie pytaj, co premier zrobi dla ciebie. Pytaj, jak temu zapobiec. Na protest przedsiębiorców przychodzi garstka osób.

– Ludzie komentują: Górale, dobrze wam tak, siedzicie na pieniądzach, głosowaliście na PiS, to teraz macie za swoje. Ale ja nie wierzę, że inny rząd poradziłby sobie

Coraz mniej osób orientuje się w przepisach i rozporządzeniach, powoli niemal każdy żyjący z turystyki staje się potencjalnie winnym złamania prawa, ten stan paraliżuje i demoralizuje. – Panie, jakie znowu nowe obostrzenia? Ludzie muszą jeść niezależnie od przepisów – mówi kobieta sprzedająca oscypki. W czasie wiosennego zamknięcia narzekała, że nie ma co robić z towarami, którego nikt nie kupuje, teraz jest spokojna. Ma grupę klientów, którzy przyjeżdżają do niej na zakupy do domu, w większości to lokalni mieszkańcy. Jednak nie wszyscy właściciele straganów mogą to powiedzieć.

usługi związane z wyżywieniem” oraz „świadczące usługi w zakresie krótkotrwałego zakwaterowania”. – Zamiast ludziom pozbawionym możliwości wykonywania pracy pomóc, nakłada się na nich nowe koszty, w tym wypadku minimalnie 1000 zł – komentuje przepis osoba żyjąca z wynajmu.

Jak wygląda rządowe wsparcie dla zamkniętych obiektów noclegowych i dla działających w bardzo ograniczonym zakresie restauracji? – Ma pan na myśli tarczę 6.0? Na dziś, czyli 8 grudnia, wiemy, że właściciele pensjonatów prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą nie dostaną nic. W sprawie hoteli są ogłaszane pewne plany, ale nic jeszcze nie weszło w życie, gastronomia nic nie otrzymuje – mówi osoba pracująca w księgowości.

Paweł Grocholski

Właściciele pensjonatów prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą nie dostaną nic.

z epidemią. Czy jest jakaś różnica między rządzącymi? Tu kariery polityków przebiegały zgodnie z takim schematem: pierwsze biznesy przed 1989 r. Tajemniczym sposobem jedni stali spokojnie pod pocztą na Krupówkach i nic im nie robiono, drugich za to samo zamykano do więzień. Potem pierwsza ławka w kościele, AWS, zapisanie się do Platformy, a kiedy PO zaczęła tonąć, przepisanie się do PiS – opowiada, streszczając karierę Andrzeja Guta-Mostowego, zniechęcony do ludzi władzy zakopiańczyk.

O tym, że ciężar odpowiedzialnych decyzji spoczywa na pozostawionych samym sobie ludziach, mówi też jeden z ratowników medycznych. – Sami szukaliśmy informacji, jak się zabezpieczać przed zakażeniem, sami musieliśmy zorganizować sobie stroje ochronne, ale teraz jest lepiej. Używasz sformułowania „pracownicy służby zdrowia” – nic bardziej błędnego! Jesteśmy zewnętrznymi firmami wykonującymi zlecenia, o wszystkim decydować ma niewidzialna ręka rynku. Działamy na pierwszej linii frontu, ale bez umowy o pracę, a system jest tak skonstruowany, żeby odpowiedzialność przerzucać na podwykonawców, czyli na nas. Tu widać, że państwo polskie nie działa tak, jak należy. Dają nam karteczki do podpisania, że zrobiliśmy to lub owo, że odbyliśmy szkolenie takie lub inne, w rzeczywistości sami musimy się uczyć i od naszej woli zależy, czy jesteśmy kompetentni, czy nie.

Jedynie żyjące do niedawna w leniwym spokoju biura rachunkowe zmieniły się w think tanki, których zadaniem jest informowanie o tym, kogo i w jakim stopniu mogą dotyczyć restrykcje. Kto może wypełnić wnioski o dofinansowanie, a o kim rządzący zapomnieli. Zupełnie niezależnie od epidemii pojawiają się nowe przepisy, które trzeba wyłapać, zrozumieć i poinformować o nich klientów. Przykładowo do grupy wybrańców, która od 1 stycznia musi wyposażyć się w nowy typ kas fiskalnych, należą osoby „świadczące

PS Już po oddaniu tekstu do druku rząd ogłosił zamknięcie wyciągów narciarskich i hoteli od 28 grudnia 2020 r. do 17 stycznia 2021 r. Ponadto wprowadzone mają zostać ograniczenia w przemieszczaniu się w sylwestra. Utrzymujący się z turystyki mieszkańcy Podhala zostaną pozbawieni możliwości zarabiania w najważniejszym okresie w roku. Nowe przepisy oznaczają ostateczne odwołanie ferii zimowych. Nastroje na Podhalu są ponure. Wiele osób obawia się bankructwa.

Uszatek prosi o pomoc

Szanowni Państwo,
zwracamy się do Was z gorącą prośbą o pomoc dla Uszatka. Pochylik się nad jego historią, rozważcie wsparcie. Wiemy, że okres jest wyjątkowo trudny, ale wiemy też, że Uszatek nie ma czasu na czekanie.

Uszatek miał być nowym pracownikiem w dużym ośrodku jeździeckim. Pani, która go kupiła, długo rozważała, czy właśnie Uszatek zaspokoi jej oczekiwania. Miał być spokojny, dość duży i niestary. Uszatek taki jest. Dziś jest też przerażony i zupełnie bezradny. Bo Uszatek, który miał pracować, pojeździł na rzeź. Okazał się chory. Hodowca, który sprzedawał osiołka, „zapomniał” dodać, że Uszatek kuleje. Nie mogą na nim jeździć dzieci, nie może ciągnąć bryczki, nie może na siebie zarobić. A darmozjadów nikt trzymać nie chce. Kobieta, która widziała świetny interes w kupnie Uszatka, bez skrupułów sprzedała go handlarzowi. Nie próbowała nawet go leczyć, bo jej potrzebny był parobek na już, a nie zwierzę, które swoją chorobą generuje koszty i naraża na straty. Uszatek dziś stoi i czeka na transport do rzeźni. Fotor stęchłego obornika, handlarski skórzany kantar, gruba stara lina, to atrybuty zbliżającej się śmierci.

Daliśmy za Uszatka 200 zł zadatku i ustaliliśmy termin spłaty do końca roku. Musimy zebrać jeszcze 1700 zł, by zapłacić za jego życie. Potrzeba też 900 zł, by go do nas przewieźć. Zwracamy się z wielką prośbą o pomoc dla Uszatka. On może żyć i dołączyć



do naszego stada podopiecznych. Jest dla niego bezpieczne schronienie, ale potrzebna jest Państwa pomoc, by go spłacić.

Z całego serca prosimy o wsparcie dla Uszatka, dla niego dziś liczy się każda złotówka. W te Święta wspólnie możemy odmienić jego los.

Ty także możesz pomóc, wystarczy, że dokonasz darowizny z tytułem USZATEK na konto PKO BP 72 1020 5138 0000 9102 0166 4523.

Wyślij SMS o treści USZATEK pod numer 7420 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)



Ogólnopolska Fundacja Dla Zwierząt
Hallera 190/6, 53-203 Wrocław, tel. +48 576 091 472, www.fundacjadlazwierzat.pl
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Społecznej
Regulamin: fundacjadlazwierzat.pl/rk.html

Jeden onkolog i 70 pacjentów dziennie

Chciałem, żeby 2 mld zł trafiły do chorych. Niestety, trafiły do chorej telewizji

Rozmawia Beata Igielska

Przychodzi do pana w grudniu roku pandemicznego 2020 pacjent NFZ z prawie pewnym rozpoznaniem guza wątroby lub nerki. I co się dzieje?

– Przede wszystkim nie przychodzi. Mamy prawie rok pandemii. Zmniejszyła się liczba chorych, u których lekarze rodzinni rozpoznawali nowotwory i którym wystawiali zieloną kartę DiLO, teoretycznie gwarantującą szybkie przyjęcie. W rzeczywistości szybka terapia nie działa: mimo posiadania karty onkologicznej są kolejki do badań, do 30 dni oczekuje się na tomografię, potem długo na wynik badania. W niektórych województwach liczba kart zmniejszyła się o 30-40%. W niektórych powiatach przez kilka miesięcy w ogóle nie było zgłoszeń na mammografię.

Chorzy na nowotwór przez covid zgłaszają się za późno, umrą, mimo że ich leczenie będzie drogie.

Jeśli więc jutro zgłosi się do mnie chory z guzem wątroby czy rakiem nerki, będzie to inne zaawansowanie niż to, z którym mógł się pojawić osiem miesięcy wcześniej. Może czas nie jest tak istotny dla chorych z rakiem nerki, bo u większości pacjentów może on mieć mniej agresywny przebieg, ale jeśli mówimy o chorych z rakiem płuca, piersi czy trzustki lub z wysokimi stopniami złośliwości raka prostaty, który ostatnio jest zabójcą numer jeden Polaków – zajął miejsce raka płuca – to dla nich może być za późno na ratunek.

W jednym z wywiadów powiedział pan: „Powstanie zjawisko tsunami, ogromnej, niszczącej fali, która nadciągnie do nas po pandemii. Trafi do nas ogromna liczba chorych

z chorobą nowotworową rozpoznaną bardzo późno, w trzecim i czwartym stadium zaawansowania. Tych chorych nie będziemy mogli uratować”. To ponura diagnoza, a z tego, co pan mówi – dziś pewna.

– Niestety, ta diagnoza się sprawdza. Na epidemiologiczną analizę zjawiska będziemy musieli poczekać ze dwa, trzy lata, zanim zobaczymy, jak zmieniły się proporcje: ilu pacjentów zgłosiło się w dalekich stopniach zaawansowania choroby, a ilu we wczesnych, u których możliwe będzie leczenie radykalne. Na pewno to wstrząśnie dotychczasową polityką zdrowotną państwa.

W jaki sposób?

– Po pierwsze, nie wyleczymy tysięcy ludzi. Umrą wszyscy chorzy, którzy trafią do nas w trzecim, czwartym stadium zaawansowania raka. Szybsza lub późniejsza śmierć będzie oczywiście

zależała od rodzaju nowotworu. Wielu chorych już nie przywrócimy społeczeństwu. Trzeba też pamiętać, że chory wyleczony z nowotworu to człowiek, który żyje z pewnym piętnem psychicznym, który ma świadomość, że zachorował, ale wraca do pracy, może prowadzić normalne życie społeczne, być szczęśliwym dziadkiem czy szczęśliwą babcią. Tych ludzi będzie zdecydowanie mniej. Natomiast wzrosną koszty leczenia, bo im bardziej skomplikowane, bardziej zaawansowane leczenie, tym droższe. A chorzy i tak umrą.

To straszne, ale dobrze, że pan o tym mówi.

– W wypadku wcześniej rozpoznanego nowotworu możliwy jest szybki zabieg operacyjny. Wycina



PROF. CEZARY SZCZYLIK

– wybitny onkolog, specjalizujący się także w hematologii i chorobach wewnętrznych

się chory narząd lub jego część i pacjent jest wyleczony. Nie ma nakładów na skomplikowane leczenie, które z roku na rok staje się coraz droższe, bo wchodzi nowe formy terapii, łącznie z immunoterapią. Jako efekt uboczny pandemii przybywa nam więc chorych z rozszalanymi nowotworami, nieoperacyjnymi, niemożliwymi do leczenia radykalnego. Koszty nowoczesnych leków, które powinniśmy stosować, rosną dramatycznie. Ale np. w leczeniu raka nerkowokomórkowego jesteśmy 15 lat za Europą. Od kilkunastu lat stosujemy tylko dwa leki w pierwszej linii leczenia i tylko dwa w drugiej. Nie ma leczenia trzeciej linii. Nie dysponujemy immunoterapią w linii leczenia. Tymczasem Europa i świat leczą tych chorych immunoterapią w pierwszej, drugiej i trzeciej linii. Leczy się to w skojarzeniu z tzw. inhibitorami kinaz, osiągając wyższą skuteczność niż w wypadku leczenia jednym lekiem.

W Polsce onkolodzy wiedzą, jak należy leczyć, bo wciąż się dokształcają, jednak leczyć według swojej najlepszej wiedzy nie mogą. Pacjenci są świadomi, że tracą szansę na

przedłużenie życia, bo wiele nowoczesnych leków, pozwalających często podwoić i potroić czas przeżycia, u nas jest niedostępnych. Między lekami, którymi leczymy w Polsce, a tymi, które weszły do leczenia na świecie, jest ogromna różnica w wynikach.

Nie dość, że jesteśmy 15 lat za Europą, to jeszcze lekarzy chcących leczyć zgodnie z europejskimi standardami, którzy upominają się o prawa pacjentów, nazywa się lobystami firm farmaceutycznych.

– Zawsze gdy politycy nie potrafią rozwiązać problemów w opiece zdrowotnej, chłopcem do bicia stają się lekarze albo pielęgniarki. Przecież to nie my organizujemy system, my jesteśmy jego uczestnikami. Jest on organizowany wyłącznie przez polityków. Żadna partia nie wykazała się tutaj nadzwyczajną przezornością ani mądrością. System opieki zdrowotnej nie był reformowany, co najwyżej był pogarszany. Nie wspomnę już o ministrze zdrowia z SLD, który doprowadził do katastrofy organizacyjnej, jednocząc NFZ i centralizując władzę. Czekamy wreszcie na takie ugrupowanie i takich polityków, którzy nie będą myśleli o własnych interesach i stołkach, lecz poświęcą się rozwiązywaniu problemów społecznych o ogromnym znaczeniu i zasięgu.

Konieczna jest nowoczesna reforma systemów edukacji, zdrowia, ubezpieczeń społecznych. Te trzy filary stanowią o bezpieczeństwie obywateli i pomyślnej przyszłości państwa. Ostatnia władza jest pod tym względem absolutnie „wybitna”. TKM realizują bez białych rękawiczek, kłamią w żywe oczy.

System opieki zdrowotnej od lat nie był reformowany, co najwyżej był pogarszany.

Prowadzona przez nich polityka jest zaprzeczeniem systemu wartości, w którym byliśmy wychowywani od stuleci.

Słyszałam też o dziwnych podziałach środków refundacyjnych w onkologii.

– Podział refundacji dla nas, lekarzy onkologów, jest niezrozumiały, niesymetryczny. W raku płuca, podobnie w czerniaku, mamy refundowaną większość nowoczesnych

leków, natomiast w raku nerki, wątroby, jelita grubego, gdzie nowe leki pojawiają się co roku, nie refunduje się wielu preparatów, które znacząco poprawiają wyniki leczenia tych schorzeń. Refundacje zależą od tego, kto o nich decyduje. W przypadku raka nerkowokomórkowego czy raka wątrobowokomórkowego jest absolutny dramat. Tu opóźnienia w refundacji mamy kilkunastoletnie.

Jako efekt pandemii będziemy mieli więcej chorych zaawansowanych, wymagających nowoczesnych terapii, których im nie zaoferujemy, bo nie mamy na to pieniędzy. Dostali je handlarz bronią, instruktor narciarski, o. Rydzyk i TVP. Walczyłem o te pieniądze publicznie. Chciałem, żeby te 2 mld zł trafiły do chorych. Niestety, trafiły do chorej telewizji.

Zawsze gdy politycy nie potrafią rozwiązać problemów w opiece zdrowotnej, chłopcem do bicia stają się lekarze albo pielęgniarki.

Z powodu raka umiera rocznie 100 tys. osób, w wypadkach drogowych ginie ok. 3 tys. Jednak to newsy o śmiertelnych ofiarach kraks samochodowych pojawiają się w wiadomościach, a nie śmierć 250 osób dziennie pokonanych przez raka. Jego leczenie wciąż nie jest priorytetem.

– Problemem leczenia onkologicznego jest koncentracja uwagi i środków na wybranych instytucjach. Mamy jedną instytucję w Polsce, która skupia większość uwagi i środków – Narodowy Instytut Onkologii. Znakomicie wyposażony, dysponujący świetną, doświadczoną kadrą. Jednakże

równolegle niedoszacowanie wartości usług onkologicznych będzie zmuszać zarządy wszystkich placówek do wykonywania jak największej liczby usług, z maksymalnym skróceniem czasu ich wykonywania.

Położono też nauczanie w uczelniach medycznych, prowadząc je nie tam, ale w placówkach podległych Instytutowi Onkologii. Nie dość, że kadra lekarska ma ogromne deficyty czasowe, bo przyjmuje ogromną liczbę chorych, to jeszcze ta sama kadra zmuszona jest do prowadzenia działalności dydaktycznej. Jest niemożliwością, by aktywność w obu tych obszarach była na najwyższym poziomie. Dopiero od niedawna podjęto próbę kształcenia na określonym poziomie. Kiedy więc będziemy mieli w pełni sprawnych, doświadczonych lekarzy

w najbardziej potrzebnych i trudnych dyscyplinach? Mówię o chirurgii, bo średnia wieku chirurgów w Polsce to ok. 59 lat, pielęgniarek 56+. Tego nie da się nadrobić rozporządzeniami. Ani tym, że pan premier stanie i powie: jutro będziemy mieli nowych. No, nie będziemy mieli. Jeśli zaczniemy o tym rozmawiać dziś, zdarzy się to najwcześniej za 10 lat.

Chce pan powiedzieć, że brakuje lekarzy onkologów, a jednocześnie nie ma współpracy między siecią placówek onkologicznych a uczelniami medycznymi?!

– Ta współpraca idzie dwoma torami. Niby Instytut Onkologii kształci studentów Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, ale proszę zapytać studentów, jaki to kształcenie ma poziom. WUM, najlepsza uczelnia medyczna w Polsce, do tej pory nie dochował się pełnoprawnej katedry i kliniki onkologii i radioterapii. A to ta dyscyplina prócz kardiologii jest krytyczna dla zdrowia społeczeństwa.

Nie dziwny się więc, że polskie statystyki wyleczalności raka wyglądają, jak wyglądają.

– Statystyki europejskie mówią, że wyleczalność raka jest na poziomie 50%. W Polsce ledwo powyżej 20%. Na raka umiera 100 tys. osób rocznie. Z tego ▶

► co najmniej 20 tys. za szybko. Nie dajemy im szans na życie przez to, że system jest niepełnosprawny. Na dodatek przyszła pandemia i wszystkie oczy zwrócone były na chorych covidowych.

Były? Wciąż są.

– Ale nie tylko na chorych, również na ministra, który jaśniał światłem wiekuistym. I wszystkie kamery były na nim, jak na bogu, skoncentrowane, a bóg mówił rzeczy niezwykle i wspaniałe. Po czym okazało się, że bóg, zamiast się wspomóc profesjonalistami, kupował sprzęt dla chorych u handlarza bronią, a maseczki – ze swoim instruktorem narciarskim. Tak karykaturalnego ministrowania nie spodziewałem się po panu ministrze Szumowskim.

Chyba nikt się nie spodziewał. A czy obecny minister Adam Niedzielski nie zawodzi?

– To jest ekonomista, celowo wyznaczony, by uporządkować i zdyscyplinować politykę finansową. Ale ekonomista nie może wskazać dróg rozwoju systemu opieki zdrowotnej. Do tego potrzeba profesjonalisty. Każda partia zamierzająca przejąć władzę powinna wysłać na studia zagraniczne młodych lekarzy, absolwentów studiów ekonomicznych, do

o najczęściej dużo większej śmiertelności niż covid.

Ale w marcu tak nas napompowano strachem... Zresztą sam pan mówi, że ludzie za bardzo wystraszone skutkami koronawirusa.

– Doskonale pamiętam zdjęcie z drona nad Warszawą. Zachorowań było 10-12 na całą Polskę, a ulice Warszawy były opustoszałe. To pierwotnie wadliwe rozpoznanie skali zagrożenia czy raczej nierozpoznanie

System zdrowia poprawimy tylko wtedy, kiedy polityka zdrowotna będzie absolutnym priorytetem.

rzeczywistego zagrożenia i brak racjonalizmu. Najłatwiej było wszystkich przestraszyć, na początku te obostrzenia były zbyt dramatyczne. Odbiło się to czkawką, gdyż wszyscy uwierzyli, że przecież nic nikomu się nie stało, bo wtedy zapadalność na covid była bardzo niska, a śmiertelność to jeden przypadek dziennie. Nie dziwny się więc, że ludzie zachowywali się jak lemingi, które o jednej porze roku wszystkie podążają ku otchłani Atlantyku i masowo giną. Rodaczki i rodacy wylegiwali się na placach dziesiątkami tysięcy, wyprawiali na zakupy do galerii handlowych,

w rozsądnej izolacji, przestrzegać zaleceń epidemiologów i lekarzy chorób zakaźnych. Szczepionki dostaniemy może na początku roku, może wiosną, a efekty szczepienia zauważalne będą dopiero po paru miesiącach, nie dzisiaj.

Ale mi pan wizję kreśli: brak pieniędzy, brak lekarzy onkologów...

– To nie jest wizja, to rzeczywistość. W poradniach większości placówek onkologicznych na jednego

lekarza przypada do 70 pacjentów dziennie, to zaledwie trzy-cztery minuty na chorego. To czas, by odczytać numer rejestracyjny, spojrzeć na badania i postawić tego schorowanego człowieka w drugą kolejkę, w której znowu spędzi kilka godzin. Czy w takim kierunku chcemy reformować system opieki zdrowotnej? Ostatnio mogliśmy oglądać obrazki sprzed Narodowego Instytutu Onkologii – kilkusetmetrowa kolejka do rejestracji. Tłumaczenia Instytutu, że mają kłopoty, są oczywiste. To wynik koncentracji większości usług w jednym miejscu. W obrębie aglomeracji, jaką jest Warszawa, powinno istnieć kilka równorzędnych dużych placówek, tymczasem są jedynie mniejsze, rozproszone, o niższym poziomie wyposażenia. Centrum Onkologii pochłania wszystkie ogromne nakłady finansowe. Wzmacnia się INSTYTUCJA, nie wzmacnia się jednak system. Pod opieką tak dużej instytucji znajdują się dziesiątki tysięcy chorych. A czas, który można chorym w zamian za tak duże nakłady poświęcić, to zaledwie minuty. Nie winię tu Instytutu, który wykonuje fantastyczną pracę w ekstremalnie trudnych warunkach. Tej instytucji oraz pracującym w niej onkologom potrzeba rzeczywistej reformy systemu i zwielokrotnienia nakładów na opiekę zdrowotną. Przyczyną tej klęski są politycy i polityka.

Czyli teraz liczy się tylko decyzja ministra finansów o znaczącym zwiększeniu środków na onkologię, bo nikt przy zdrowych zmysłach już chyba nie uwierzy w deklaracje i obietnice.

– Tak, tyle że kasa idzie znowu do jedynej telewizji, do głęboko

Na raka umiera 100 tys. osób rocznie. Z tego co najmniej 20 tys. umiera za szybko.

najlepszych uczelni zachodnich, by stali się profesjonalistami w zarządzaniu systemem, kiedy ta chwila nadejdzie. Dotychczas żadna partia tego nie robiła. Niestety, po rządzących nie możemy oczekiwać, że coś zmieni. Nadal najpopularniejszym zachowaniem w dyskusjach o reorganizacji systemu zdrowia jest milczenie albo – co jeszcze gorsze – zrzucanie winy na poprzedników. To dziecinada.

Z tego, co pan mówi, rak okazał się mniej groźny niż koronawirus. Czy to ten element w nowej, pandemicznej rzeczywistości denerwuje pana najbardziej?

– Jest to przede wszystkim efekt fatalnej polityki Ministerstwa Zdrowia i NFZ. To błąd, że skoncentrowano się tylko na koronawirusie, gdy żadne najpoważniejsze zagrożenia nie zniknęły. Nadal istnieją poważne schorzenia nowotworowe, kardiologiczne, metaboliczne

masowo posłali dzieci do szkół. Nastąpiło przegięcie w drugą stronę.

Wciąż nie mamy zrównoważonego komunikowania o rzeczywistych zagrożeniach i o rzeczywistych sposobach zapobiegania, jak też przypominania, że nie ma jeszcze leku na covid. Mamy natomiast niezrównoważonych przywódców, którzy jak jednego dnia widzą 5 tys. zakażeń, mówią, że zahamowaliśmy, że wygrywamy... A następnego dnia jest 9 tys., kolejnego 13 tys. Nie można brać na poważnie polityka, który traktuje rzeczywistość powierzchownie, bez głębszego rozeznania i zrozumienia. Pan premier, gdy rozpoczęto rozmowy o szczepionkach, triumfalnie obwieścił, że wszystkich wyleczymy. A szczepionka nie leczy w dosłownym rozumieniu, jej efekt działania jest odłożony w czasie. To nieprawda, że od dziś zapanujemy nad pandemią. Dziś mamy być rozsądni, żyć

patologicznego wyznania okolicy dykowanego. Co gorsza, Kościół katolicki na to nie reaguje. Współczuję tym starcom, którzy dzisiaj rządzą Kościołem – spoglądają w stronę grobu bez refleksji, nie widząc spustoszeń moralnych, zniszczenia wiary w misję Kościoła. Widzą, że młodzi odwracają się, i nie reagują. Wszystko, do czego byliśmy od początku rewolucji Solidarności, od niezwykłego odrodzenia polskiej państwowości i gospodarki przyzwyczajeni, świadomi w większości sukcesu tej odbudowy, na naszych oczach gnije, murszeje, bo rządzący zapomnieli o reformach – nadal są bardzo zajęci sobą.

Ma pan pomysł, jak z tej trudnej sytuacji wyprowadzić służbę zdrowia?

– Głosować na nieskompromitowaną partię. Tylko że wszystkie do tej pory się skompromitowały. Liczę na to, że do następnych wyborów podążą młodzi. Ogólnopolski Strajk Kobiet spowoduje, że wstrząśniemy posadami tego zmurszałego układu politycznego. Liczę na kobiety. Sam system zdrowia poprawimy jedynie wtedy, kiedy powstanie ponadpartyjny konsensus na temat priorytetów w polityce państwa, a polityce zdrowotnej zostanie nadany priorytet absolutny. Bo

niewydukowany i chory Polak nie będzie w stanie zapewnić temu państwu politycznej przyszłości.

Nie ma pan czasami dość bycia lekarzem? Nie chciałby pan rzucić tego wszystkiego?

– Jestem lekarzem, moim obowiązkiem, powołaniem jest praca dla pacjenta. Będę robił wszystko, żeby chory był leczony optymalnie. Natomiast rzeczywiście okropne jest uczucie, że mój proces ustawicznego kształcenia, moja wiedza o nowoczesnych formach leczenia nie przekładają się na skuteczność i codziennie widzę i słyszę polityków z ich nieudolnością i narcyzmem. Ich obowiązkiem i misją winna być dbałość o stałe doskona-

czytam Radka Raka. Wielkiej próby literatura. Tacy pisarze i ich dzieła ratują nas przed beznadziejnością polskiej codzienności. Nie „Majteczki w kropeczki”.

A skoro przy rodzinie jesteście, żona jest psychoterapeutą, psychoonkologiem. Jak rozumie, na taki „kaprys” teraz nie stać oddziałów onkologicznych?

– Psychoonkologów jest bardzo mało. A łatwo sobie wyobrazić, jak się czują chorzy bez ich wsparcia, jeśli lekarz ma dla nich trzy minuty.

Czego mogę panu życzyć na nowy rok?

– Żebyśmy wreszcie się dotkali. Kompletniej zmiany ustroju. Żebyśmy doczekali się dojrzałych

Nie można brać na poważnie polityka, który traktuje rzeczywistość powierzchownie, bez głębszego rozeznania i zrozumienia.

lenie systemów opieki zdrowotnej, edukacji, tymczasem koncentrują się na „kupowaniu i karmieniu” głosów, których pozyskanie pozwoli im sprawować ulubioną funkcję, czyli bycie politykiem.

Jak pan sobie radzi z takimi kryzysami egzystencjalnymi?

– Mam rodzinę i przyjaciół, na szczęście. Mam książki... Ostatnio

polityków. Żeby nas covid nie zjadł, nim zmadrzejemy. Potrzebujemy rozważnych decyzji, słuchania się doświadczonych i mądrych ludzi. Życzę nam wszystkim i sobie optymizmu. Bo bez niego nie oprzemy się fali zła.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeгляд.pl

PRZEGLĄD DO BIBLIOTEK

Dzięki wpłatom naszych Czytelników PRZEGLĄD dostawało 91 bibliotek. Były to m.in. placówki w Małej Wsi, Świątkach, Łącku, Radzanowie, Nowym Duninie, Przasnyszu, Brudzeniu Dużym, Wieruszowie, Jarocinie, Bulkowie czy Kozienicach (pełna lista na www.tygodnikprzeгляд.pl).

W imieniu bibliotek dziękujemy za ten prezent.

Zaczyna się nowy rok, a biblioteki mają skromne środki. Dostajemy wiele prośb o przysyłanie PRZEGLĄDU. Będziemy więc kontynuować tę pożyteczną akcję.



Prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka”

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Takich ran nigdzie nie zobaczysz

Bezdomni im ufają, bo wiedzą, że Medycy na Ulicy traktują ich z uwagą i szacunkiem

Ewa Smolińska-Borecka

W centrum Warszawy przed Dworcem Centralnym w każdy poniedziałek i piątek wieczorem zbierają się bezdomni. Nie tylko ci, którzy od lat, od miesięcy czy dni mieszkają na dworcu. Przyjeżdżają z całego miasta, bo tu mogą znaleźć pomoc lekarską. Inicjatywa Medycy na Ulicy funkcjonuje już dziesięć lat. W czasach pandemii, kiedy ochrona zdrowia skupiła się na walce z covidem, jest tym bardziej potrzebna.

Poniedziałek, ostatni dzień listopada, a zimno jak zimą. Dochodzi godz. 19. Na parkingu jeszcze nie ma ambulansu. Pojawi się przed godz. 20 i zatrzyma jak zawsze na rogu. Ale nieopodal już stoi uformowana w długą kolejkę przeszło stuosobowa grupa bezdomnych. Nie wszyscy mają problemy zdrowotne. Po prostu przyszli na kolację. Można ją zjeść raz w tygodniu. Wolontariusze z Fundacji Daj Herbatę już rozdawali na murku kilkanaście termosów z gorącą herbatą i kawą. Teraz szykują się do rozdawania paczek. Oceniają liczbę oczekujących i szacują, że z powodu zimna, jest mniej ludzi niż w ostatnich tygodniach, kiedy na posiłek przychodziło nawet 230 osób. Dlatego ci najbardziej wygłodzeni będą mogli stanąć po raz drugi w kolejce po dodatkową porcję. To dwie kanapki z wędliną i sałatą, pasztet w puszcze, banan i pojemnik z gorącą zupą – kremem jarzynowo-pomidorowym.

Ambulans z emblematem Fortior – Fundacja dla Wielu właśnie przyjechał. *Fortior* po łacinie znaczy silniejszy, bo fundacja chce dawać siłę osobom w kryzysie. Kilku dziesięciu bezdomnych zamieniło fundację karmiącą na leczącą. W kolejce nie wiadomo, kto jest kim. Po pomoc przychodzą ludzie z dyplomami uczelni, byli żołnierze z misji zagranicznych czy ubodzy emeryci. Ostatnio do

bezdomności przyznał się znany muzyczny dziennikarz radiowy.

Agresja nie przejdzie, zwłaszcza wobec kobiet

W karetce jest tylko tyle miejsca, by zmieścili się pacjent leżący na łóżku i dwoje medyków. Michał „Walter” Chęstowski kończy przygotowania do przyjęcia pacjentów – dezynfekuje co potrzeba. Niebawem zjawia się Daria „Dusia” Kaźmierczak. Oboje są ratownikami kwalifikowanymi – ukończyli kurs kwalifikowanej pierwszej pomocy, a potem szkolenia podnoszące umiejętności. Będą się zajmować pacjentami jednocześnie, by zminimalizować czas wizyty. Przy ambulansie głównie mężczyźni, zaledwie kilka kobiet. Szefem zespołu jest dziś Marcin, ratownik medyczny z wykształceniem kierunkowym, może podawać leki i wykonywać samodzielnie czynności medyczne.

My, którzy przyjmujemy chorych pod dworcem, udowadniamy światu, że są jeszcze dobrzy ludzie.

Marcin jest w grupie Medycy na Ulicy od dwóch lat. – Jeśli ktoś wytrzymał sześć miesięcy, mówimy, że jest weteranem – śmieje się. – Albo ktoś przychodzi i wsiąka w tę działalność, albo pojawi się raz czy dwa i znika. Może inaczej sobie wyobrażał tę pracę, może nie wytrzymał tego, co się tu dzieje? Ale czasem to my rezygnujemy z takiego człowieka. Przede wszystkim musi zostać zaakceptowany przez nasz zespół i podopiecznych. To ważne. My traktujemy naszych podopiecznych jak równorzędnych partnerów. Są osoby, które pracują w fundacji pięć lat, siedem, a nawet dziesięć.

Marcin zawiadamia oczekujących, że jako pierwsze zostaną przyjęte kobiety i przeprowadza wstępne wywiady: cały na czarno w firmowej odzieży fundacji, podchodzi do

każdej osoby w kolejce, pyta, jakiej pomocy oczekuje, robi notatki. Są tacy, którzy przyszli po pierwszą pomoc, inni potrzebują wsparcia w zakupieniu leków na receptę, kolejni tylko po skarpetki, rękawiczki czy majtki, bo medycy przywożą je ze sobą. Pierwsi podopieczni – tak Marcin zawsze mówi o bezdomnych – już dostali, co chcieli, więc mogą się udać na nocleg do noclegowni, pułstoszanów czy zacisznych zaułków. Albo położyć się spać gdziekolwiek i przykryć kocem, jak ten bezdomny, który zwykle nocuje na chodniku w sąsiedztwie Dworca Centralnego.

Starsza kobieta opiera się na dwóch kulach. Podobnie stojący obok mężczyzna. Rozmawiają i nagle mężczyzna kulą uderza w plecy kobietę. Nie wiadomo, o co chodzi. Ale Marcin, który to widzi, nie docieka przyczyny. – Dzisiaj nie zostaniesz przyjęty. Przepraszam cię panią i prześlę swoje zachowanie – informuje

agresora. Mężczyzna zabiera plecak i wielką walizkę na kółkach, odgraża się, że wódcęj tu się nie pojawi. Jeden z bezdomnych mówi spokojnie: – Przecież wiesz, że tu wrócisz, bo potrzebujesz ich pomocy. Jak nie w piątek, to w następny poniedziałek tu przyjedziesz.

– Nasi podopieczni dobrze wiedzą, że nie toleruję przemocy, a przemocy mężczyzny w stosunku do kobiety szczególnie – wyjaśnia Marcin. – Wiedzą też, że po takim incydencie tego dnia nie uzyskają pomocy. Muszą przemyśleć, co zrobili. Taka kwarantanna bardzo dużo daje. Potem przychodzą i przepraszają, a my zapominamy o incydencie. Jeżeli ktoś próbuje być agresywny, nasi podopieczni najpierw załatwiają sprawę między sobą. Bardzo rzadko agresja jest skierowana w nas.



– Od kiedy przychodzę na dyżury Medyków na Ulicy, Dworzec Centralny stał się pięknym miejscem – mówi Daria „Duśka” Kaźmierczak.

Podopieczni dbają o to, żeby nikt nie zrobił nam krzywdy.

Kobieta, która dostała kulę w plecy, nie jest bezdomna. To emerytka, której nie starcza pieniędzy na wykupienie leków. Takie osoby również korzystają z pomocy Medyków na Ulicy. – Przynosi receptę, której nie może wykupić, i dostaje od nas informację, gdzie może uzyskać pomoc – opowiada Marcin. – Darczyńcy wspomagają nas nie tylko wpłatami, ale i materiałami opatrunkowymi. Część osób, które przychodzą tutaj, nie kwalifikuje się do pomocy, bo narzekają na zmęczone nogi, a w takim przypadku nic nie możemy zrobić. Taka osoba powinna się położyć i po prostu odpocząć. Bardzo dużo osób przychodzi z różnego rodzaju ranami. Jedne są wynikiem braku możliwości wykonania podstawowych zabiegów medycznych, drugie konsekwencją upadków. Przychodzą też z problemami skórnymi. Głównie są to stali pacjenci, którzy wymagają opatrunku. Mają przychodzić do nas w poniedziałki i piątki. Jeśli jest zachowana ciągłość wsparcia dla pacjenta, to po dwóch-trzech miesiącach wychodzą nawet z ciężkich przypadków. Ale zdarza się, że przyjdą raz, dostaną opatrunek i już się nie pojawiają.

Nieduży mężczyzna jest holowany przez kobietę w jasnej kurtce i jasnych legginsach. To rzadkość, bo bezdomni wybierają raczej ciemne kolory. „Jasna pani” mówi, że

przyjaciół musi być przyjęty poza kolejnością, bo za chwilę będzie miał atak padaczki. Po rozmowie z Marcinem oddalają się. Wtedy jeszcze nie wiem, dlaczego zostali odprawieni.

Kobiety już uzyskały pomoc. Jedna została odesłana do szpitala, bo objawy mogły świadczyć o poważnym zakażeniu bakteryjnym. Drugi ciężki przypadek to rana z powodu podpalenia – w czasie snu mężczyźni podpalono skarpetki.

Operator z bandażem zamiast kamery

Każdy pacjent zajmuje medykowi od kilkunastu do kilkudziesięciu minut. Michał i Daria są zmęczeni. Potrzebują chwili wytchnienia.

– Trafiłem do Medyków na Ulicy w styczniu tego roku – mówi Michał „Walter” Chełstowski. – Znalazłem się tu przypadkiem, bo pomagałem kiedzie przy jednym transporcie. Powiedział mi: „Wiesz, jest na Centralnym taka fajna ekipa ludzi, którzy pomagają, może chciałbyś ze mną pojechać?”. Przyjechałem i już zostałem. Od tego momentu jestem niemal na wszystkich dyżurach, poświęcam tej działalności od 15 do 20 godzin tygodniowo, *pro bono*. Czyli jakbym miał dodatkowe pół etatu. Dołączyłem do Medyków na Ulicy, bo zawsze lubiłem pomagać ludziom i tutaj mogę się spełnić. A poza tym to jest niesamowita grupa ludzi.

Zawodowo nie jest związany z medycyną. Jest filmowcem, ma firmę producencką. Pochodzi z rodziny związanej z reżyserią i twórczością telewizyjną, więc świat ludzi bezdomnych raczej nie był mu znany. Teraz go poznał. Nauczył się imion podopiecznych, a oni mówią do niego po prostu „Walter” – kiedy było w fundacji kilku Michałów, dodano mu taką ksywkę.

– Jestem podobnie jak „Walter” ratownikiem kwalifikowanym pierwszej pomocy – wyjaśnia Daria Kaźmierczak. – Przyszłam do fundacji mniej więcej w tym czasie co on, jestem tu ponad rok. Na kursie poznałam ludzi związanych z fundacją. Zaprośili mnie, żebym wpadła na dyżur. I tak zostałam. W fundacji łączy nas również to, że wszyscy się lubimy. Zawodowo nie pracuję, jestem studentką wydziału pedagogicznego.

Czy pomaganie ludziom w kryzysie daje jej satysfakcję? – Zdecydowanie tak! – przekonuje „Duśka”. – Zdarzają się trudniejsze momenty, które zmuszają nas do refleksji, do przemyśleń. Ale dla mnie, od kiedy przychodzę na dyżury Medyków na Ulicy, Dworzec Centralny stał się pięknym miejscem. Myślę, że m.in. my, którzy przyjmujemy chorych pod dworcem, udowadniamy sobie nawzajem i światu, że są jeszcze dobrzy ludzie. I że drugi człowiek może być piękny, nawet jeśli akurat jest w kryzysie bezdomności. Niejednokrotnie nasi podopieczni są fantastycznymi osobami, które spotkało coś, z czym nie mogą sobie poradzić. My jesteśmy tu także po to, by im pokazać, jak z tej sytuacji można wyjść. Z nami zawsze dyżurują psycholodzy, którzy wspierają podopiecznych. Teraz mamy ograniczone możliwości nawiązywania kontaktów. Są maski i trudniej zobaczyć, że ktoś się uśmiecha. A uśmiech i dobre słowo są tu bardzo ważne.

Najtrudniejszy przypadek na dzisiejszym dyżurze? – Jesteśmy przyzwyczajeni do długiego gojących się ran czy pasożytów i umiemy sobie z nimi radzić – zapewnia Daria. – Dla mnie najtrudniejsze są takie sytuacje jak dziś – był podopieczny, który miał poparzoną stopę, bo ktoś podpalił mu skarpetki. Z perspektywy medycznej nie jest to trudny przypadek, ale trudno się z czymś takim pogodzić. ▶



Do ambulansu po pomoc zgłaszają się ludzie z dyplomami uczelni, byli żołnierze z misji zagranicznych czy ubodzy emeryci.

- ▶ Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie robią sobie takie rzeczy.

Świeży nabytek

Dziś „Walter” musi wcześniej niż zwykle zejść z dyżuru, a bywa, że trwa on i po północy. Na jego miejsce przyjechała Katarzyna Daniszewska. Podobnie jak „Dusia” jest studentką, ale prowadzi też firmę, która zajmuje się organizacją szkoleń pierwszej pomocy i pracami na wysokościach. Jest ratownikiem kwalifikowanym,

jakie tu można zdobyć, jeśli chodzi o pacjentów z ciężkimi ranami. Po drugie, jeśli mam trochę czasu, lubię go dobrze spożytkować. A po trzecie, teraz, kiedy państwowy system opieki zdrowia i system ratownictwa medycznego jest tak obciążony, można zatrzymać postęp choroby i nie będzie ona zagrażać zdrowiu czy życiu podopiecznego, nie będzie też potrzeby korzystania z systemu ochrony zdrowia.

Mówi jak minister zdrowia. Za to minister – niestety – tak nie mówi.

Jeden z pacjentów jest w karetce ponad pół godziny. Dla oczekujących na chłodzie to wieczność, dla ratowników – dokładnie tyle, ile potrzeba.

instruktorem pierwszej pomocy, a w pewnym momencie ratownictwo uznawała za powołanie i postanowiła zostać ratownikiem medycznym. – Poszłam na trzyletnie studia, które miałam zakończyć w tym roku obroną pracy licencjackiej – wyjaśnia. – Ratownictwo medyczne jest dla mnie powołaniem. Niestety, przez pandemię utknęłam za granicą i jeszcze nie miałam obrony pracy. Ale jeśli nie w tym roku, to w następnym na pewno ją obronię.

Mówi, że jest dosyć świeżym nabytkiem. – Od pewnego czasu obserwowałam Medyków na Ulicy. Miałam bardzo mało czasu ze względu na pracę, ale kiedy trochę się rozluźniło, spytałam, czy mogę dołączyć do fundacji. Bardzo chciałam. Po pierwsze, ze względu na ratownictwo medyczne i na ogromne doświadczenie,

Kuba nie jest członkiem fundacji, ale przychodzi od jakiegoś czasu, bo chciałby pełnić dyżury z Medykami na Ulicy. Mimo przenikliwego chłodu trwa przy ambulansie, gotowy do pomocy. Pójdzie do pobliskiego baru po gorącą kawę i kanapkę dla dyżurujących albo przypilnuje, by żaden z podopiecznych z kolejki nie zbliżał się niepotrzebnie do ambulansu. Z zawodu jest strażakiem, ma uprawnienia ratownika, studiuje na wydziale pielęgniarstwa.

Mężczyzna, który przyszedł z psem, w karetce jest ponad pół godziny. Dla oczekujących na chłodzie to wieczność, dla ratowników – dokładnie tyle, ile potrzeba. Pies się niepokoi. Podopieczni fundacji też, że zbyt długo czekają. Marcin spokojnie tłumaczy, że przecież pacjenta z karetki nie wyrzuci. Zabieg zakończony,

skoro tuż po tych słowach „Dusia” wygląda przez szczylinę w drzwiach i prosi Marcina o dwie pary skarpet rozmiar 42 i dwie pary majtek. Niestety, białe, grube podkolanówki to ostanía para. Dziś skarpet nie starczyło dla wszystkich potrzebujących.

Zjawia się mężczyzna z wenflo-nem w dłoni. To rzadki widok, bo wenflon kojarzy się z kroplówką i ze szpitalem, a nie z parkingiem pod dworcem. Tłumaczy coś Marcinowi, a na koniec ratownik medyczny wyciąga wenflon. Pytam zdziwiona, jak to możliwe, by bezdomny miał wenflon, i czy on, Marcin, mógł mu odmówić usunięcia.

– Oczywiście mogłem mu powiedzieć, że nie wyciągnę, i gdzieś go odesłać, ale wtedy nadal by z nim chodził i mogło się tam wdać za-każenie – wyjaśnia. – Zdarza się, że ludzie uciekają ze szpitali. Kiedyś widziałem, jak Nowym Światem idzie mężczyzna i pcha stojak z kroplówką, z którą jest połączony przez wenflon. Można? Można!

Nagle człowiek w czerwonej kurtce upada na ziemię. Wygląda to na atak padaczki. Marcin rzuca się na pomoc. Udaje mu się opanować mężczyznę. Po kilkunastu minutach człowiek w czerwonej kurtce zgłasza się do Marcina z prośbą o relanium. Tym razem Marcin przygląda mu się uważnie, zadaje kilkanaście pytań, a na koniec stwierdza: – Ty nie masz padaczki. Udajesz. Ode mnie nie dostaniesz

żadnych leków, więc już nie próbuj tej sztuczki.

A widząc moje zdziwienie, wyjaśnia, że człowiek udawał atak padaczki, żeby dostać relanium, bo ten lek, stosowany m.in. na uspokojenie, powoduje „odlot”. I szybko uzależnia. Być może ktoś, kto nie ma takiego doświadczenia jak Marcin, na to przedstawienie by się nabrał. On nie. Przypominam sobie „jasną panią”, która przyprowadziła pod ambulans mężczyznę jakoby przed atakiem padaczki. Dopiero teraz zrozumiałam, po co naprawdę przyszli. Ale nie dostali nic. Bo łatwo jest uzyskać pomoc i fachowe wsparcie od Medyków na Ulicy, lecz niełatwo wyprowadzić ich w pole.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Triumf Iketaona

Iketaon – to jeden z bohaterów „Odprawy posłów greckich” Jana Kochanowskiego. Tragedia ta, w której XVI-wieczna Polska ma kostium starożytnej Troi, nabrała dziś kolejnego znaczenia: mówi, co może nas czekać ze strony Prawa i Sprawiedliwości.

Już pierwsza w dramacie rozmowa Aleksandra (Parysa) i Antenora – to jakby wymiana zdań między Mateuszem Morawieckim a Borysem Budką. Antenor-Budka (AB) opowiada się za szanowaniem słusznych racji Greków (Europejczyków), przybywających na brzegi azjatyckie z żądaniem, „aby Helena była im wydana”. Jednak Aleksander-Morawiecki (AM) przedkłada nad praworządność interes własny, a od Europy oczekuje tylko zalegalizowania dokonanego gwałtu. Przy tym, apelując do AB o solidarność narodową, oskarża go, że „obcemu więcej życzy niżli swemu”, czyli że jest on – jak to elegancko ujął Morawiecki dzisiaj – „opozycją zewnętrzną”. Obrażony AB natychmiast zrywa rozmowę. Ale w godzinie próby to on będzie wzywał do obrony ojczyzny – AM gdzieś się wtedy zapodzieje.

Przedtem obaj, AB i AM, wykładają swe racje trojańskiej radzie królewskiej. To jakby polski Sejm, choć obraz marszałków wzywających do wysłuchania obu stron świadczy o niedostatku wyobraźni Kochanowskiego: nie przewidział Elżbiety Witek. Co jednak przyjdzie z bezstronności marszałków, skoro zaraz pojawia się Iketaon:

*Owa, jako nam kolwiek Grekowie zagrają,
Tak my już skakać musim? Bać się ich nam każą,
A ja, owszem, się lękam. Teraz nam Helenę
Wydać każą, po chwili naszych się żon będą
I dzieci upominać.*

No właśnie. Teraz Europa upomina się o praworządność, a jutro upomni się o nasze żony, o dzieci, o rodzinę! Czyż można na to pozwolić? Jesteśmy dumnym narodem!

Nie rozszyfrowujmy tożsamości dzisiejszego Iketaona – zresztą niejedno ma on imię. Tamten tak samo peroruje i tak samo ujawnia swe kompleksy: „Dawnyc to grecki tytuł pany się mianować, / A nas, barbaros, sługi”.

Trojanie, przekonani tą argumentacją, a urażeni w dumie narodowej, opowiadają się za Iketaonem. I to jest punkt zwrotny tragedii – odtąd wydarzenia będą się to-

czyć ku katastrofie. Na nic bowiem przydały się przestrogi Chóru, by opamiętali się ci, „którzy pospolitą rzeczą władają”. Na nic przydaje się przeczucie zagłady, wyrażone przez Ulissesa (Odyseusza), jednego z posłów greckich:

*O nierządne królestwo i zginienia bliskie,
Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość
Ma miejsce.*

Nie mają nawet znaczenia proroctwa siostry AM, Kassandra: „Matko, ty dziełek / Swoich płakać nie będziesz, ale wyc będziesz!”. AM, jak zwykle, niczego nie rozumie, ale czytelnik wie, że wszystko zmierza do zniszczenia państwa.

Kochanowski, pierwszy wielki poeta polski, był równocześnie wielkim wychowawcą narodu. Nie miał złudzeń. „Nową przypowieść Polak sobie kupi / Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi!” – szydził w „Pieśni o spustoszeniu Podola”. Nie był w swych obawach jedyny. Kilkanaście lat

wcześniej pisał Stanisław Orzechowski: „Byś serce moje rozkroił, nie znalazł-byś w nim nic innego, jedno to słowo: Zginiemy!”. Pisarze staropolscy miewali

chwile jasnowiedzenia. Jak widać, miał je też Kochanowski.

Ale co ma do tego PiS? Przecież nie odprawiło posłów greckich. Nie postawiło weta. Nie wyszło z Unii Europejskiej. Skończyło się happy endem: Europa swymi pieniędzmi będzie żywić dyktaturę. A choć wobec tej dyktatury zostanie rozciągnięty „kordon sanitarny”, to pozostając w Unii, PiS nadal będzie czynnikiem rozkładu. „Kompromis jest korzystny dla Orbána i Kaczyńskiego”, wyrokuje węgierski opozycjonista, Miklós Haraszti.

Triumf Iketaona! A jednak jakże żaloszny. Dla Europy staliśmy się tymi właśnie azjatyckimi barbaroi, którymi Iketaon być tak bardzo nie chciał. Wokół rozsialiśmy fetor swego egoizmu, więc w rezultacie zostaliśmy znów sami – wspierani tylko przez Mocarstwo Węgierskie. „Państwa samotne są skazane na pożarcie”, powiada Andrzej Friszke. „Dyktatura to wojna”, ostrzega Jacek Żakowski. Gdy Jean Giraudoux wystawił w Paryżu swój najstojniejszy dramat, widzowie usłyszeli ze sceny słowa żony Hektora, Andromachy: „Wojny trojańskiej nie będzie, Kasandro”. Był listopad 1935 r.

Wesołych Świąt.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Pielgrzymów w tym roku nie będzie

W Jerozolimie pustki, krążą pogłoski o zamknięciu na czas świąt bazyliki Narodzenia Pańskiego w Betlejem

Jakub Katulski

Mieszkańcy Jerozolimy, którzy często w grudniu narzekają na tłumy przeciskające się ciasnymi uliczkami Starego Miasta czy krzyki sprzedawców na straganach z pamiątkami, w tym roku tęsknią za gwarem, uciszonym przez ograniczenia wprowadzone na czas pandemii. – W tym roku na pasterkę zamiast nawet 300 osób do kościoła przyjdzie może 20 – przewiduje mieszkający w Jerozolimie dominikanin ks. Paweł Trzopek.

Normalnie dyplomaci i inni cudzoziemcy, którzy zwykle uczestniczą w mszach u jerozolimskich dominikanów, wracaliby na święta do swoich krajów, a ich miejsce zajmowałiby pielgrzymi. – Na pasterkę przychodziły do nas głównie francuskojęzyczne grupy z Afryki. Jednak teraz cały ruch pielgrzymkowy jest zamrożony i nikt nie może wjechać – martwi się ks. Trzopek.

List biskupów bez odpowiedzi

Co roku do świętego miasta chrześcijan, żydów i muzułmanów przyjeżdża ok. 3,5 mln turystów i pielgrzymów. Muzułmanie odwiedzają miasto w różnym czasie, przede wszystkim, by udać się do meczetu Al-Aksa i Kopuły na Skale – miejsc dla islamu szczególnych. Teraz, w okresie świątecznym, żydzi z całego świata ściągają, by wspólnie zapalić chanukowe świece, chrześcijanie przybywają na Boże Narodzenie – do Jerozolimy, Betlejem i Nazaretu.

– W tym roku pandemia skutecznie blokuje nam wszelkie duże celebracje – mówi ks. Trzopek. Dominikanin mieszka w klasztorze za murami Starego Miasta, niedaleko Bramy Damasceńskiej. Na jego msze w języku francuskim przychodzą głównie dyplomaci, ale także kilka rodzin palestyńskich katolików.

Dzisiaj w modlitwach w zamkniętym pomieszczeniu uczestniczyć może jedynie 10 osób, a 20, jeśli uroczystości odbywają się na świeżym powietrzu.

– Niedzielną mszę odprawiamy w krużgankach przed klasztorem, z jednej strony, żeby przestrzegać obostrzeń sanitarnych, ale z drugiej, żeby dać ludziom możliwość uczestnictwa w liturgii. Sami chodzimy w maseczkach w czasie mszy świętej – opowiada. Przyznaje, że jego społeczność, złożona w dużej mierze z przyjezdnych, odczuwa zmęczenie choćby tym, że nie mogą wyjechać i spotkać się z rodzinami. – Dla nich to duży ciężar, a często są to rodziny z małymi dziećmi. One nie potrafią zrozumieć, dlaczego muszą nosić maseczki albo nie mogą odwiedzić babci w święta.

Miejsca takie jak Betlejem właściwie zostaną zniszczone.

Ograniczenia martwią też ks. Rafika Nahrę. – Mamy bardzo duże kościoły. W małych świątyniach takie ograniczenia mogą się sprawdzić, ale wyobrażasz sobie choćby bazylikę Zwiastowania w Nazarecie? – mówi. Ma na myśli jeden z większych kościołów na całym Bliskim Wschodzie, który mieści kilkaset osób.

Rafik Nahra od trzech lat jest wikariuszem apostolskim wspólnoty katolików języka hebrajskiego w Izraelu. To niewielka społeczność złożona głównie z osób, które zdecydowały się na konwersję na katolicyzm, zachowując przy tym część żydowskich obrządków religijnych. – W Jerozolimie, gdzie zwykle jestem podczas Bożego Narodzenia, społeczność hebrajskojęzyczna jest niewielka. A podczas świąt tylko połowa uczestniczących w mszach to chrześcijanie. Druga połowa to żydzi, którzy przychodzą, żeby zobaczyć, czym jest Boże Narodzenie. Łącznie w ubiegłym roku było nas ok. 150 osób.

W tym roku takie wizyty nie będą możliwe. Katolicy biskupi napisali list do prezydenta Reuvena Rivlina, prosząc, by wpłynął na rząd w kwestii zmiany obostrzeń, aby liczba uczestników nabożeństwa zależała od wielkości świątyni. – Odpowiedź nadal nie przyszła, zobaczymy, co się stanie. Nie znaczy to jednak, że Izrael jest krajem antyreligijnym – zastrzega Rafik Nahra. – Wydaje się, że dla rządu ważniejsza jest w tym momencie walka z epidemią. A niektóre społeczności żydowskie czy Kościoły nie przestrzegały wcześniej obostrzeń, co przyczyniło się do wzrostu zachorowań.

Z nieprzestrzegania zaleceń Ministerstwa Zdrowia zastępnęły najbardziej żydowskie społeczności ultraortodoksyjne. Niedawno rabin Chaim Kaniewski wezwał dyrektorów

szkół religijnych, by przyjmowały uczniów pomimo zakazów. A ostatnim głośnym przypadkiem rażącego łamania obostrzeń były uroczystości pogrzebowe rabina Aharona Hadasza, które odbyły się w Jerozolimie 3 grudnia. Choć w pogrzebach uczestniczyć może jedynie 20 osób, świat obiegły zdjęcia tysięcy chasydów idących w pochodzie, a nawet starć z policją.

Upadające sklepy

Rafik Nahra zauważa, że sytuacja w Izraelu jest szczególnie trudna dla migrantów i azylantów, dla których msze także prowadzi. – Wielu żyje wspólnie w małych mieszkaniach i w tym roku zwracali się do nas o pomoc. Muszą płacić wysokie czynsze, a obostrzenia utrudniają im pracę. Jeśli nie pracujesz i nie otrzymujesz pieniędzy, to jak możesz zapłacić?

Również Izraelczycy potracili źródła utrzymania. W niedawnym raporcie pozarządowej organizacji



14 grudnia w Jerozolimie zapalono świąteczne dekoracje.

Latet (hebr. dawać) wyliczono, że w tym roku nawet 268 tys. nowych gospodarstw domowych spadło poniżej granicy ubóstwa. Aż trzech na dziesięciu obywateli Izraela nie ma dość pieniędzy. Wiele biznesów się likwiduje, zwraca uwagę mieszkający w Jerozolimie żydowski historyk Jonatan Zisook. – Dużo sklepów zostało zamkniętych na zawsze. W witrynach wiszą tabliczki informujące, że lokale są do wynajęcia. Niektóre sklepy zdecydowały się na obniżki cen nawet do 80%, bo są zmuszone zamknąć się w najbliższym czasie. Czynsz w Jerozolimie jest bardzo drogi.

Mimo to Jonatan podkreśla, że w mieście panuje pewien rodzaj podszytego frustracją optymizmu. Kawiarnie i restauracje nadal są zamknięte, ale na targi powoli wraca życie. Sprzedawcy oferują owoce i warzywa, mieszkańcy kupują jedzenie na wynos i istnieje przynajmniej minimalna turystyka krajowa. – Widzę wiele grup Izraelczyków przyjeżdżających do Jerozolimy. W kwietniu wszystko było bez życia, teraz sytuacja jest inna.

Jonatan przyznaje jednak, że brak chrześcijańskich pielgrzymów jest poważnym ciosem dla wszystkich, nie tylko w Jerozolimie. – Miejsca takie jak Betlejem właściwie zostały zniszczone. Nie wiem, jak oni sobie w tym czasie radzą. Palestyński

sektor turystyki, sklepy, restauracje w normalnym roku większość zarobków uzyskują właśnie w okresie świątecznym. W poprzednich latach trudno było w tym czasie poruszać się po ulicach, tyle się działo.

Katastrofa dla Palestyńczyków

Choć izraelskie hotele odnotowują ruch miejscowych turystów, dla Palestyńczyków w Jerozolimie ten rok jest katastrofą. Raed Saadeh, właściciel hotelu w Jerozolimie Wschodniej, mówi, że w marcu musiał całkowicie zamknąć swój biznes i nie wyobraża sobie, by coś się zmieniło

Choć w pogrzebach uczestniczyć może jedynie 20 osób, to rabina Aharona Hadasza żegnały tysiące chasydów.

do następnego lata, a nawet jesieni. – To jedna z najtrudniejszych sytuacji, w jakich się znaleźliśmy, biorąc pod uwagę, że przeżyliśmy dwie wojny w Zatoce i wizytę Ariela Szarona na Wzgórzu Świątynnym, która rozpoczęła drugą intifadę – pisze w mejlu. Nie udało nam się porozmawiać, bo po infekcji koronawirusem stracił głos i nadal w pełni go nie odzyskał.

Prowadzony przez jego rodzinę Jerusalem Hotel stracił płynność finansową, bo znaczna większość jego gości to pojedynczy chrześcijanie,

rodziny lub niewielkie grupy. To zmusiło Saadeha do ubiegania się o pomoc finansową od rządu Izraela. – Otrzymaliśmy wsparcie na podstawie naszych zeznań podatkowych z ubiegłego roku. Nie pomogło nam to w spłaceniu wszystkich wydatków i zobowiązań, więc złożyliśmy też wniosek o rządową pożyczkę. Ona też właściwie jest już wydana. Mam nadzieję, że rząd będzie kontynuował to wsparcie, bo w przeciwnym razie znajdziemy się w bardzo skomplikowanej sytuacji.

Do arabskich hoteli w Jerozolimie nie przyjeżdżają też Palestyńczycy. Władze Autonomii Palestyńskiej co jakiś czas wprowadzają ograniczenia poruszania się, zwłaszcza w weekendy i dni wolne od pracy, w nadziei, że wyhamuje to rosnącą z każdym dniem liczbę zakażeń.

Z tego biorą się również pogłoski o możliwym zamknięciu na czas świąt bazyliki Narodzenia Pańskiego w Betlejem, a nawet całkowitej kwarantannie w mieście, o których wspomina mi ks. Paweł Trzopek. Msze byłyby odprawiane całkowicie bez wiernych, podobnie jak to było podczas Wielkanocy w jerozolimskiej bazylice Grobu Pańskiego.

Ks. Trzopek podkreśla, że i palestyńskie rodziny przychodzące do dominikanów zostały dotknięte kryzysem ekonomicznym. – Najbardziej odczuwają go ci, którzy prowadzą agencje turystyczne. A to zazwyczaj jest interes rodzinny, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Trudno im więc pogodzić się z myślą, że nieprędko wrócą do normalności i ich dotychczasowego sposobu na życie.

Nawet w tak trudnych czasach świąteczną atmosferę społeczności podtrzymuje dobry humor. – Mamy szczęście, że nasz 18-letni sąsiad jest entuzjastą choinek – mówi Raed Saadeh. – Mieszkamy w budynku, w którym wszyscy mieszkańcy są chrześcijanami. Nasz sąsiad udekorował cztery drzewka na klatce schodowej i po jednym w każdym mieszkaniu. Gdyby nie było go z nami, to nie wiem, czy w ogóle poczułbym Boże Narodzenie.

Wielka śmierć wielkich miast

Eliza Sarnacka-Mahoney

Korespondencja z USA

Nowy Jork, San Francisco, Los Angeles, Chicago to miasta, które dla reszty świata są nie tylko symbolami Ameryki, ale wręcz Ameryką w pigułce. Czy nią pozostaną? Wbrew pozorom od dawna mają się nie najlepiej, a gąsienice pandemii przejechały po nich wyjątkowo brutalnie. Jeśli mają przetrwać, będą musiały się poddać kuracji i bolesnej rehabilitacji, a niewykluczone, że i tak nigdy nie wrócą do poprzedniej postaci.

– Idąc ulicami mojej dzielnicy Forest Hills, co jakiś czas natykam się na tabliczki *For sale*. Wcześniej nie widziałam ani jednej. Forest Hills uważana jest za miejsce bardzo atrakcyjne do życia, zazwyczaj trudniej tu i coś kupić, i wynająć – opowiada Karina Bonowicz, pisarka od kilku lat mieszkająca w Nowym Jorku. – Na dobre

Ucieczka z amerykańskich metropolii

pandemia, odprowadziłyby do kasy branżę turystyczną, gastronomiczną i hotelarską. Miasto utrzymuje się obecnie w dużej mierze dzięki pomocy stanowej i federalnej, ale i tak jest to pomoc niewystarczająca, by wypłacać wszystkim upoważnionym świadczenia: zasiłki dla bezrobotnych czy zapomogi mieszkaniowe.

Amerykanie uważani są za jedną z najbardziej mobilnych nacji i zwykle reagują na zagrożenie nogami. Jeśli się o tym pamięta, już tak nie dziwi, że wielkomiejski *exodus*, nie tylko z Nowego Jorku, ale i z innych miast USA, stał się jednym z trendów społecznych doby pandemii po tej stronie świata. Według danych agencji

Uczciwa odpowiedź na pytanie, co naprawdę motywuje do ucieczki z wielkich miast, nie jest jednak taka prosta. Bo czym naprawdę są dzisiejsze amerykańskie metropolie? Czy rzeczywiście to wylęgarnie pomysłów i karier zmieniających bieg cywilizacji, miejsca, gdzie spełniają się najśmielsze marzenia i gdzie można żyć luksusowo? Niestety, taka opowieść to wielkie nadużycie. Tym, czego w ekranowym przekazie od dawna brak, jest przerażająca i wciąż rosnąca bieda, która w przeciwieństwie do stolic europejskich czy azjatyckich koncentruje się właśnie w największych miastach. Od czasów wielkiej recesji sytuacja się pogorszyła. Miejska bieda jest dziś na wyciągnięcie ręki: w postaci ludzi żebrzących na ulicy, „gett”, na które składają się osiedla mieszkaniowe komunalnego sąsiadujące z nowoczesnymi biurowcami, wreszcie zjawisko, które wymknęło się spod kontroli – bezdomność. Pola namiotowe bezdomnych zawłaszczają coraz większe połacie każdej metropolii i, jak w Los Angeles i San Francisco, podchodzą pod okna mieszkańcom nawet najbardziej ekskluzywnych dzielnic, oddzielone tylko ulicą.

Także w metropoliach mamy do czynienia z najwyższym odsetkiem biedy wśród dzieci – to najlepszy probierz skali problemu. Statystyki biedy w USA i tak ścinają z nóg, bo biedne jest tu co piąte dziecko (19%). W Nowym Jorku jednak już co trzecie, przy czym co dziesiąte nie ma stałego adresu, w Los Angeles i Chicago zaś więcej niż co czwarte. Co ciekawe i warte podkreślenia, rok 2019 był uważany za przełomowy, bo po raz pierwszy od 2008 r. rozmiar biedy wśród dzieci wreszcie się skurczył – efekt większego dostępu do świadczeń zdrowotnych dzięki Obamacare i wdrażania programów walki z biedą przez demokratycznych burmistrzów największych miast. Dziś już wiemy, że rok 2020 nie tylko ten postępek zniwelował, ale też najprawdopodobniej zepchnął Amerykanów, w tym dzieci, w biedę nieogłdaną tu od czasów ostatniej wojny światowej. Z raportu socjologów z University of Chicago wynika, że tylko w miesiącach letnich

Wciąż słyszy się o ludziach, którzy pakują manatki, bo skoro mogą pracować zdalnie, nie widzą sensu siedzenia w mieście.

zamknęło podwoje kilka sklepów, w których robiłam zakupy, w tym popularna wśród Polaków drogeria Dar Natury w dzielnicy Ridgewood. Wciąż słyszy się o ludziach, którzy pakują manatki i wyjeżdżają, bo skoro mogą pracować zdalnie, nie widzą sensu siedzenia tu – dodaje.

Rejterada z Titaniców

Nowy Jork był jedną z pierwszych ofiar koronawirusa po jego debiucie na wybrzeżach USA w końcu stycznia mijającego roku. O uciekających masowo mieszkańcach, którzy w ten sposób odpowiedzieli na lockdown, złośliwie mówiło się, że są jak szczury rejterujące z tonącego okrętu. Osiem miesięcy później ten okręt utrzymuje się na powierzchni, ale skala zniszczeń jest niewyobrażalna. Bez pracy pozostaje ponad 1,2 mln nowojorczyków (22% mieszkańców w wieku produkcyjnym). Urząd miasta szacuje, że do końca roku budżet straci co najmniej 10 mld dol., które, gdyby nie

MyMove.com do listopada 2020 r. adres zmieniło niemal 16 mln Amerykanów, a prawie co czwarty zna kogoś, kto się przeprowadził bądź zamierza to zrobić. Nowy Jork stracił ponad 150 tys. „adresów” (liczba osób jest więc wyższa), zaraz za nim jest Chicago ze stratą 32 tys., San Francisco – 27 tys. i Los Angeles – uszczuplone o 26 tys. Mówiąc inaczej, liczba wyprowadzek od marca tego roku pozostaje o 200-500% wyższa niż w porównywalnym okresie rok temu.

Motywy zamiany aglomeracji na dom poza miastem lub na wsi są z pozoru oczywiste. Na pierwszym miejscu mamy czynnik zdrowotny, a na drugim model pracy zdalnej. Jak wyjaśnił Rostislav Shetman, szef jednej z największych firm przeprowadzkowych 9Kilo Moving: – Gdy nagle okazało się, że można pracować z domu, rzesza Amerykanów postanowiła obniżyć koszty życia poprzez zmianę adresu, w tym wrócić do rodzinnych miejscowości, by być bliżej krewnych.



Nowy Jork stracił ponad 150 tys. „adresów”.

(czerwiec-sierpień) w biedę popadło dodatkowe 7 mln Amerykanów.

Dlaczego warto i trzeba mówić o biedzie w świetle warunków do życia oferowanych przez metropole? Bieda ma w Ameryce bezpośrednie przełożenie na dwa inne zjawiska, niebywale ważne z punktu widzenia bezpieczeństwa i komfortu życia. Pierwsze to przestępczość, w tym zorganizowana – i zawsze wyposażona w broń. Drugie to konflikty na tle rasowym. Protesty i zamieszki w Ameryce wiosną i latem tego roku nie były spowodowane jedynie pandemią. Ich eksplozja to efekt kumulacji „sprzyjających” okoliczności, w tym wzrostu – w ciągu lat, nie tylko miesięcy – skali bezrobocia, a także nieuzasadnionej przemocy ze strony policji wobec niektórych grup etnicznych i społecznych. Były gorzkim przypomnieniem, z czym mieszkańcy wielkich miast muszą się liczyć i żyć na co dzień. Tego specyficznego „ bonusu”, którego nie sposób pominąć, mówiąc o rachunkach za życie w amerykańskiej metropolii.

Nierealna ekonomia Titaniców

Przejdźmy do rachunków w dolarach. Nie owijając w bawełnę, są one kosmiczne, a nadto okazuje się, że i bez pandemii wywoływały u rosnącej liczby mieszczuchów refleksje

o konieczności zmiany adresu. Gdy rok przed pandemią, w marcu 2019 r., ośrodek Quinnipiac przeprowadził wśród nowojorczyków badania, aż co trzeci ankietowany rozważał wyprowadzkę z Wielkiego Jabłka w najbliższych pięciu latach, a 40% przyznawało, że koszty życia pochłaniają na bieżąco całe przychody. Oznacza to, że wypadek losowy typu brak pracy przez kilka miesięcy czy choroba wywołałyby u prawie połowy katastrofę finansową. Jak podaje agencja nieruchomości Bungalows.com, koszt wynajmu lokum w Nowym Jorku, średnia dla wszystkich dzielnic,

Miejska bieda jest dziś w USA na wyciągnięcie ręki.

to 3,5 tys. dol. miesięcznie bez opłat. 42 tys. dol. rocznie, czyli kwota przekraczająca medianę rocznych zarobków w USA, którą Economic Policy Institute oszacował w 2019 r. na 40 tys. rocznie (19,99 dol. za godzinę pracy). W San Francisco sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej. Tam średnia wysokość czynszu to 3,7 tys. dol. miesięcznie. W obu przypadkach ceny skoczyły o 40-80% w porównaniu z sytuacją sprzed dekady. Tymczasem przychód, zarówno indywidualny, jak i na gospodarstwo domowe, choć wzrósł w wielkich miastach dużo bardziej niż w innych rejonach

kraju, zwiększył się o niecałe 15% na Wschodnim Wybrzeżu i o 23-27% na Zachodnim.

Chris Leinberger, szef Center for Real Estate and Urban Analysis, badającego rynek nieruchomości, nazywa ten stan rzeczy „ekonomią nierealnych oczekiwań”. – Bum nieruchomościowy i kolosalne podwyżki czynszów w metropoliach opierają się na założeniu, że miasta są „nietykalne”, zawsze będą magnesem dla młodych, najzdolniejszych oraz najlepiej wykształconych, a to z kolei zapewni im obecność firm goniących za talentami. Niestety, okazało się, że jest

coś takiego jak zaburzenie równowagi między podażą a możliwościami nabywcy i nie da się tego łatwo przeskoczyć. Pracownicy zarabiający za mało, by żyć w mieście, mogą się wynieść na przedmieścia i przez jakiś czas godzić na nowe wyzwania: stratę czasu na dojazdy i brak dostępu do atrakcji centrum. Z czasem to przestaje mieć sens – uzasadnia Leinberger. – W Kalifornii, najkosztowniejszym dziś stanie do życia, odpływ ludności z miast zaczął się kilka lat temu. Niemal wszędzie jednak rośnie liczba niesprzedanych nowych mieszkań, a nawet pustoszeją biurowce, bo firmy też ▶

► zaczynają odpowiadać nogami. Ekonomia branży deweloperskiej w miastach dawno przestała mieć sens.

Dokąd więc wybywają mieszczychy zmęczone bólami społecznymi i kosztami życia w metropoliach? Nowojorczyki najchętniej przeprowadzają się na Florydę, do Teksasu i Karoliny Północnej. Oszczędności są kolosalne – życie jest tam tańsze średnio o 60%, i to w większych miastach (np. w ulubionym przez nowojorków Fort Worth w Teksasie). Migranci z Zachodniego Wybrzeża i Midwestu wybierają także Oregon, Idaho, Arizony i Kolorado. Dom jednorodzinny w Phoenix w Arizonie, gdzie chętnie przenoszą się Kalifornijczycy, to

Wielkomięscy emigranci zasiedlający mniej rozwinięte części kraju – a co ważniejsze, inspirujący korpoświat, by szedł ich śladem – wyprowadzają na prowincję nie tylko pieniądze, ale i talent, wykształcenie oraz przedsiębiorczość, są więc jak zastrzyk energii i innowacji tam, gdzie ich do tej pory nie było. Ameryka, która pozostaje krajem wielkich różnic ekonomicznych w dużej mierze na skutek nierównego rozłożenia kapitału, inwestycji i populacji, może na takiej migracji bardzo skorzystać.

Niemala rzesza analityków urbanistów wskazuje przy tym, że odpływ ludności i firm z metropolii może się okazać ratunkiem dla amerykańskiej

atrakcyjne do życia (piękno natury!) i dość przystępne cenowo Kolorado w ciągu zaledwie 20 lat powiększyło populację o ponad 30% (z 4,3 mln w 2000 r. do 5,9 mln w 2019 r.). *Mea culpa* – sama jestem uciekinierką z Doliny Krzemowej, w której pod koniec ubiegłego stulecia rozpoczęłam przygodę z emigracją. Tym samym ze stanu „solidnie czerwonego”, gdzie konserwatyści bez problemu wygrywali fotele gubernatorów, burmistrzów i kongresmenów, Kolorado przekształciło się w „dostatecznie” (bo jeszcze, zdaniem analityków, nie „solidnie”) niebieski. Od 2008 r. we wszystkich wyborach prezydenckich wygrywali tu kandydaci demokrac-

tyczni. Podobne zmiany zachodzą w Arizonie (wybory wygrał tam Biden), a nawet... w Teksasie. Jeśli komuś obito się o uszy, że sondaże przed-

wyborcze w Teksasie dawały nadzieję na nieoczekiwane zwycięstwo demokratów, wie już dlaczego. Nie wszyscy z 5 mln nowych mieszkańców, których Teksasowi przybyło od 2010 r., to liberałowie, ale co najmniej 30% to przesiedleńcy z miejsc i rejonów o sympatiach demokratycznych. Najgorętszym tematem wyborczym wśród Teksasycyków są zagrożenia dla stanu płynące z jego „kalifornizacji” właśnie. Termin używany jest wymiennie ze słowem demokratyzacja. W tym roku Teksas znalazł się w grupie stanów określanych jako *battle-grounds* (stany przetargowe), obok kilku innych do tej pory tradycyjnie konserwatywnych: Arizony, Florydy i nawet Georgii.

Gdy kończę pisać tekst, w mediach buzuje od komentarzy na temat „10 niemożliwych przepowiedni dla świata na rok 2021” opublikowanych przez bank inwestycyjny Saxo. Ich autor, makrostrateg Kay Van-Petersen, pisze, że wielkie miasta zapadną się pod własnym ciężarem, nieatrakcyjne w dobie pracy zdalnej, a młode pokolenia, od dawna świadome, że wykształcenie i przeprowadzka tam nie gwarantują awansu ekonomicznego, bez żalu zamkną nad aglomeracjami wieka trumien. Ale zrobią to dopiero wtedy, gdy Ameryka wdroży program uniwersalnego dochodu dla wszystkich. Czy są na to szanse? To już temat na zupełnie inną opowieść.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Wielkomięscy emigranci zasiedlający mniej rozwinięte części kraju niosą tam pieniądze, talent, wykształcenie i przedsiębiorczość.

„tylko” 300 tys. dol. w porównaniu z milionem, jaki trzeba wyłożyć w Bay Area. Wreszcie nawet najambitniejsi inżynierowie zastanawiają się, czy jest sens mieszkać w Dolinie Krzemowej (aglomeracja z 3,1 mln mieszkańców), skoro, biorąc poprawkę na inflację, zarabiają tam o 14% mniej niż 20 lat temu, podczas gdy średnia cena domu i mieszkań podskoczyła w tym czasie o niebagatelne 600%! Dokładnie: z 250 tys. dol. pod koniec lat 90. do 1,5 mln dol. obecnie.

Tonie Titanic, niech żyje Titanic!

Reasumując, trudno się nie zgodzić z Nicholasem Bloomem, ekonomistą z Uniwersytetu Stanforda, twierdzącym, że za kilka lub kilkanaście miesięcy, gdy pandemia znacznie odchodzi w cień, amerykańskie metropolie raczej nie znajdą się w czołówce miejsc, które szybko się odkują. Popandemiczne skazy, uważa Bloom, przyspieszą za to nieuniknione obumieranie aglomeracji w jej obecnym wydaniu: – Pandemia wyostrzyła wszystkim świadomość zagrożeń związanych z gęstością zaludnienia. Obawiam się, że w związku z tym czeka nas oficjalny pogrzeb tego, co do tej pory nazywaliśmy wielkomięskim centrum. Nie liczyłbym też na wielki powrót tych, którzy uciekli, gdyż opcja pracy zdalnej to zmiana, która z nami raczej pozostanie.

Tam, gdzie jedni widzą pogrzeb, drudzy na szczęście narodziny.

aglomeracji. Zmusi ją bowiem do tak potrzebnej korekty cen nieruchomości i wynajmu. Richard Florida, autor bestsellera „The Rise of the Creative Class” (Narodziny klasy twórczej), nazywa ten ruch urbanistycznym resetem i jest zdania, że nie będziemy na niego długo czekać. – Każda pandemia, z którą mieliśmy do czynienia w przeszłości, przyspieszała procesy zmian społecznych i urbanistycznych. Wydaje mi się więc naturalną kolejną rzeczą, że w imię przetrwania miasta skoncentrują się na wdrażaniu zmian i reform, które w wielu miejscach rozpoczęły się jeszcze przed pandemią. Chodzi głównie o nowe planowanie przestrzenne, dostęp do mieszkalnictwa dla wszystkich grup społecznych i ekonomicznych, efektywne programy walki z biedą i rasizmem, bo tych spraw nie można dłużej ignorować – postuluje.

Niebieski eksport Titanica

I na koniec pytanie polityczne, od którego uciec nie sposób. Wielkie miasta na obu wybrzeżach to baza demokratów, podczas gdy słabiej zaludnione części Ameryki i jej metropolie pośrodku kontynentu to domeny konserwatystów. Czy jeśli wybrzeże ucieka w głąb kraju, oznacza to istotne przegrupowania również na mapie politycznej? Można, a nawet należy się tego spodziewać.

Mój stan Kolorado jest najlepszym dowodem. Jako miejsce uważane za

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Pierogiem, bigosem polskość malowana

Ta rozmowa ma już kilka dobrych lat, choć odbyła się niespełna dekadę temu. Zapadła mi mocno w pamięć i sam już nie wiem, czy dlatego, że słusznie zrobiła na mnie wrażenie, czy jednak udowodniła moje uprzedzenia, potwierdziła obawy, wzmacniała i tak ugruntowaną niechęć. Toczyłem ją na nie do końca neutralnym gruncie z grupą mniej więcej 20-latek i 20-latków studiujących dziennikarstwo w Warszawie. Opowieść o niej upubliczniałem w ograniczonym stopniu, relacjonując zdarzenie różnym późniejszym rozmówcom i rozmówczyniom. W tej rozmowie niewątpliwie wykorzystałem swoją władzę symboliczną (mężczyzna, wykładowca, osoba sporo starsza). Nie chciałbym, żeby jej przywołanie zabrzmiało stygmatyzująco. Nie pamiętam zresztą dzisiaj żadnej z osób w niej uczestniczących, mam wspomnienie grupy.

Pretekstem było pojawienie się w kilku pisanych na zajęcia tekstach, które potem analizowaliśmy i omawialiśmy, słowa i pojęcia polskość. Zaskoczyło mnie, że od tej polskości, bez specjalnej przyczyny zawartej w temacie zadania, zrobiło się jakoś gęsto. Nie wiem, dlaczego ta rozmowa przypomina mi się co roku w okolicach kolejnej, zbliżającej się do setki, rocznicy zamordowania przez polskiego nacjonalistę prezydenta Gabriela Narutowicza, o którym młodzież studencka uczestnicząca w tej rozmowie albo nie słyszała, albo z niczym go nie kojarzyła, bo przecież „Czego pan od nas chce, na historii doszliśmy do bitwy pod Termopilami”.

W sposób okrutny i bezwzględny postanowiłem dowiedzieć się, czym jest dla nich polskość, którą licznie przywołali bez specjalnego uzasadnienia i potrzeby (z mojego punktu widzenia). Uznałem, że umyka mi, dlaczego to ważne i dlaczego akurat dla nich. Zapytałem zatem, czym jest dla nich polskość, co dla nich oznacza, jakiego rodzaju wartości symbolizuje, jak wpływa na ich życie, podejmowane decyzje, rozumienie i interpretację świata wokół. Czym jest ta polskość, którą ociekały ich teksty?

Najpierw była cisza. Potem, stosując reguły sokratycznej metody majeutycznej, usiłowałem wydobyć z nich rozumienie owej polskości. Może jest jakieś słowo, które ją dookreśla, przybliża nas do jej zrozumienia, oddaje symbolicznie jej znaczenie, sprawia, że niezrozumiałe staje się dostępne. Czyli ta polskość, pytałem podstępnie i stronniczo, to co? Czym jest? Z czym się kojarzy? I wtedy w odpowiedzi dostałem pierwszy cios. „Ze świętami”, padło z czyichś ust i reszta grupy przytaknęła, odetchnęła, potwierdziła. Polskość to święta. Święta

polskość. Próbowiałem dążyć: ale jakie święta, co to znaczy, że polskość można najlepiej opisać fenomenem świąt? Które święta? I wtedy byłem liczony po raz drugi. Padło mocne: „No, Boże Narodzenie, bo przecież jednak nie Wielkanoc”. Aha, dobrze, mówię. Czyli o polskości, tak jak najpełniej ją rozumiecie, najlepiej opowiadają święta bożonarodzeniowe. Ale co takiego w nich jest, co pozwala wam się z Polską utożsamiać? Co w nich jest takiego istotnego? Co was w nich kształtuje? Co w nich jest najważniejsze, co zaświadcza o tej ich polskości? I tu nastąpił nokaut, chociaż bez całkowitej utraty przytomności. „No, 12 potraw”. Jak mam to rozumieć?! Że o waszym życiu, decyzjach, wyborach, poczuciu sensu i tożsamości decyduje obyczaj podawania 12 potraw wigilijnych? Jaki jest tu związek? Co mają pierogi, bigos, barszcz do rozumienia świata, oprócz zrozumienia, że mam co zjeść, jak się objeść, być sytym i bezpiecznym?

A przecież, mówię, jest być może w tym obyczaju pewien element, tradycja, która mogłaby być podstawą do zbudowania postawy wobec świata, z której można wywieść jakieś reguły, postulaty, model funkcjonowania. To ten zwyczaj pozostawiania jednego, dodatkowego nakrycia w oczekiwaniu na przyjście kogoś nieznanego (dla wierzących, w domyśle, Jezusa). Zapada niezręczna cisza na sali, pusty talerz przegrywa sromotnie z 12 potrawami, polskość moich studentów i studentek nie ma w sobie nic z pustego talerza na wigilijnym stole. Ja leżę, jest po mnie. I wtedy przychodzi jeszcze na dobiecie: „Byśmy nie wpuścili, to tylko taki zwyczaj, gest, nie wiadomo po co”. Ogrom spustoszenia w głowach skądinąd świetnych osób oczadzonych wszechobecnym katolickim pustostwem, oblanym nacjonalistycznym sosem, krzywdą, którą wyrządziliśmy im szkołą, katechezą pod pozorem lekcji religii, rytualnością całego państwa, byciem cicho, kiedy trzeba krzyżeć.

Z tej rozmowy podniosłem się dopiero w ostatnim roku, kiedy usłyszałem ich krzyk na ulicy: o klimat, o przyszłość, o prawa kobiet, o równość, o różnorodność, o wolność decydowania. Kiedy światu wartości pierogowych wyrzyczeli swoje wypierdalać. Jestem pewien, że wśród nich, na polskich ulicach, byli w mijającym roku także uczestnicy i uczestniczki tamtej wymiany zdań. I że do polskości wokółbigosowo-karpiowej wracać będziemy tylko anegdotycznie. Czego nie tylko sobie serdecznie życzę.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Pusty talerz przegrywa sromotnie z 12 potrawami.

Wojna kleru z Witosem

Mimo osobistej religijności prezes PSL „Piast” odróżniał religię od księży i nie ulegał ich wpływom

Bohdan Piętka

31 października 1945 r. zmarł w Krakowie Wincenty Witos – jeden z najwybitniejszych polityków polskich w XX w., niekwestionowany lider ruchu ludowego w II RP, współtwórca Polski niepodległej w 1918 r., trzykrotny premier II RP, więzień twierdzy brzeskiej i ofiara procesu brzeskiego, kawaler Orderu Orła Białego. Od 1895 r. działał w Stronnictwie Ludowym, a po rozłamie w 1914 r. w PSL „Piast”, którego był prezesem w latach 1918-1931.

Wincenty Witos reprezentował konserwatywne skrzydło ruchu ludowego, mimo to przez długi okres był zwalczany przez kler katolicki. Jest to mniej znany i rzadko przypomniany rozdział jego biografii, a zarazem historii ruchu ludowego. Piszac wspomnienia na wygnaniu w Czechosłowacji w 1933 r., Witos zanotował: „Walki z Kościołem ani religią nigdy nie prowadziłem, uważając to za rzecz niepotrzebną i szkodliwą”. Jednak kilka zdań dalej stwierdził: „Nie cofałem się też ani na chwilę przed narzuconą mnie i ruchowi ludowemu walką, narzuconą szczególnie przez duchowieństwo diecezji tarnowskiej”.

Do pierwszego starcia przyszedł przywódca polskich chłopów z klerem doszło już w 1891 r. 17-letni wówczas Witos został wezwany na rozmowę przez ks. Józefa Franczaka – wtedy jeszcze wikarego, a wkrótce proboszcza parafii w Wierchosławicach koło Tarnowa – który pod groźbą kar kościelnych i boskich zakazał mu czytania „Przyjaciela Ludu”. Po awanturze z wikarym Witos musiał szukać możliwości spowiedzi aż w Krakowie. Groźby ze strony księdza bynajmniej nie zniechęciły Witos do „Przyjaciela Ludu” ani do działalności politycznej. Już w 1903 r. wszedł do Rady Naczelnej Polskiego Stronnictwa Ludowego, w 1908 r. został posłem do Sejmu Krajowego we

Lwowie, a w 1911 r. do Izby Poselskiej Rady Państwa w Wiedniu.

Śladami Stojałowskiego

Witos nie był pierwszym politykiem ludowym, który stał się obiektem ataku ze strony kleru. Również ks. Stanisław Stojałowski – nestor polskiego ruchu ludowego – naraził się swoimi poglądami społeczno-ekonomicznymi na szykany i utrudnienia w działalności wydawniczej ze strony hierarchii katolickiej. W 1894 r. biskupi diecezji lwowskiej, przemyskiej i tarnowskiej wspólnie ogłosili list pasterski, w którym umieścili na indeksie nie tylko prasę socjalistyczną, ale niemal całą prasę ludową, w tym czasopisma wydawane przez

W 1894 r. biskupi diecezji lwowskiej umieścili na indeksie niemal całą prasę ludową.

ks. Stojałowskiego. Już w 1877 r. Stojałowski otrzymał naganę, a 17 marca 1894 r. został obłożony suspensą przez arcybiskupa lwowskiego Seweryna Morawskiego. Rok później, pomimo wyrażenia skruchy, został suspendowany ponownie. Władze kościelne ogłosiły dekret nakładający na niego klątwę imienną zabraniającą wiernym stykania się z nim oraz czytania jego wydawnictw. W sumie ks. Stojałowski był kilkakrotnie oficjalnie upominany przez przełożonych i trzykrotnie suspendowany. Przyczyna tych represji była identyczna jak w przypadku późniejszej walki kleru z Witosem – ludowcy chcieli samodzielności politycznej i dążyli do emancypacji politycznej wsi, natomiast hierarchowie kościelni starali się podporządkować sobie wieś i ruch ludowy.

Ostra wojna kleru z Witosem i ludowcami wybuchła w 1913 r., a jej pretekstem stało się poparcie przez nich demokratycznej reformy ordynacji wyborczej. W połowie kwietnia

1913 r. został ogłoszony list otwarty biskupów polskich w Galicji przeciwko reformie ordynacji wyborczej do Sejmu Krajowego w duchu demokratycznym. Jego konsekwencją były podanie się do dymisji namiestnika Galicji, wybitnego historyka prof. Michała Bobrzyńskiego, oraz wzrost napięcia w stosunkach ludowców z hierarchią kościelną i klerem. Zbiegło się to z rozłamem w Polskim Stronnictwie Ludowym na przełomie 1913 i 1914 r., w wyniku którego powstały PSL-Lewica i PSL „Piast”. W chadecko-konserwatywnym PSL „Piast” pierwszoplanową rolę obok Jakuba Bojki odgrywał Witos i to on przede wszystkim stał się celem ataku kierowanego przez biskupa diecezji tarnowskiej Leona Wałęgę.

Nie pomogły deklaracje piastowców o kierowaniu się zasadami religii katolickiej. Dla ordynariusza tarnowskiego samodzielność polityczna ludowców, nawet tych deklarujących katolicyzm i przywiązanie do dogmatów kościelnych, była nie do pomyślenia. W rozumowaniu bp. Wałęgi emancypacja polityczna ludowców stanowiła lekceważenie władzy duchownej i zagrożenie dla sankcjonowanego przez Kościół katolicki postfeudalnego porządku społeczno-gospodarczego w Galicji.

Początkowo bp Wałęga zakazał chłopom czytania „Przyjaciela Ludu”, wysyłał na wieś misje mające stanowić przeciwwagę dla wpływów ludowców i sam wizytował parafie, prowadząc antyludowcową agitację. Kiedy mimo to wpływy ruchu ludowego nie osłabły, na początku 1914 r. biskup tarnowski powołał własną partię polityczną – Stronnictwo Katolicko-Ludowe (od sierpnia 1919 r. Polskie Stronnictwo Katolicko-Ludowe). Stronnictwo odwoływało się do



Wincenty Witos był przeciwnikiem organizowania życia politycznego wsi przez Kościół. Nz. wiec w Rakszawie, 1933 r.

średniozamożnego i małorolnego chłopstwa (a więc zaplecza politycznego PSL „Piast”) i występowało z programem klerykalnym, głosząc, że jego celem jest „obrona szerokich warstw ludowych przed demoralizacją, wyzyskiem, zwłaszcza ze strony stronnictw ludowych, i podniesienie tych warstw pod względem kulturalnym i ekonomicznym”.

Organ prasowy SKL – „Lud Katolicki” – od początku atakował w niewybredny sposób m.in. Witosą, Bojkę i innych działaczy ludowych. Piastowcy nie chcieli prowadzić walki z klerem, jednakże konflikt rozniecony przez bp. Wałęgę odciągał od PSL „Piast” część chłopów. Z misją mediacyjną zaoferował się namiestnik Witold Korytowski, jednak nie doszła ona do skutku. Szukając innych dróg, Witos odbył na przełomie lutego i marca 1914 r. rozmowę z katolickim metropolitą lwowskim abp. Józefem Bilczewskim i arcybiskupem obrządku ormiańskiego Józefem Teodorowiczem. Jeszcze przed tą rozmową abp Bilczewski bezskutecznie starał się przekonać bp. Wałęgę do zaniechania walki z PSL „Piast”. Nie pomogły też pojednawcze gesty ze strony Witosy, który na posiedzeniu Rady Naczelnej PSL „Piast” 10 kwietnia 1914 r. stwierdził: „Duchowieństwo uważamy za czynnik niezmiernie dodatni i uważamy, że stosunek nasz do duchowieństwa wojującego jest odmienny od stosunku do duchowieństwa, które

wojny nie prowadzi. Sądzę, że Stronnictwo nasze nie ma żadnego zamiaru zaczynać z klerem walki, ale jeżeli będzie zmuszone tę walkę odporną prowadzić, to ją podejmie, jednakże będzie to walka obronna”.

Spotkanie z biskupem

12 czerwca 1914 r. doszło do spotkania Witosy i Bojki z bp. Wałęgą. Inicjatywa wyszła ze strony piastowców, którym SKL i duchowieństwo diecezji tarnowskiej utrudniały pracę w terenie. Biskup przyjął liderów PSL „Piast” w otoczeniu kapituły katedralnej. Po przedstawieniu przez

PSL „Piast” nie zgadzało się na narzucenie zwierzchności kleru.

nich prośby, by duchowni zaprzestali walki z ich ugrupowaniem, Wałęga oświadczył, że nie uważa ich za delegatów PSL „Piast”, ale „za swoje owieczki, które mają obowiązek biskupa słuchać i wszystkie jego polecenia wykonywać”. Następnie przedstawił Witosowi i Bojce pięć warunków, od których uznania zależniał swój stosunek do PSL „Piast”. Mówiły one, że religia katolicka jest jedynie prawdziwą, ścisłym obowiązkiem katolika jest posłuszeństwo władzy kościelnej, a biskup ma prawo i obowiązek zakazywać pism i gazet. W dwóch ostatnich punktach Wałęga żądał od ludowców odcięcia się od

ich dotychczasowych pism, z „Przyjacielem Ludu” na czele, i przyznania, że wywierały one szkodliwy wpływ przez rzekome szerzenie buntu przeciw władzy kościelnej, a także uznania w kapłanach przewodników duchowych i potępienia antyklerykalizmu.

18 czerwca 1914 r. zebrał się Wydział Wykonawczy PSL „Piast”, który w grzecznej formie odpowiedział biskupowi, że nie zgadza się na narzucenie zwierzchności kleru, a jeśli Stronnictwo zmuszone będzie do walki, to ją podejmie.

Bp Wałęga liczył, że SKL zdominuje politycznie wieś tarnowską, lecz się zawiódł, ponieważ w walce z piastowcami pozostał wyraźnie osamotniony. Ks. Henryk Weryński, który w latach 1915-1930 pracował w diecezji tarnowskiej, w opublikowanym w 1966 r. na łamach „Więzi” artykule stwierdził: „Jestem głęboko przekonany, że pomysł stworzenia Stronnictwa Katolicko-Ludowego dla zwalczania Witosy był pomysłem złym i musiał zakończyć się fiaskiem. Stronnictwo Katolicko-Ludowe nie miało korzeni w chłopstwie (...). Ale co najgorsze i godne potępienia – posługiwało się metodami brukowymi, a często wyrosłymi na pożywcze zacietrzewienia i nienawiści (...). »Lud Katolicki« poniżał się często do roli brukowca. I to nie tylko, jeśli chodzi o Witosę i jego stronników, ale również o wszystko, co... trąciło Wierchosławicami”.

Celem walki prowadzonej przez bp. Wałęgę z PSL „Piast” było jedynie zaspokojenie wybujałych ambicji

politycznych kleru. Powołane przez niego Stronnictwo Katolicko-Ludowe wykorzystało osłabienie ruchu ludowego w Galicji po rozłamie w 1913 r. Bezprzykładną walkę kler wydał w pierwszej kolejności nie PSL-Lewicy, ale prawicowemu PSL „Piast”, by zniszczyć tę partię i podporządkować sobie jej zwolenników. „Księża: Lubelski, Górka, Paryto, Stabrawa jeździli jak nieprzytomni, wprowadzając zamieszanie, którego skutki są do dzisiaj widoczne. (...) Nie cofano się też przed żadnymi środkami i sposobami. Dziwna rzecz, że czynny udział w tej walce, często wprost obrzydliwej, wzięli

► starsi i poważni księża, którzy się do-
tąd nigdy do niej nie miesza-
li”, pisał Witos we wspomnieniach. Na przy-
kład ks. Stabrawa na wiecu w Woj-
niczu rzucił krzyż na stół i zawołał
do zebranych: „Kto chce iść za Wi-
tosem, niech ten krzyż podepcze”.
Proboszczowie podlegli bp. Wałędze
mieli obowiązek prowadzić politykę
SKL i „Ludu Katolickiego” w swo-
ich parafiach. Księża posługiwali
się amboną i konfesjonatem, a na-
wet organizowali bojówki przeciw
wiecom piastowców.

Kulminacją tej zjadłej walki bisku-
pa z PSL „Piast” były lata 1919-1920.
W lipcu 1920 r. Witos został premie-
rem Rządu Obrony Narodowej. Po
odparciu ofensywy bolszewickiej na
Warszawę i zawieszeniu broni udał
się na objazd Kresów Wschodnich
i w drodze powrotnej odwiedził ro-
dzinny powiat tarnowski. Witaty go
rozentuzjasmowani mieszkańcy. „Na-
tomiasz musiałem się bardzo przykro
zdziwić, że nie było tam tarnowskiego
duchowieństwa, z wyjątkiem jednego
księżyny, który się wcisnął pomiędzy
tłum, żeby nie być widzianym przez
donosicieli. Ksiądz biskup Wałęga
zabronił polskiemu duchowieństwu
zbliżyć się do polskiego premiera rzą-
du, załatwiający w ten sposób swoje
porachunki”, pisał Witos.

Mandaty dla Piasta

W grudniu 1920 r. „Lud Katolicki”
zarzucił Witosowi, że jako premier
jest winien wszystkich trudności go-
spodarczych wsi polskiej. Pytał też,
ile jego partia dostała od Żydów za
milczenie na temat ich wrogiej, an-
typolskiej działalności i wychwalanie
ich jako „wzorcowych obywateli Pol-
ski”. Stronnictwo Katolicko-Ludowe



Bp Leon Wałęga powołał własną
partię polityczną, Stronnictwo
Katolicko-Ludowe.

poważnie utrudniało działalność PSL
„Piast” w diecezji tarnowskiej, ale
nie zdołało mu zagrozić na szczeblu
ogólnopolskim. W wyborach parla-
mentarnych w 1919 r. SKL zdobyło
tylko pięć mandatów, podczas gdy
PSL „Piast” – 44, stając się wkrót-
ce – dzięki wchłonięciu mniejszych
ugrupowań ludowych – największym
klubem w Sejmie Ustawodawczym.

Dla ordynariusza tarnowskiego bp. Leona Wałęgi samodzielność polityczna ludowców była nie do pomyślenia.

W 1922 r. SKL ponownie zdobyło
pięć mandatów, a PSL „Piast” – 70.
W 1928 r. partia bp. Wałęgi weszła
w skład Bezpartyjnego Bloku Współ-
pracy z Rządem Józefa Piłsudskiego
i ostatecznie przestała się liczyć.

Witos – wierny syna Kościoła ka-
tolickiego – nie był jedynym polskim
politykiem, którego w tamtych cza-
sach spotkała wrogość ze strony
kleru. O ambicjach politycznych
kleru tak pisał wybitny polityk
socjalistyczny Ignacy Daszyński
w opublikowanym w 1924 r. ar-
tykule „Ksiądz w polityce”: „Po
wszystkich wsiach i miasteczkach
z każdej niemal ambony sypią
się bezecne klątwy na socjali-
stów, zapowiedzi klerykalnych
wieców i wezwania, aby chłopci
prenumerowali księżę pisemka.
W konfesjonatach obrabia się
przede wszystkim kobiety; przy
chrzcie, ślubie, pogrzebie wy-
tłazi klerykalne sztydło z worka,

wszędzie ksiądz ma jakieś dzikie
pretensje do ludzi, żeby go w poli-
tyce słuchali, na jego kandydatów
przy wyborach głosowali. A poza
kościołem dzieje się jeszcze gorzej.
Na czele podburzonych »wiernych«
staje taki brutalny ksiądz i wzywa do
bicia wszystkich, którzy mają inne
przekonania polityczne. (...) Kler ka-
tolicki oddzielony jest u nas od reszty
narodu i jego klas mnóstwem rzeczy.
Już na teologii uczą go przeróżnych,
zupełnie niepotrzebnych i fałszywych
wiadomości, a natomiast nie zapo-
znają ani z nauką, ani z życiem. Taki
młody ksiądz, wyszedłszy z semina-
rium, jest zazwyczaj bardzo ciemnym
człowiekiem. (...) Ksiądz się wtrąca
do szkoły i do gminy, bo chce mieć
z nauczyciela bierne, pokorne na-
rządzie swojej woli, a szkołę zrobić
– tak, jak to dawniej bywało – do-
datkiem do kościoła. Wreszcie, przy-
zwyczajwszy się do władzy w koście-
le, chce ją wykonywać i w gminie!
(...) Taki ksiądz politykujący miesza
ciągle rzeczy ziemskie z niebieski-
mi lub piekielnymi, widzi wszędzie
»masonów« czy diabłów, każe się
modlić tam, gdzie działać trzeba, ka-
że być pokornym, gdzie trzeba być
opozycyjnym, a zawsze i wszędzie

zaśnięcia swoją ziemską, często mar-
ną osobę Panem Bogiem, przez
co staje się gorszym bluźniercą niż
największy niedowiarek”.

Wincenty Witos był zdecydowa-
nym przeciwnikiem organizowania
życia politycznego wsi przez Kościół
katolicki. W tym tkwiło zarzewie je-
go konfliktu z bp. Leonem Wałęgą.
Chociaż w II RP kilkakrotnie nawią-
zywał współpracę z ugrupowaniami
o programach katolickich, sytuował
Kościół wyłącznie w sferze religijnej
i moralnej. Mimo osobistej religij-
ności Witos i ludowcy odróżniali reli-
gię od kleru i w najmniejszym stopniu
nie ulegali jego wpływom. Taktyka
ta przyniosła sukces szczególnie
w Małopolsce, gdzie endecy zostali
wyparci ze wsi właśnie dlatego, że
ludowcy zdołali odciągnąć chłopów
od plebanii. Nigdzie poza Małopolską
ludowcy nie odnieśli takiego sukcesu
w konfrontacji z klerem.

Bohdan Piętko

Z wielkim smutkiem żegnamy

Prof. Adama Koseskiego

byłego Rektora Akademii Humanistycznej w Pułtusku,
wspaniałego pedagoga, wielkiego Polaka – Patriotę,
naszego oddanego Przyjaciela.

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy
głębokiego współczucia

W imieniu Żołnierzy Kościuszkowców – wiceprezes
SORK Zenon Poznański

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Wesele i pogrzeb

Trochę zdarzeń, by dać świadectwo mijającym tygodniom. Słowa ojca dyrektora, które przejdą do historii polskiego Kościoła. „To, że ksiądz zgrzeszył, no, zgrzeszył, a kto nie ma pokus?“, mówił świątobliwy ojciec, odnosząc się do ujawnianych afer pedofilskich w Kościele. A ławy pisowskich polityków biły mu brawo, w tym rzecznik praw dziecka; brawo też bił Ziobro i zdawał się nawet mieć mokre oczy, bo ojciec dyrektor do niego osobiście pił z kielicha pełnego religijnej słodyczy. Nikt w Polsce nie ma takiej słodyczy w głosie jak Rydzyk. Mówi, a jakby śpiewał. Minister oświaty Przemysław Czarnek na urodziny tej katolickiej rozgłośni śle ojcu dyrektorowi takie oto słowa: „Radio Maryja w istotny sposób wzbogaca oraz przyczynia się do pluralizmu w polskim życiu społecznym, kulturalnym i duchowym“. Koniecznie w szkołach powinno się mówić więcej o ojcu dyrektorze i jego dziełach.

Sejm odrzucił wniosek opozycji o wotum nieufności dla wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. Głosowanie poprzedziła gorąca debata. „My jesteśmy z zupełnie innego świata. Wy najwyraźniej nie jesteście w stanie zrozumieć tego, że ktoś naprawdę potrafi się kierować interesami Polski, a nie interesami swoich grup“, mówił Kaczyński do opozycji. Ja, prezes, to Polska, więc logiczne, że interes Kaczyńskiego jest interesem Polski. Psychiczne formowanie paranoika i dyktatora jest już zakończone, mamy osobowość kompletną. Prezes jednak musi się tłumaczyć przed radykałami w swojej sekcji, że nie zawetował budżetu Unii. „Jaka Unia jest, każdy widzi, ale nasza formacja jako jedyna jest w stanie w tych skrajnie trudnych i nieuczciwych warunkach bronić interesu Polski“. Unia jako bankomat, który złośliwie chciał połknąć kartę. Mimo wszystko bardzo się cieszę, że nie przypadną nam unijne pieniądze, nie

potrafię myśleć jak w latach 70. i 80. – im gorzej, tym lepiej.

Morawiecki wraca więc z Brukseli, dzierżąc wysoko tarczę, w czym mu przeszkadza nos, już monstrualnie długi. Opozycja widzi inaczej, premier wraca na czworakach. Ale już przyzwyczajamy się, że patrząc na to samo, widzimy coś zupełnie innego. A modelowy pisowski Polak gada jak ta baba, którą niedawno słyszałem: a tam, panie, co tam te unie nie unie... Lud pisowski musi sobie jakoś radzić z „Wiadomościami“. Nagle atakują małą Holandię, że antypolska,

jakoś nie mogą go do końca rozebrać, obok rośnie wieżowiec, a rok temu go nie było. To jak cud. Miasto rośnie w oczach, ale już jakby nie dla mnie, dla moich dzieci. Urna z prochami taka malutka, tyle zostało z Marcina. Dlaczego tak mało ludzi? A może rację ma Woody Allen – liczba ludzi na twoim pogrzebie zawsze będzie zależała od pogody. Mogę dodać, że najlepiej umierać w maju i czerwcu, potem grożą upały. Ksiądz, który celebrował pogrzeb, zaczepia mnie: pan Tomasz? Okazuje się, że to ksiądz filozof Andrzej Luter. Poznaliśmy się kiedyś. Jeden z tych

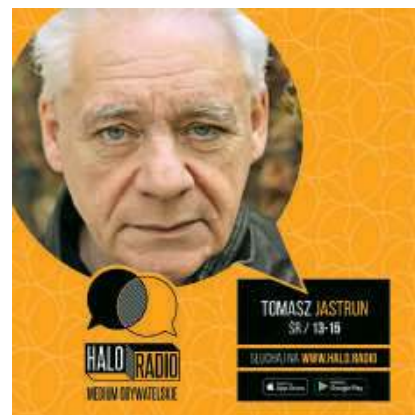
Psychiczne formowanie paranoika i dyktatora jest już zakończone, mamy osobowość kompletną.

niemal im się życzy, by ich morze zalało. Wcześniej nieprzytomnie atakowano Unię i oczywiście Niemcy. Ta sama telewizja od dwóch tygodni nie zaprasza polityków Solidarnej Polski. TVN 24 transmitowała konferencję prasową Ziobry, na której mówił, że PiS zdradziło Polskę, ale on nie ma wyjścia i z rządu, dla dobra Polski, nie wyjdzie. Sprawdziłem, TVP Info na wszelki wypadek nie transmitowała tej konferencji, by nie skazić ideologicznej linii partyjnej. Lud pisowski może być skolowany: chcieli nam, panie, zabrać suwerenność, ale prezes nie pozwolił. I ją obronił. A tu galimatias, bo Kempa, ta z Brukseli, woła, że nam jednak suwerenność zabrali. Jak to wszystko rozwikłać i pojąć?

Bura, wilgotna zawiesina w powietrzu. Jadę na Powązki. Pogrzeb Marcina Króla. Wiem, że Marcin na pewno by mnie zwolnił ze swojego pogrzebu, widzę nawet, jak się uśmiecha: a daj sobie spokój. Ale mam poczucie serdecznego obowiązku. VI brama, jakoś od drugiej strony cmentarza. Zaczyna padać śnieg. Garstka ludzi. Wcześniej hotel Czarny Kot w ruinie, słynna samowolka budowlana,

nielicznych mądrych i dobrych polskich księży, garstka ich. Ale jak się modlił, to miałem wrażenie, jakby szeptał: ja też nic z tego nie rozumiem. Jaki smutek tego pogrzebu, jak mało zostaje z człowieka, nawet tak popularnego i twórczego jak Marcin. Garstka popiołu, trochę słów, ale one jak iskiery gasną na zimnym wietrze. Marznący śnieg, miasto zastyga, rozbite samochody, z trudem dowlekam się do domu. Ale żyję, jakie to niezwykle na tle nieistnienia.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl



Lepiej wspólnie mówić

Do rządzących: poszukajcie w sobie empatii, bądźcie solidarni i zacznijcie z nami rozmawiać

Andrzej Radzikowski



Kończy się rok. Zazwyczaj o tej porze robimy bilans minionych miesięcy, sumujemy zyski, liczymy straty. Byłoby tak i tym razem, gdyby roku 2020 nie naznaczyła pandemia koronawirusa.

W ciągu kilkunastu dni okazało się, że świat jest bezradny wobec zarazy. Na nic wiedza, na nic zaawansowane technologie, na nic rzesze pewnych siebie, sytych elit władzy. Wszystko zawiodło. Dzisiaj chodzimy w maseczkach, liczymy zakażonych i zmarłych, z nadzieją wsłuchujemy się w informacje o szczepionkach, które być może zneutralizują wirusa. Mogło się wydawać, że zdewaluowane słowa dialog i solidarność odzyskują znaczenie. Czy tak się stało?

Instytucjonalny dialog działał sprawnie, do czasu kiedy nowy, większościowy rząd zaczął traktować Radę Dialogu Społecznego jako ciało fasadowe – użyteczne politycznie, ale zbędne w procesie zarządzania państwem. Projekty ważnych społecznie i gospodarczo ustaw wnoszone do łaski marszałkowskiej w trybie inicjatywy poselskiej, z pominięciem opinii partnerów społecznych. W pierwszych dniach marca tego roku, na plenarnym posiedzeniu RDS, OPZZ przeprowadziło debatę o zbliżającym się spowolnieniu gospodarczym i wynikających z tego zagrożeniach. Przedstawiciele rządu zlekceważyli te sygnały, przykrywając je propagandą sukcesu. Także tego dnia NSZZ

Solidarność oraz Związek Pracodawców i Przedsiębiorców ogłosili zwieszenie prac w Prezydium RDS. Nagle, po pięciu latach pracy Rady, uznali, że najpilniejszym zadaniem jest lustracja jej członków. Tydzień później sekcjonisci znaleźli się w niezręcznej sytuacji, bo premier Morawiecki przyznał, że w Polsce również mamy koronawirusa. W obliczu poważnego zagrożenia zdrowia i życia milionów Polek i Polaków wypadało być jakoś obecnym. Solidarność i ZPP niby pozostały więc w Radzie, ale „jakoby ich nie było” – w zależności od sytuacji.

A rząd przedstawiał kolejne mutacje tarczy antykrzysowej. Wbrew oczekiwaniom społecznym górę wzięły kalkulacje polityczne! Z jednej strony, premier zapewnił sobie uprawnienia do odwoływania członków RDS, z drugiej zaś, zablokował propozycję OPZZ, by w trakcie postojowego wynagrodzenie pracownika było rekompensowane w 75% przez państwo, a w 25% przez przedsiębiorcę. W rezultacie wsparcie pracowników zostało sfinansowane z Funduszu Pracy i Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych, czyli ze składek pracujących. OPZZ konsekwentnie dowodziło, że priorytetowym celem rządu musi być ochrona miejsc pracy i wynagrodzeń osób pracują-

cych. Podkreślaliśmy, że zahamowanie kryzysu gospodarczego nie będzie możliwe, jeśli pracownicy utracą pracę i wynagrodzenia, w wyniku czego zmniejszy się popyt wewnętrzny i eksport. Dzięki konsekwencji i uporowi OPZZ niektóre uwagi zostały uwzględnione przez rząd w procesie tworzenia przepisów prawa. Programy antykrzysowe pomogły wielu firmom i zapewne przyczyniły się do ochrony części miejsc pracy. Niestety, bezrobocie rośnie. Na pierwszej linii walki z epidemią stanęli pracownicy budżetówki. Tymczasem rząd pozbawił ich nagród, premii, zamroził płace i szykuje kolejne zwolnienia.

Mimo pogarszającej się sytuacji epidemicznej rządzący nie zapominali o partyjnym przeciąganiu liny. Za wszelką cenę postanowili zorganizować korespondencyjne wybory prezydenckie. OPZZ negatywnie zaopiniowało poselski projekt ustawy w tej sprawie. Nie godziliśmy się na narażanie życia i zdrowia kilkudziesięciu tysięcy pracowników Poczty Polskiej ani na łamanie podstawowych zasad demokracji zapisanych w konstytucji. Wprawdzie do kopertowych wyborów nie doszło, ale na przygotowania do nich bez podstawy prawnej wydano 70 mln zł. Jeśli dorzucić do tego afery maseczkowe, respiratorowe i Bóg wie jakie jeszcze, to nic dziwnego, że rządzący przedstawili kolejny pomysł na walkę z pandemią. W ustawie covidowej wprowadzono przepis stanowiący, że do zamówień, których przedmiotem

są dostawy lub usługi niezbędne do przeciwdziałania COVID-19, nie stosuje się przepisów ustawy Prawo zamówień publicznych. Postowie KP PiS dorzucili jeszcze projekt ustawy, który przewidy-

wał, że kto narusza obowiązki służbowe lub obowiązujące przepisy w celu przeciwdziałania COVID-19, nie popełnia przestępstwa. Opiniując negatywnie ten projekt, pytaliśmy: „Czy ustawa zapewniająca bezkarnie urzędnikom ma służyć temu, by zalegalizować działanie władzy publicznej poza granicami prawa? Czy to odpowiedź na medialne informacje o wielu nieprawidłowościach w różnych ministerstwach?”

Przykłady można mnożyć. A jeśli do tego dodamy kolejne kryzysy społeczne czy konflikt z Unią Europejską, wywoływane przez głównych aktorów naszej sceny politycznej, to konkluzja jest oczywista: pogubili się! Zapytacie Państwo, gdzie ta solidarność i dialog. Ano nie ma. Władza oblewa ten egzamin. Zdaje go tylko społeczeństwo. Ale ludzie są coraz bardziej zniecierpliwieni i dają temu wyraz. Dlatego z okazji świąt mam apel do rządzących. Wiem, że „są w ojczyźnie rachunki krzywd”, ale zapomnijcie o nich na chwilę. Poszukajcie w sobie empatii, bądźcie solidarni i zacznijcie z nami rozmawiać, bo, jak mawiał Ignazio Silone: „Lepiej wspólnie mówić, niż przeciwko sobie milczeć”.

Andrzej Radzikowski jest przewodniczącym OPZZ



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Zyski korporacji internetowych są coraz większe. W żaden sposób pandemia tym firmom nie zaszkodziła. Wręcz przeciwnie, potrafiły na niej skorzystać. Ich właściciele siedzą na górach gotówki. Dysponują zasobami większymi niż budżety wielu państw. To wszystko rzeczy powszechnie znane. Można by więc zapytać: i co z tego? Jeśli historia uczy nas czegokolwiek, to tego, że ludzie dysponujący potęgą finansową czują pokusę, aby sięgać po władzę. Niekoniecznie w jej postaci formalnej, to może być władza zakulisowa, ale rzeczywista. Teza mojego felietonu jest następująca: właściciele największych korporacji internetowych już ją *de facto* mają. Czyż bowiem nie uzależniły od swojego działania miliardów ludzi na świecie? Czy nie doprowadziły do sytuacji, gdy ludzie ci radośnie i z oddaniem przyczyniają się do ich potęgi ekonomicznej, klikając i spędzając godziny przed ekranami komputerów? Z entuzjazmem oddając się dobrowolnemu niewolnictwu cyfrowemu?

innych organów). Państwo jest zaś tworem niepotrzebnym i jedynie przeszkadzającym, ograniczającym ludzką wolność i z definicji opresyjnym. Zbierane przez nie podatki to niepotrzebne pozbawianie ludzi części ich zasłużonych dochodów (nic dziwnego, że korporacje internetowe to mistrzowie świata w ich unikaniu). Ich użycie w celu pomocy potrzebującym to niepotrzebne zdawanie się na instytucje, które mogą być zastąpione indywidualną filantropią.

W podejściu tym nie ma klas społecznych, barier awansu społecznego, zrozumienia dla słabszych i przegrywających nie ze swojej winy, dla gorzej wykształconych ani dla wspólnot ludzkich pielęgnujących wartości pozamaterialne i pozatechniczne. Jest jedynie zbiór jednostek wchodzących w relacje rynkowe, dbających o możliwość wyrażania indywidualnych potrzeb, nieograniczonych w dążeniu do szczęścia, rozumianego przede wszystkim jako możliwość zarabiania pieniędzy i ich

Korporacje internetowe i władza nad światem

Ten typ władzy nad naszymi umysłami i działaniami jest już zatem faktem. Ale z Doliny Krzemowej dochodzą głosy wskazujące, że jej rządcom to nie wystarcza. Marzy im się władza jeszcze wyrazistsza i bardziej tradycyjna. Nie ukrywają oni niezadowolenia z demokracji i polityków. Mnożą oskarżenia o ich brak kompetencji i umiejętności szybkiego działania. Pojawiają się tęsknoty do zastąpienia nieudolnych i opieszłych tymi, którzy pokazali, że potrafią zarządzać, skutecznie działać, realizować ambitne plany i nie bać się ryzyka. Może zatem to niezły pomysł, aby pozwolić królom Doliny Krzemowej przejąć władzę polityczną? Najpierw nad Stanami Zjednoczonymi, a potem nad światem.

Jasne, to scenariusz mało prawdopodobny i raczej nieziszczalny, ale kto wie. Z pewnością warto wiedzieć, jaki świat chcieliby nam zgotować. W co wierzą i czego chcą. Analizując ich różne wypowiedzi, można bez trudu zrekonstruować idee, które podzielają. Łącznie składają się one na coś, co określiłbym mianem utopii technokratyczno-libertarianistycznej. Jest to połączenie entuzjastycznej wiary w postęp technologiczny z ideą zaniku państwa i pozostawienia wszelkich relacji międzyludzkich logice działania rynku kapitalistycznego. Wszystkie problemy społeczne okazują się w tej perspektywie problemami technicznymi rozwiązywalnymi za pomocą stosownych technik o charakterze nadzorczym (już dziś sieć jest *de facto* wielką maszyną inwigilacji i nadzoru pachnącą miękkim totalitaryzmem), przez panowanie nad informacją i ludzkim zachowaniem, użycie nauki (przede wszystkim informatyki i modelowania komputerowego) w celu wyznaczania optymalnych sposobów radzenia sobie z rzeczywistością przyrodniczą i społeczną, połączenia w jednym hybrydowym bycie elementów technologii informatycznej i ludzkiego ciała (chipy wszczepione do mózgu lub

wydawania w najbardziej nawet dziwaczny sposób. Utopia, o której mówię, to zatem mieszanina kultu techniki, hiperindywidualizmu, niewrażliwości na złożoność świata, bezwzględności, pychy i arogancji, podłana obroną praw do różnienia się, tolerancją dla odmienności i gotowością do taskawego współczucia, jeśli komuś może ono poprawić nastrój (tak jak pewnie poprawia nastrój Billowi Gatesowi, który najpierw zasłynął bezwzględnością, a teraz pozuje na zbawcę ludzkości).

Postępowi w sferze praw mniejszości i uznania dla odmienności są oni zarazem niezwykle wsteczni w uwielbieniu dla rynku kapitalistycznego i pogardzie dla państwa. Zakochani w technice i zarazem nieczuli na jej nieprzewidziane i często fatalne skutki uboczne. Dążący do prywatyzacji dóbr wspólnych (to oni wszak dokonali tzw. drugiego grodzienia, wtedy gdy pierwotne dobro wspólne w postaci sieci i internetu sprywatyzowali i skomercjalizowali, tak jak onegdaj angielscy właściciele ziemscy ogrodzili i sprywatyzowali pastwiska, kiedyś własność gminną, zmuszając wielu mieszkańców wsi do emigracji) i bezwzględnego zamieniania tego, co jeszcze nieutowarowione, w towar (np. naturalnej ludzkiej chęci do rozmawiania w pasywność na niej tzw. media społecznościowe), znakomicie wpisują się w nurt turbokapitalizmu zapoczątkowany rządami Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. W ich rękach marzenie pierwszych fanów internetu i jego faktycznych założycieli, wywodzących się z ruchu kontrkultury z lat 60. XX w., że oto stworzą narzędzie pozwalające na nieograniczoną komunikację w imię rozwoju człowieka, braterstwa, urzeczywistnienia demokracji i możliwości swobodnego kształtowania swojego losu, zamieniło się w jeszcze jedną maszynkę do zarabiania pieniędzy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Z dystansu niektóre rzeczy lepiej widać

W disco polo nietakt jest
na porządku dziennym

Rozmawia Jan Tracz

Pańska najnowsza książka „Zero zahamowań”, biorąca na warsztat współczesną muzykę popularną, to trzeci tom cyklu o języku. Wcześniej ukazały się „Pypcie na języku” i „Niedorajda”.

– Wydawnictwo zaproponowało mi kolejny tom, zacząłem wtedy się zastanawiać, o czym mógłbym napisać. Pierwsza część była bardziej językoznawcza, druga wiązała się z moją pracą zawodową, czyli dotyczyła „doradczej siły języka” (skupiłem się na omawianiu poradników). Tym razem przypomniałem sobie, co mam napisane na dyplomie – jestem literaturoznawcą! Zacząłem szukać niekonwencjonalnej literatury, którą mógłbym wziąć na tapet. Z początku chciałem wzorować się na audycji „Prawda nas zaboli” z radia TOK FM. To tam Piotr Najstubb i Tomasz Piątek recytowali patriotyczną poezję. Ale zupełnie inny czynnik sprawił, że udało mi się napisać „Zero zahamowań” – był to *lockdown*, a co za tym idzie, czas na przemyślenia. Wtedy kusiło mnie jeszcze, by przyrzeć się tzw. mądrościom ludowym, czyli zobaczyć, co mówią znane przysłowia o świecie i w jaki sposób nas modelują.

Skąd w takim razie pomysł na disco polo?

– Zdałem sobie sprawę, że najbardziej irytującą literaturą jest dla mnie „poezja wszędobylska” (piosenkowa). Parę lat temu na stoku narciarskim zauważyłem dziwny zwyczaj właścicieli wyciągów: umilają oni narciarzom

**MICHAŁ
RUSINEK**

– literaturoznawca,
tłumacz, pisarz

czas, puszczając muzykę ze „szczerkaczek”. A jako że jeżdżąc na polskich krótkich stokach, sporo czasu spędzamy na wyciągach, utrwały mi się w kółko te same, koszmarnie utwory. Pomyślałem sobie: ta muzyka jest tak nachalna, do tego nazbyt często przypomina o sobie, że trzeba jej się przyrzeć bliżej. Moją nawigatorką została Joanna Barańska, która napisała kilka lat temu pracę magisterską o tekstach disco polo. Książka jest autoironiczna, śmieję się w niej także z takiego szkolnego profesora, który próbuje pokazać, „co poeta chciał powiedzieć”, więc nieraz przypomina to wyjaśnienie nauczyciela do licealnej rozprawki.

Autorzy tekstów, jak w tytule, nie mają zahamowań – epatują tematyką seksu, ich piosenki są nietaktowne i bezczelne. Gani pan za to dosadnie i często humorystycznie.

– Miałem pomysł na inny tytuł, wzięty z piosenki zespołu Daab, w której pada fraza „Nad taflą wodą”. Wydawca jednak stwierdził, że czytelnicy mogą wpaść w stupor. Rzecznicy mogą wpaść w stupor. Oczywiście „Zero zahamowań” jest tytułem dwuznacznym i nawiązuje do bezczelności – nie tylko w pisaniu o seksie, ale w pisaniu w ogóle. Przez ludzi, którzy nie powinni pisać, którzy nie umieją tego robić, ale nie mają zahamowań. A drugi rodzaj, mówiąc językiem ostatnich protestów, to jest mój wkurw. Wychowywałem się na piosenkach Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego (Kabaret Starszych Panów) oraz Wojciecha Młynarskiego. One są żywym dowodem na to, że tekst piosenki może być literacko znakomity. I nie musi to być piosenka polska, także teksty anglojęzyczne bywają mistrzowskie formalnie.



KSIAŻKI

**Spółeczeństwo, kultura, wychowanie,
Księga jubileuszowa dedykowana
Profesorowi Januszowi Sztumskiemu**

UHP im. Jana Długosza, Częstochowa 2020

Nazwisko prof. Janusza Sztumskiego jest jak stempel. Dowód bardzo twórczego i pracowitego życia. Z wykształcenia prawnik (dyplom na UJ) i filozof (absolwent UW), ale z zamiłowania i pasji socjolog. O bardzo szerokich zainteresowaniach: socjologia pracy, polityki, wojska, metodologia badań społecznych i polityka społeczna.

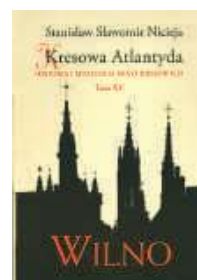
W czasie 65 lat pracy zawodowej wypromował 850 magistrów i licencjatów oraz 66 doktorów. Równie imponująca jest działalność organizatorska obchodzącego 90-lecie urodzin Jubilata.

Pełnił wiele funkcji. Od UMK w Toruniu po Uniwersytet Śląski, a przede wszystkim Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Częstochowie, której był rektorem. I która także dzięki jego wysiłkom przekształciła się w Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy. O autorytecie, jakim cieszy się Jubilat, można się dowiedzieć z imponującej, ponad 700-stronicowej Księgi Jubileuszowej.



**Stanisław Sławomir Nicieja
Kresowa Atlantyda
Historia i mitologia miast kresowych, t. XV
Wydawnictwo UO, Opole 2020**

W XV już tomie kresowego cyklu prof. Nicieja zaprasza czytelników do Wilna, które jak sam pisze, znał w dużo mniejszym stopniu niż ośrodki na południu Kresów. Żeby więc nie powiełać solidnie udokumentowanych monografii, znalazł inny klucz do przedstawienia dziejów miasta. Mianowicie zderza tu tak odmienne postacie jak choćby Piłsudski i Dzierżyński, Cat-Mackiewicz i Hułewicz czy Miłosz i Putrament. Konfrontuje też ugodowych „kataryniarzy” z pogrobowcami powstańców styczniowych. A wszystko jak zawsze ilustruje licznymi, nieraz unikatowymi fotografiami.



**A gdyby Michał Rusinek wydał tom
o polecanej przez niego muzyce –
co czytelnik mógłby tam odnaleźć?**

– Do wspomnianych panów dołączyłbym twórczość Agnieszki Osieckiej czy Jonasza Kofty, ale również we współczesnej muzyce jest bardzo dużo znakomitych literacko tekstów. Myślę tu o Taco Hemingwayu czy Mery Spolsky, których twórczości przysłuchuję się z uwagą. Zachwycające rzeczy mówi, także językiem muzycznym, fenomenalna Gaba Kulka. Przyznam z pokorą, że sam bywam tekściarzem, nawet rozważałem, czy pod koniec książki nie dokonać autoironicznej interpretacji własnego tekstu (śmiech). Kiedyś zastanawialiśmy się z przyjaciółką, tłumaczką poezji polskiej na język angielski, Clare Cavanagh, czy Amerykanie mają swojego Jeremiego Przybory. Szukała długo, ale znalazła – Toma Lehrera, profesora fizyki na Harvardzie, który

się rządzi światem za pomocą słów”. Natomiast w poprzedniej książce z tej serii, czyli w „Niedorajdzie”, pokazywałem patriarchalne stereotypy, które rządzą nawet dyskursem doradczym. Mam tu na myśli publikacje „dla prawdziwych samców alfa”, które radzą mężczyznom, jak mają żyć, i wmawiają im, że prawdziwy facet to taki, który traktuje kobietę przedmiotowo i zaznacza swoją męskość, klepiąc kobiety w tyłek. Ale i z wydawnictw kościelnych można wyczytać, że kobieta istnieje tylko po to, by pomagać mężczyźnie.

Wracając do „Zera zahamowań”: kiedy książka poszła do druku, dotarła do mnie wiadomość, że trawestacja piosenki Zenona Martyniuka pojawiła się w podręczniku do polskiego do szóstej klasy szkoły podstawowej. A ja pod koniec wstępu zażartowałem, że może zawarte tu interpretacje przydadzą się uczniom,

**Z wydawnictw kościelnych można wyczytać, że kobieta
istnieje tylko po to, by pomagać mężczyźnie.**

pisze, komponuje i wykonuje swoje utwory, świetne literacko, zróżnicowane stylistycznie, bardzo zabawne.

**W momencie gdy kobiety wychodzą na ulice bronić swoich praw,
pan wydaje książkę, która głównie
krytykuje muzykę traktującą tę płęć
przedmiotowo. Po lekturze odczułem
pańską chęć zabrania nieoczy-
wistego głosu.**

– Książka powstała, zanim tzw. Trybunał Konstytucyjny podjął wiadomą decyzję, ale to nie znaczy, że dopiero wtedy zacząłem się interesować kwestiami społecznymi czy politycznymi. Choć zawsze najbardziej mnie interesuje ich wymiar językowy czy retoryczny. Od kilku miesięcy pisuję felietony do „Gazety Wyborczej”, gdzie jestem podpisany jako feminista, co mnie bardzo cieszy. Rok temu zabrałem głos w obronie feminatywów, kiedy część posłanek chciała zmienić sejmowe nazewnictwo, przez co prawa strona wybuchała rechotem, argumentując, że w przedwojennej Polsce takiego języka nie stosowano. A to akurat nieprawda, bo do maskulinizacji języka doszło dopiero w czasach PRL. O języku polityki pisałem z prof. Katarzyną Kłosińską w książce „Dobra zmiana, czyli jak

kiedy teksty utworów disco polo – gatunku dowartościowywanego przez obecne władze oraz prezesa rządowej telewizji – trafią do podręczników. Jak widać, z głupimi żartami trzeba uważać, bo mogą się okazać profetyczne.

**Mówimy o wymowie tekstów, ale
wspomnijmy o literaturze, bo jak
pisał Ryszard Kosiński – dobrze
się nią myśli. Jakże ma pan plany
wydawnicze?**

– Mam na razie plany związane z literaturą dziecięcą. Dostyc długo namawiałem swojego wydawcę, by opublikował książkę dla dzieci o językowych zapożyczeniach, i we wrześniu ukazał się „Wihajster, czyli przewodnik po słowach pożyczonych”, który spodobał się czytelnikom. Tym razem więc wydawnictwo zamówiło u mnie kolejne książki. Pierwsza będzie mówić o pochodzeniu nazw polskich miejscowości.

**Rok 2020 dla literatury okazał się
ciekawym. Nike wygrała powieść
fantastyczną, Olga Tokarczuk wydała
pierwszą książkę po Noblu. A co
pan czytał w tym roku? Co otrzyma-
ło znak jakości według Rusinka?**

– Chociaż pisałem więcej, niż czytałem (czego się wstydzę), a literaturę piękną od dłuższego czasu ▶

► traktuję pragmatycznie (sięgam po to, co może mi się przydać na zajęcia ze studentami), przeczytałem kilka świetnych książek. Dla mnie to był rok biografii: przeczytałem znakomitą i nagradzaną „Jaremiankę” Agnieszki Daukszy, nową biografię Wisławy Szymborskiej autorstwa Joanny Gromek-Illeg, a także świetną biografię Kornela Filipowicza napisaną przez Justynę Sobolewską oraz

Jest pan również tłumaczem, co warto podkreślić, w momencie gdy rozmawiamy o wartości słowa. Jak zapatruje się pan na słowo pisane po polsku, a jak po angielsku?

– Kiedy natrafiam na jakąś książkę anglojęzyczną, która mnie zachwyci, pierwsze, co robię, to myślę, jak ona by brzmiała po polsku. Potem pojawia się pytanie, czy spolszczenie danego tytułu jest uzasadnione. Choć

przekład będzie w jakimś sensie wymagał napisania jej na nowo.

Pańskiemu pisaniu towarzyszą szukanie inspiracji i humor. Skąd te pomysły się biorą? Czy sama rzeczywistość w jakiś sposób potrafi być dla mózgu stymulująca?

– Nie tyle sama rzeczywistość dostarcza inspiracji, ile jej warstwa językowa, która wielu z nas wydaje się niestety przezroczysta – my jej nie zauważamy! Nie widzimy tego, jak mówią do nas politycy, jak mówią reklamy, i przez to łatwo modelują nasz sposób widzenia świata, narzucają nam formy mówienia i myślenia o nim, a my je bezkrytycznie przyjmujemy. Człowiek, który ma większą świadomość językową, który widzi język, jest mniej podatny na manipulację. A humor? On tylko pozwala mówić o trudnych rzeczach w łatwiejszy do przełknięcia sposób. Podstawą humoru jest dla mnie ironia, która jest przecież figurą dystansu. A z dystansu niektóre rzeczy lepiej widać.

Jan Tracz

Człowiek, który ma większą świadomość językową, jest mniej podatny na manipulację.

quasi-autobiograficzną opowieść „Poufne” Mikołaja Grynberga. Bardzo się cieszę z powrotu Pawła Huellego i jego świetnej „Tality”. Zawsze czytam wszystko, co wyda Dorota Maślowska, a w tym roku ukazał się drugi tom jej felietonów z „Dwutygodnika” „Jak przejąć kontrolę nad światem”. Pandemia spowodowała, że pisarze mieli więcej czasu, więc podejrzewam, że czeka nas wysyp książek w przyszłym roku.

nie jesteśmy jeszcze takim krajem jak Holandia, gdzie tego typu dylematy wydawców są znacznie większe. Tam właściwie każdy mówi i czyta po angielsku, wielu rzeczy zatem nie ma sensu tłumaczyć. Czasami nie ma sensu tłumaczenie tekstów naukowych, bo wszyscy w branży ten język znają. Kilka razy odrzuciłem książkę, którą proponował mi do przełożenia wydawca, bo uznałem, że będzie brzmiała gorzej po polsku, że jej

12

2020 / 2021

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

Filharmonia
Narodowa

Organizator
Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

w grudniu
koncerty on-line
→ filharmonia.pl

bilety (kody dostępu)
do wykupienia
na portalu
→ live.bilety24.pl

KURTYNA W GÓRĘ

FABUŁA

WOKÓŁ PANI DOMU

Czy dzieło literackie, powieść modernistyczna „Pani Dalloway”, zostało z sukcesem przełożone na język sceniczny? Czytelnicy narzekają, że powieść Virginii Woolf jest trudna, podobnie można rzec po premierze online warszawskiego spektaklu. Reżyserka wraz z autorką scenografii spektakl uduchowiała i w dodatku uczyniła infantylnym. Można więc śledzić tylko teksty dialogów i komentarze odautorskie,



które wprowadzają nas w płataninę kontaktów towarzyskich londyńskiej pani domu, małżonki konserwatywnego polityka. Jednak gdy zwrócimy uwagę na zagospodarowaną przestrzeń sceny, scenografię i dodane tu i ówdzie

rekwizyty, to zaczynamy się gubić w gąszczu symboli. Dlaczego elegancka gospodyni jest ciągle w majtkach i rajstopach? Po co jeden z gości przyjęcia wchodzi z ogromną sztuczną głową? W jakim celu za dekoracjami wyświetlane są trudne do obejrzenia na ekranie komputera slajdy i filmy? Pewnie lepiej wrócić do powieści.

Bronisław Tumiłowicz

Virginia Woolf, „Pani Dalloway”, reżyseria Magdalena Miklasz, przekład Krystyna Tarnowska, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera online 11 grudnia 2020

NA POWAŻNIE

JAK TO U KAFKI

Opera kultowego współczesnego amerykańskiego kompozytora Philipa Glassa, nominowanego do Oscara i zdobywcy Złotego Globu, została oparta na „Procesie” Franza Kafki. Absurdalność przesłuchań podejrzanego lub oskarżonego, który nie wie, jakie są wobec niego zarzuty, wspomagana jest obsesyjną, repetytywną muzyką, co doskonale tworzy nastrój niepewności, jaki będzie finał całej afery. Akcja z początków XX w. wstawiona została w realia nam najbliższe, co tylko świadczy o uniwersalności Kafkowskiej wizji. Główny bohater Józef K., grany i śpiewany przez świetnego niemieckiego barytona Christiana Oldenburga, zachowuje się tak, jakby to



on testował organa sprawiedliwości, i do końca sądzi, że skoro jest niewinny, nic mu nie grozi.

Franciszek Jacik

Philip Glass, „Proces”, kierownictwo muzyczne Jerzy Wołosz, reżyseria Pia Partum, Opera na Zamku w Szczecinie, premiera online 13 grudnia 2020

MAŁY TOPÓR

reżyseria Steve McQueen, prod. Wielka Brytania, dostępny w HBO i HBO GO

Po oscarowym rozliczeniu się z rasizmem w USA („Zniewolony. 12 Years a Slave”) Steve McQueen zabrał się do historii Europy. W swojej antologii przygląda się drodze do emancypacji społeczności Brytyjczyków o afrykańskich i karaibskich korzeniach. Trzeba talentu i wrażliwości, żeby temat dyskryminacji poruszać bez wprowadzania linii demarkacyjnej na złych i dobrych. McQueen dokładnie zarysowuje niejednoznaczne konteksty i osadza w nich losy takich ludzi jak Leroy Logan, pierwszy czarny policjant w londyńskiej policji. Twórca rezygnuje przy tym z pudru. Na ekranie pokazuje przemoc, ból, złamane biografie. Nie robi jednak z bohaterów cierpiętników, nad którymi mamy się litować i ronić łzy. Bo to nie łzy pozwoliły im przebić szklane sufity, choć w swoich czasach mierzyli się z podwójnym wykluczeniem (za wstąpienie do rasistowskiej policji Leroya znienawidził ojciec). Pozwoliła na to niezgoda na zastany porządek i dlatego filmy McQueena pozostają niepokojąco aktualne.



Artur Zaborski

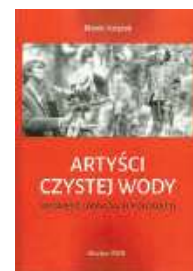
MIĘDZY OKŁADKAMI

Marek Książek

Artyści czystej wody Opowieść o braciach Połomach

Wydawca „Książek”, Olsztyn 2020

„Jeden od pióra i wióra, drugi od kina i młyna”, tak mówili przyjaciele o braciach Połomach, gdy poeta Stefan otrzymał w spadku po ojcu tartak, a młodszy Janusz, fotografik i filmowiec – młyn w podolsztyńskim Unieszewie. Niedługo zajmowali się biznesem, bo woleli artystyczny przerób. Stefan, początkowo związany z Orientacją Poetycką Hybrydy, pozostał w kręgu literacko-dziennikarskim, a Janusz – absolwent Filmówki i – w okresie stanu wojennego – dziekan wydziału operatorskiego, wyjechał z kanadyjską żoną do Montrealu, a potem do Meksyku, gdzie 15 lat uczył operatorów szkoły filmowej. W 2001 r. wrócił do Olsztyna, zrobił doktorat i zaczął wykladać na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, by dojść do tytułu profesora sztuki filmowej. Autor „Artystów...” zdążył spisać wspomnienia Połomów, ale młodszy z braci nie doczekał książki w druku – zmarł w październiku br. W „reportażu biograficznym” Marka Książka bracia pokazani są jako barwne ptaki na tle równie barwnej epoki, wpisani w środowisko artystyczne regionu i kraju.



(kam)

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

W głowie mam cały czas głos Ferdka

Andrzej Grabowski: Byłem przekonany, że taki serial nie może chwycić i zniknie z anteny, zanim się pojawi

BOŻE SKRAWKI. MAKING OF

W 2000 r., kiedy byłem już nieźle rozpędzony w serialu „Świat według Kiepskich”, dostałem zaproszenie na casting do Warszawy. Zadzwoniła do mnie śp. Ewa Andrzejewska, specjalistka od wyszukiwania obsady do filmów dla wielu reżyserów. Powiedziała mi, że chodzi o nowy film Jurka Bogajewicza, który będzie koprodukcją polsko-amerykańską, ale żebym nie liczył na rolę, bo tak naprawdę szukają młodszego ode mnie faceta. Mówiła, że jednak warto przyjechać choćby po to, żeby poznać Jurka. Ten argument do mnie przemówił, bo o Jurku Bogajewiczu czy też Yurku Bogayeviczu – aktorze, scenarzyste, reżyserze i producencie filmowym – w branży krążyło wiele ciekawych opowieści (...).

Trzeba zobaczyć kilka odcinków, żeby zrozumieć, że ta głupota nie jest przypadkowa. To serial i dla ambitnych, i nieambitnych.

Spotkanie z nim na castingu było bardzo profesjonalne – był świetnie przygotowany i wiedział, czego chce. Przy okazji dowiedziałem się, że jedną z głównych ról ma zagrać Willem Dafoe. Fajnie, pomyślałem. Wracając do Krakowa, nie dotarłem nawet do Radomia, kiedy znów usłyszałem Ewę w słuchawce: „Masz tę rolę, Andrzej! Gratuluję! A może odpowiedniej będzie: *congratulations!*?”.

Film „Boże skrawki” to przejmująca wojenna historia żydowskiego chłopca, który zostaje uratowany z krakowskiego getta. Ukrywa się na polskiej wsi i razem z innymi dziećmi chodzi do szkoły czy na lekcje religii. Bogajewicz włożył w nią całe serce. Powiedział mi, że inspiracją

scenariusza były autentyczne wspomnienia i odnalezione gdzieś dziecięce pamiątki z tamtego trudnego czasu. Główną rolę zagrał 12-letni wówczas Haley Joel Osment, który już wtedy miał na koncie kilkanaście ról filmowych i sukcesy w USA. Bardzo ważną rolę księdza Jurek powierzył Willemowi Dafoe. (...) Mnie przypadła rola paskudnego wiejskiego chłopca, szmalcownika Kluby. (...)

Mieszkaliśmy w Krynicy w ekskluzywnym hotelu z basenem, jednak większość scen kręciliśmy w urokliwej wsi Zbyszycie nad Jeziorem Rożnowskim. (...) W przerwie poszliśmy z Willemem na papierosa – wtedy jeszcze paliłem. Nagle na horyzoncie

pojawił się nadciągający w naszą stronę spory tłumek statystów. (...) Odszedłem kilka kroków w bok, żeby grupka z karteczkami i notesami spokojnie mogła okrążyć Willema. Oni jednak mijają gwiazdę kina i podchodzą do mnie, prosząc o pamiątkowe autografy od Ferdynanda Kiepskiego. Trwało to kilka minut. Willem, czekając na mnie, zapalił jeszcze jednego papierosa, a kiedy wszyscy odeszli, rozpromieniał swoim wielkim amerykańskim uśmiechem.

– Musisz być tu sławny!

– Gram od roku w serialu, który leci chyba już codziennie. Tak się porobiło. (...)

Film nie doczekał się wielkiej oglądalności w Polsce, jednak został



doceniony na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Jurek został uhonorowany Złotym Lwem za najlepszy scenariusz. Pamiętam pewną historię z festiwalowej konferencji prasowej, która z jednej strony była nieprzyjemna, a z drugiej bardzo dla mnie miła. Siedzimy polskim składem aktorskim z Jurkiem Bogajewiczem przed dziennikarzami, odpowiadamy na pytania i nagle słyszymy: Jak można było w takim pięknym, wzruszającym, historycznym dziele filmowym obsadzić w jednej z ról człowieka, który gra głupka i pijaka w kretyńskim serialu „Świat według Kiepskich”?

Zatkało mnie. Trudno na coś takiego w ogóle odpowiedzieć. Jurek też się wzburzył, ale odpowiedział spokojnie i pięknie: – Proszę pani, to, co pani prezentuje, to jest właśnie Polska. Gdyby pan Grabowski w Stanach Zjednoczonych był tak popularny i rozpoznawalny, jak jest w Polsce, latałby na plan własnym odrzutowcem albo helikopterem. Grałby tylko w najlepszych produkcjach. Tylko tu, w Polsce, może się zdarzyć to, że przez udział w serialu „Świat według Kiepskich” jest eliminowany z innych produkcji.

Od tamtego czasu nie jeżdżę na festiwal do Gdyni. I żebym

został dobrze zrozumiany – nie la-
tam na niego również prywatnym
odrzutowcem.

CZASAMI CIEPŁO POMYŚLĘ O TYCH MOICH ZIELONYCH DRESACH

Zacząłem się od spotkania we Wro-
cławiu z Okiem Khamidowem, re-
żyserem tadżyckiego pochodzenia,
facetem po moskiewskiej szkole
filmowej, który nie wiedział wtedy
jeszcze, że przez następne siedem lat
będzie dowodził ekipą filmową po-
nad 300 odcinków „Kiepskich”. Prak-
tycznie w ciemno i bez
żadnego castingu zaak-
ceptował mnie jako przy-
szłego – uwaga – Ludwika
Kiepskiego. (...)

Kiedy po powrocie do
Krakowa przeczytałem scenariusz
pierwszego odcinka, zrobiło mi się
trochę niedobrze. Ale cóż, zawsze
sobie w takich sytuacjach powta-
rzam, że gram różne role, bo to mój
zawód, nie hobby. Pieniądze z tego
malerkie, ale zawsze. Poza tym by-
łem przekonany, że taki serial nie
może chwycić i z pewnością zniknie
z anteny, zanim się pojawi – tyle z te-
go będzie.

Zgodnie z umową po paru dniach
pojechałem na Dolny Śląsk. Produ-
cenci poprosili mnie, żebym przy-
wiózł na nagrania stare fotografie
rodzinne, które wzbogaciłyby sce-
nografię. (...) Wygrzebałem jednak
portret ze sztuki Zofii Kossak-Szczu-
kiej „Gość oczekiwany”, na którym
wyglądam jak swój dziadek. (...) Portret ten do dzisiaj wisi w salonie
Kiepskich. Pierwszego dnia na planie

stał w czółówce Big Cyce śpiewają:
„Pa, pa, pa, pa, pa, pa, to jest właśnie
Kiepskich świat”.

Z powodu ograniczonej prze-
strzeni na planie panował spory
chaos. Każde ujęcie wymagało prze-
rzucania kamer, światła, kabli, a do
tego jeszcze kolorowi muzycy z Big
Cyca przyjechali nakręcić czółówkę.
Chłopaki wprowadzili iście rockan-
drolowy klimat, co świetnie wpły-
nęło na integrację świeżo zebranej
ekipy filmowej. Podczas rozmów
między scenami wyczułem dużą
niepewność wśród aktorów co do

**Nie pamiętam, kiedy zacząłem lubić Ferdka. Nigdy go nie pokochałem,
ale patrzę na niego z wielkim sentymentem.**

powodzenia serialu. Słyszałem na-
wet, że moja rola była wcześniej
proponowana bardzo znanym akto-
rom, ale odmawiali po przeczytaniu
scenariusza. Może gdybym przeczy-
tał, zanim się zgodziłem, to też bym
odmówił? (...)

Pamiętam, jak po pierwszych zdję-
ciach szedłem z Darkiem Gnatow-
skim, czyli serialowym Boczkim,
przez wrocławski rynek.

– Zobaczysz, Andrzej, za parę mie-
sięcy będą nas tu zaczepiać.

– Coś ty, zwariował?

– Zobaczysz.

Tymczasem dzień po emisji trze-
ciego, pilotażowego odcinka „Kiep-
skich” Polsat bez wahania zlecił na-
stępne 10, a w trakcie ich realizacji
pojawilo się zamówienie na kolej-
ne 30. Później rok w rok kręciliśmy
po kilkadziesiąt odcinków serialu.

meblami, dywanami i wszystkimi bi-
belotami. „Świętej pamięci dziadek
Ferdynand” zawisł dokładnie w tym
samym miejscu. Wprawne oko znaj-
dzie tylko jedną różnicę pomiędzy ka-
mienicą na Podwalu a studiem – jest
nią szerokość korytarza. W studiu
został on poszerzony, co bardzo uła-
twiło pracę operatorom. (...)

Po kilku miesiącach spełniła się
przepowiednia Darka, a dla mnie za-
częło się przekleństwo. Bywało, że
kiedy przyjeżdżałem do jakiegoś mia-
sta, żeby zagrać swój program kaba-
retowy, to ustawiały się dosłownie

komitety powitalne – oczywiście
na cześć Ferdka! Pamiętam, jak
w Łodzi, już po występie, musiałem
uciekać ze sceny w eskorcie ochro-
ny. Przemknąłem do jakiegoś po-
mieszczenia, gdzie panowie ukrywali
mnie dobre pół godziny. Siedziałem
sam na taborecie w półmroku i tyl-
ko współczułem Beatlesom i Stone-
som. Ludzie ciągle się dobijali i nie
mieli zamiaru odejść. Wreszcie ktoś
podstawił mój samochód pod drzwi
na zapleczu, dał mi kluczyki i powie-
dział: „Uciekaj!”. Pobiegłem w te pę-
dy, ale rozweselony tłum rzucił się za
mną. (...) Dwóch zdesperowanych
fanów uczepliło się klamek. Szaleń-
stwo jakieś! Autentycznie zacząłem
się bać. Całe szczęście nie poury-
wali klamek, ale było mi głupio, bo
widziałem w lusterkach, jak od nich
odpadali – zjawisko dla mnie zupeł-
nie nowe, dziwne i niezrozumiałe.

Innym razem, w Gorlicach, po
moim występie na scenę wszedł
znany zespół – gwiazda wieczoru
– a ja, opuszczając imprezę, mu-
siałem przejechać autem prawie
pod sceną. Kiedy tłum mnie zobac-
zył, zespół kompletnie przestał
się liczyć. Publika zbiegła się wo-
kół mojego wozu, byleby dotknąć
choć karoserii – jakby to miało za-
pewnić szczęście na przyszłe lata.
Czułem się niemal jak papież. Ale
na szczęście to mija. Nowe gwiazdy
wypierają stare o wiele szybciej, niż
te stare mogłyby się spodziewać.
Obecnie coraz rzadziej zdarza mi
się słyszeć za plecami: „Ty, Ferdek!
Kurna! Chono na browara!”.

**Trzeba się totalnie otworzyć, schować wstyd i przestać robić
z siebie durnia, udając, że nie jest się durniem.**

stanąłem sobie obok tego mojego
„przodka” i pomyślałem: ciekawe,
jak by ten mój dziadek miał na imię?
I przyszło mi do głowy, że mógłby się
nazywać Ferdynand Kiepski! (...)

Planem produkcji pod nic nikomu
niemówiącym tytułem „Kiepskich
świat” stała się stara wrocławska
kamienica przy ul. Podwale. Tytuł
serialu został wkrótce zmieniony na
„Świat według Kiepskich”, ale Krzy-
siek Skiba dostał zamówienie na
piosenkę tytułową trochę wcześniej,

Aktorzy pozwalniali się z teatrów
i poświęcili swoje życie zawodowe
tylko temu serialowi. W pewnym
momencie jego oglądalność doszła
do 8 mln widzów. W 2001 r. Tomek
Kurzewski, twórca marki ATM i czło-
wiek, który ma łeb do interesów,
przeniósł produkcję do nowo wybu-
dowanego studia filmowego w Bie-
lanach Wrocławskich. Układ mies-
kania rodziny Kiepskich w nowym
miejscu został precyzyjnie odwzoro-
wany, łącznie z tapetami, futrynami,

► Do pewnego momentu nie znośm „Kiepskich”, bo ciągle nie byłem przekonany, czy widowie odbierają nasz serial tak, jak byśmy chcieli. Czyli żeby dostrzegli tę nadgłupotę wynurzającą się z głupoty, która jest tutaj tylko środkiem wyrazu, a nie szczytem możliwości naszego dowcipu. Dowodem tego niezrozumienia była okropna i niesprawiedliwa reakcja mojego środowiska na „Świat według Kiepskich”. Pamiętam telefon od Izy Cywińskiej.

– Andrzej! Rany boskie, w jakim ty gównie grasz! Co ty robisz?

– Iza, ja jestem tylko aktorem. Daj mi jakąś ambitną rolę, bardzo chętnie zagram. Znasz mnie.

– Bycie aktorem do czegoś zobowiązuje, a tu...

– Iza, a w ogóle obejrzałaś cały odcinek „Kiepskich”?

– Skąd! Nawet nie zamierzam. Oglądałam trzy minuty. Wystarczy na zawsze.

– To może spróbuj obejrzeć, może w to wejdiesz?

Myślę, że trzeba zobaczyć kilka odcinków, żeby zrozumieć, że ta głupota nie jest tam przypadkowa.



wykształceniem. Bardzo się ucieszyłem i mój stosunek do „Kiepskich” zaczął się zmieniać.

Może jest tak, jak mówił mi kiedyś Skiba – ludzie z niższej warstwy społecznej nie chcą oglądać patologii i wstydzą się tego, co mają na co dzień. Wolą seriale typu „Dynastia” czy „Moda na sukces”, ponieważ chcą bajek o pałacach, bogaczach i ich problemach miłosnych. Chcą zobaczyć, jak ona nieszczęśliwa

dętkami, kaloszami, szlauchami i kondomami wymyśla interes życia. Będzie produkował ferdygumki, czyli zabawki dmuchane, które opchnie dzieciom na plażach całej Europy! Rodzina jest zachwycona, prócz babci oczywiście, którą Kiepski zmusza do dmuchania dętek samochodowych. W pewnym momencie babcia w odwecie oblewa Ferdka supersilnym klejem i przypadkowo skleja się z nim plecami. Zaczynam biegać po pokoju, a maleńka Feldmanowa macha rękami i nogami w powietrzu. Wtedy mnie krew zalewała, że muszę to grać, ale niedawno widziałem ten odcinek i szczerze się ubawiłem.

Krysia, choć świetnie sobie radziła, to zawsze protestowała przed takimi karkołomnymi scenami. „Ja się nie godzę!” – pokrzykiwała. Raz wspólnie oprotestowaliśmy treść odcinka. Powiedzieliśmy, że nie będziemy tego grać i już. Pomysł był taki, że Kiepscy jadą na uroczyny Jana Pawła II do Watykanu. To był odcinek z pierwszej serii, kręconej jeszcze w 1999 r. Dzisiaj są dowcipy o papieżu, wielu też ma do niego pretensje, ale wtedy kult żyjącego jeszcze Jana Pawła II był olbrzymi. Powody naszej niezgody były różne. Krysia protestowała, bo była praktykującą katoliczką – wręcz ortodoksyjną. (...) Ja z kolei uważałem, że jeszcze za wcześnie na taki mocny żart. (...) W rezultacie scenariusz został całkowicie zamieniony na historię, w której Kiepscy wybierają się na Festiwal Piosenki Radosnej Duchem i Ciałem do Częstochowy. Po wielu perypetiach z repertuarem i stylami muzycznymi decydujemy się na kapelę punkową

Zawożę mnie do hotelu. I jestem sam. Nie wiadomo, co robić. Wtedy przychodzą myśli depresyjne.

To serial i dla ambitnych, i nieambitnych. Jednym wystarczą jajca z powodu kopa w cztery litery, drudzy widzą w nim absurdalną ironię i lustro, w którym dobitnie odbijają się cechy Polaków.

W 2005 r., kiedy serial ma na koncie ponad 200 odcinków i nadal osiąga świetne wyniki oglądalności, na stanowisko osoby odpowiadającej za ramówkę Polsatu wchodzi śp. Waldemar Dziński i decyduje o zdjęciu „Kiepskich” z anteny, bo są mało ambitni. Po roku przerwy, kiedy na antenie regularnie emitowano tylko powtórki serialu, okazało się, że zgodnie z teorią Ferdka „prawa handlu są bezprawne” – ATM dostało zlecenie na wyprodukowanie 40 nowych odcinków. Tymczasem Polsat, chcąc się dowiedzieć, kto faktycznie ogląda „Kiepskich”, zlecił badania rynku. Okazało się, że dość dużą widownię stanowią osoby z wyższym

płaczem, siedząc na milionach, a on ją zdradza z pokojówką czy inną niewolnicą. A Ferdek ma jednak swój narodowy honor. Jeżeli się obraża, to mówi: „Panie Paździoch, pan jesteś gnida, pan jesteś padalec, pan dobrze o tym wiesz!”. Po kilku latach nawet Iza Cywińska, będąc gdzieś na wakacjach, obejrzała kilka odcinków „Kiepskich” i powiedziała mi, że to jednak fantastyczny serial, lepszy od kina moralnego niepokoju. (...)

Absolutną gwiazdą serialu była Krysia Feldman, która zgodziła się zagrać babcię z tych samych powodów co ja – aktorstwo to zawód, a nie hobby. Rozpoczynając przygodę z serialem, miała 83 lata. Była niesamowicie zwinna i gibka – chciałoby się powiedzieć „jak na swoje lata”, ale nie – ona była nie do zdarcia! Kręciliśmy odcinek „Gumowy interes”, w którym Ferdek zainspirowany znalezionymi na śmietniku starymi

pod nazwą Kanalia i dajemy ostrego czadu. Z czerwonym irokezem na głowie, agrafką w nosie, zielonymi wąsiskami i w koszulce z flagą brytyjską drę się wniebogłosy do mikrofonu niczym „Siczka” z KSU śpiewający „Jabol punk”. (...)

Być może dlatego wiele lat później zadzwonił do mnie prawdziwy KSU i zaproponował, żebym zaśpiewał z nimi piosenkę „Po drugiej stronie drzwi” na jubileuszowej płycie. (...) Później dałem się jeszcze namówić na kilka wspólnych występów z KSU – już nie akustycznych, ku uciesze publiczności, być może pamiętającej tamte punkowe wariacje w „Kiepskich”. (...)

Scen poszczególnych odcinków nigdy nie nagrywamy chronologicznie, robimy to obiektami. Kiedy wchodzimy do kuchni, to skręcamy wszystkie sceny kuchenne, a potem przenosimy się do pokoju, na korytarz itd. Bez trudu pamiętałem konteksty wszystkich sytuacji, kiedy mieliśmy wyprodukować pierwsze trzy odcinki. Teraz mam do nagrania 17 scen w kuchni i gdy po raz szósty jem kaszankę, to mimo że smaczna, już nie mogę na nią patrzeć, a reżyser krzyczy: „Andrzej, pochłaniaj z apetytem!”, poza tym muszę jeszcze pamiętać, czy akurat jestem poirytowany, wesoły, czy może wystraszony – wszystko to jest ogromnie wyczerpujące. Psychicznie człowiek odlatuje. Do tego przecież trzeba się totalnie otworzyć, schować

A spotykam się czasem z komentarzami, że zrobienie takiego jajcarskiego serialu to czysta przyjemność. „Ty masz dobrze! Powygłupiacie się trochę, piwa się napijesz, najesz się tych kiszek. Żreć nie umierać!”, piszą rozbawieni internauci.

W ogóle odnoszę wrażenie, że ci, którzy znają mnie jedynie z serialu „Świat według Kiepskich”, myślą, że ja mieszkam na ul. Cwiartki 3/4 we Wrocławiu, jestem bezrobotny i piję

Nowe gwiazdy wypierają stare o wiele szybciej, niż te stare mogłyby się spodziewać.

wódkę lub browary na okrągło. Kiedy widzą mnie za kierownicą, to się dziwią, dlaczego pijany jadę samochodem – takie pomieszanie z poplątaniem. Oczywiście potrafię to jakoś okiełznać w swojej głowie i myślę o tym w kategoriach komplementu. Jeżeli o aktorze mówią, że to prawdziwa postać, a nie aktor, to znaczy, że zagrał idealnie.

W ostatnim czasie serial kręcimy krótszymi seriami niż kiedyś, po pięć, góra sześć dni, ale i tak w mojej głowie dzieje się coś, co dotyczy wiele osób z tej branży. Cały dzień obracam się jednak na planie, wokół mnie dziesiątki ludzi pracują po to, żebym mógł jak najlepiej zagrać: „Panie Andrzej, zapraszam, poprawimy makijaż”. „Podłóżcie mu poduszkę pod plecy”. „Andrzej, a może to, tamto...”. I zawożę mnie w końcu

Już nie pamiętam, od którego momentu zacząłem lubić Ferdka. Nigdy go nie pokochałem, ale teraz patrzę na niego z wielkim sentymentem. Szczególnie wtedy, gdy nie kręcimy – obecnie jestem w trakcie realizacji kolejnego sezonu, więc sentyment trochę mi przeszedł. Ale dobrze wiem, że jak skończę i miną dwa, może trzy tygodnie, to nagle sobie ciepło pomyślę o tych moich zielonych dresach, o tym fotelu, na którym siedzę

już ponad 20 lat, o tym łóżku, o tych podkoszulkach, białych skarpetkach, Maryjkach na ścianach, które cały czas są takie same. Zmieniali się scenarzyści, reżyser jest już trzeci z rzędu, większość naszej ekipy postarzała się o 21 lat – to połowa mojego zawodowego życia. Kiedy zaczynaliśmy, Rysiu Kotys był prawie w tym wieku, co ja teraz, miał 67 lat. (...)

Z uśmiechem wspominam śp. Kazimierza Ostrowicza, serialowego Boryska. Urodził się pod Lwowem 18 lat przed wybuchem wojny. Swoje nazwisko zawsze tak wyniośle wymawiał – jakby wielkimi literami. Pociągające było, jak nigdy nie rozumiał, że scenę trzeba powtórzyć, zrobić dubla, czasami nawet na wszelki wypadek. I wtedy z tym lwowskim, cudnym zaśpiewem zdziwiony wyjaśniał.

– Przecież ja już to zagrałem.

– Tak, panie Kazimierzu, ale jeszcze zrobimy powtóreczkę.

– Po co? Jak ja to już zagrałem? (...)

W końcu nastąpiło wyciszenie w naszym organizmie, który się nazywa „Świat według Kiepskich”. Przyjeżdżamy i rozjeżdżamy się. Powtórki 600 nakręconych odcinków lecą we wszystkich kanałach Polsatu każdego dnia. Dzięki temu dla wielu widzów Feldman i Smoleń nadal żyją. A Grabowski? Oprócz tego Ferdka to chyba niewiele w życiu zagrał?

Fragmenty książki
Andrzeja Grabowskiego,
Pawła Łączuka i Jakuba
Jablonki *Jestem jak motyl*,
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2020



Grabowski? Oprócz tego Ferdka to chyba niewiele w życiu zagrał?

wstyd i przestać robić z siebie durnia, udając, że nie jest się durniem. Oglądałem takie sitcomy, gdzie aktor grał durnia, ale cały czas „mrukał okiem” do widza, że on tylko tak udaje, przecież normalnie jest bardzo inteligentny. To nie może tak wyglądać – ludzie szybko się połapią, że coś jest nie tak.

Na szczęście ja się nie uczę tekstu. Czytam sobie przed sceną i gram. Tylko w nowych filmach muszę się trochę pouczyć – choć też nie zawsze. W „Kiepskich” jest mi o wiele łatwiej, ponieważ ten niegramatyczny język Ferdka, przekręcanie słów również wymyśliłem ja. Stworzyłem postać, która już sama gra. Wymagało to jednak kilku lat pracy.

do hotelu. I jestem sam. Cisza. Nie wiadomo, co robić. Wtedy przychodzi myśli depresyjne. Po co to wszystko? Przecież ja żyję w jakimś złudnym świecie, a ten prawdziwy jest okropny. Jestem w jakimś hotelu, większość życia spędzam w hotelach! Mam tego dosyć. Jutro znowu muszę wstać i zagrać te wszystkie sceny. I z jednej strony się cieszę, już bym chciał wstać i wynieść się z tego pokoju, ale z drugiej – chcę od wszystkiego odpocząć. Muszę odpocząć. Może coś przeczytam, ale jak czytać, kiedy w głowie mam cały czas głos Ferdka? Czasem zejdę do restauracji. Tam czasem ktoś przyjdzie i do czegoś namówi. (...)



Prezentowe trendy 2020

Stawiamy na relaks i wygodę

Mateusz Mazzini

Na temat kończącego się właśnie roku wypowiedziano już wiele negatywnych komentarzy. Wiemy wszyscy, że 2020 dla wielu był koszmarem, a cała ludzkość z utęsknieniem czeka na moment, w którym przerzucimy kalendarz z grudnia na styczeń. Krytycznych odczuć wobec ostatnich 12 miesięcy nie złagodzą najpewniej święta, bo druga fala zachorowań praktycznie na całym świecie uniemożliwiła ich przeżywanie w szerokim rodzinnym gronie. Nie spotkamy się więc z przyjaciółmi, nie odwiedzimy świątecznych jarmarków, dziadkom, a często i rodzicom, życzenia złożymy telefonicznie lub poprzez komunikatory internetowe.

Nie oznacza to jednak, że w tym katastrofalnym roku ominą nas prezenty. Poczta i firmy kurierskie przecież działają, a przy wręczaniu podarków nie musimy być obecni osobiście. Natomiast znalezienie właściwego podarunku może się okazać trudniejsze niż zwykle, bo co ofiarować na koniec roku, który niemal codziennie przynosił coraz gorsze nowiny?

Chciałoby się powiedzieć, że najlepiej w prezencie dać komuś dobre wieści, spokój ducha i komfort. I choć zdecydowana większość z nas

ucieszyłaby się z takiego zestawu (pewnie nie tylko w 2020 r.), są to wartości pozostające poza zasięgiem i kontrolą zwykłego śmiertelnika, przynajmniej w formie permanentnej. Możemy co najwyżej próbować je zamknąć w pojedynczych chwilach zapomnienia o koszmarze tego roku. Takie podejście do prezentów zaleca w corocznym przedświątecznym przewodniku tygodnik „New Yorker”. Felietonistka gazety Rachel Syme zauważa, że podarunki, które w poprzednich latach często uważane były za „mało wymyślne” albo akurat do oddania komuś innemu przy następnej okazji, w tym roku mogą zyskać na wartości. Do takich

Największe sieci handlowe od listopada mają problemy z realizacją zamówień na piżamy i dresy.

należą wszelkiego rodzaju przedmioty służące psychicznej i fizycznej relaksacji. Syme radzi więc na tegoroczne święta pomyśleć o świecach zapachowych, olejkach eterycznych, ale też urządzeniach, które wprowadzą w nasze życie trochę więcej światła. Ona sama proponuje tradycyjne dla amerykańskich instytucji publicznych tzw. lampy bankierów, czyli połączane lampy z zielonym, szklanym kloszem, doskonale znane z hollywoodzkich

produkcji filmowych. I choć nie każdy będzie chciał odwzorowywać we własnym mieszkaniu estetykę nowojorskiej biblioteki publicznej albo czytelnego prestiżowego uniwersytetu, lampy, szczególnie terapeutyczne lub te z regulowanym natężeniem światła, rzeczywiście zyskują na popularności.

Idąc tym tropem, do listy prezentów wcześniej nierzadko wyśmiewanych, a dziś coraz popularniejszych i pożądanых, dopisać należy wszystko, co zwiększa nasz komfort nie tylko sensualny, ale i fizyczny. Krótko mówiąc, w czasach przymusowego zamknięcia, gdy nasze domy i mieszkania stały się biurem, szkołą, restauracją i kawiarnią w jednym, przydają

się przede wszystkim ubrania wygodne. Dlatego największe sieci handlowe, w tym H&M, Zara, KappAhl i Primark, od listopada mają już problemy z realizacją wszystkich zamówień na piżamy i dresy. Jak donosi Agencja Reutersa, od ponad półtora miesiąca sprzedaż ubrań domowych, ale też kapci i grubszych skarpet, przewyższa dochody ze wszystkiego, co uznać można za ubiór nieco bardziej formalny: koszul, swetrów, garsonek,

a zwłaszcza męskich garniturów. Według doniesień agencji w samych Włoszech z powodu pandemii rynek formalnej mody męskiej skurczył się co najmniej o 25% w skali roku. A końcowy wynik będzie zapewne znacznie gorszy, bo okres świąteczno-noworoczny zawsze stanowił ważny moment dla tej branży. Przy odwołanych imprezach sylwestrowych, weselach czy spotkaniach biznesowych nie ma potrzeby inwestować

Transportu liczba miejsc wykupionych w samolotach w grudniu 2020 r. była aż o jedną trzecią niższa niż 12 miesięcy wcześniej. Znacznie niższe obroty niż w poprzednim roku notują też europejscy przewoźnicy i biura turystyczne, i to mimo rozmaitych zabiegów mających na celu utrzymanie przy sobie klientów. WizzAir, jeden z potentatów na europejskim niebie, otworzył nawet w pandemicznym roku nowe połączenia, poszerzając

Przy braku możliwości podróżowania popularne będą abonamenty na kanały przyrodnicze i sportowe.

w drogi garnitur. Nawet przy sporych promocjach, które zapewne pojawią się w galeriach handlowych, przynajmniej tam, gdzie w ogóle będą one otwarte.

Podobny spadek popularności dotknął w tym roku prezenty związane z planowaniem przyszłości: kupowane z zapasem bilety lotnicze, vouchery hotelowe, rezerwacje w gabinetach kosmetycznych i spa czy miejsca na obozach treningowych. Wszystko, co musi zostać zrealizowane w określonym miejscu i czasie, jest z oczywistych względów prezentem bardzo ryzykownym. Nauczyliśmy się, że plany mogą zostać łatwo zweryfikowane przez nawet najmniejszą zmianę pozostającą poza naszą kontrolą. Nie musi to być od razu globalna pandemia, wystarczy jej lokalne ognisko albo po prostu nasza choroba. W dodatku w świetle kampanii szczepionkowych nie wiadomo jeszcze, jak w przyszłym roku będą wyglądać podróże międzynarodowe – gdzie szczepienia będą obowiązkowe przed przekroczeniem granicy, gdzie będą jedynie zalecane, jak szybko zostanie przeprowadzony program ich podawania. Wreszcie do listy minusów tego typu prezentów należy dodać często trudne kontakty z działami obsługi klienta. Już wiosną linie lotnicze bardzo szybko zmieniły swoją politykę refundacyjną, oferując bony, punkty lub inne bezgotówkowe formy rekompensaty odwołanych lotów. Odzyskanie gotówki stało się wyjątkowo niełatwe. Chociażby z tego powodu w święta biletów lotniczych czy wyjazdów wakacyjnych ofiarować sobie nie będziemy. Potwierdzają to zresztą statystyki. Według danych amerykańskiego Departamentu

siatkę lotów do Dubaju i Abu Zabi. Na niewiele to się zdało, bo według IATA, Międzynarodowej Agencji Transportu Lotniczego, światowa awiacja do stanu z 2019 r. wróci najwcześniej za kilka lat, a przyszłoroczne wakacje mogą zapełnić miejsca na trasach międzynarodowych ledwie w jednej czwartej.

Znacznie lepiej mają się za to serwisy oparte na subskrypcjach. I mowa tu nie tylko o wielkich platformach streamingowych, takich jak Netflix, Amazon Prime Video czy HBO GO, ale też o telewizjach kablowych czy specjalistycznych kanałach, które można oglądać zarówno dzięki pakietom satelitarnym, jak i pojedynczo, w internecie. Portal Condé Nast Traveler zauważa, że przy braku możliwości swobodnych podróży i uczestnictwa w wydarzeniach sportowych na tegoroczne święta często będziemy kupować to, co choć trochę może sport i podróże imitować. Popularne będą zatem abonamenty na kanały przyrodnicze i sportowe, ale i zestawy subskrypcyjne. Jednym z najciekawszych prezentów jest oferta firmy Try The World, w ramach której za niewygórowaną cenę (od 19 dol., czyli niecałych 70 zł) możemy otrzymać komplet smakołyków z różnych części świata. Przynajmniej spróbujemy ich w domu, skoro nie jesteśmy w stanie skosztować ich na miejscu.

W te święta utrzymują się też trendy prezentowe obecne od wybuchu pandemii. Kupujemy rzeczy przydatne w domu: sprzęt elektroniczny, w tym laptopy i kamery internetowe, ale również meble biurowe: biurka, krzesła i fotele. Niezmiennie popularne pozostają akcesoria do domowego uprawiania sportu. Bardzo niewielki

będzie natomiast ruch w sklepach oferujących sprzęt narciarski, głównie dlatego, że na narty w tym roku wyjechać będzie bardzo trudno. Niemcy i Włosi swoje stoki otworzą najwcześniej 10 stycznia, w podobnym momencie mają zrobić to Francuzi. Austriacy sezon już zaczęli, ale do nowego roku obsłużą wyłącznie turystów krajowych. Polskim amatorom szusowania pozostaną zatem lokalne stoki. A cały europejski sektor narciarski, zamiast szykować się na świąteczno-noworoczny zarobek, zaczyna liczyć straty.

Przede wszystkim jednak kupować i wydawać pieniędzy będziemy mniej niż zwykle. Pandemia odbiła się na finansach większości społeczeństw. Z tego względu zakupy zaczęliśmy w tym roku wcześniej i planujemy je rozsądniej, także z powodu nowych polityk dotyczących zwrotów. Jak wynika z badań agencji Coresight Research, aż 30% Amerykanów świąteczne zakupy w 2020 r. zaczęło wcześniej niż w poprzednich latach. Koronawirus przynajmniej na chwilę zmienił nasze podejście do pieniędzy. Ważniejsze jest jednak, by miał trwały wpływ na nasz stosunek do prezentów. Ich znaczenie nie idzie bowiem w parze z ceną, bez względu na to, czy możemy dostarczyć je sami, czy robi to za nas mikołaj w mundurze listonosza albo uniformie kuriera.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

**Nowy numer tygodnika „NIE”:
Dwa razy grubszy,
ale ciekawy tak samo
jak zwykle.**



Gęś z kalafiora

Weganizm może być i tani,
i niewyszukany. Przepisy proste,
a lista składników krótka.
Poza tym łatwo je zdobyć

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Które to już dla pani wegańskie święta?

– Co najmniej dziesiąte, choć mięsa nie jem już od 15 lat. Nigdy go nie lubiłam, więc w zasadzie zawsze na Boże Narodzenie było u mnie dużo roślinnych potraw.

A dla pani bliskich i znajomych?

– Trudno powiedzieć, bo mąż od lat też je wegańsko. Moi rodzice z kolei zainspirowani tym, co gotuję, ładnych parę lat temu sami zostali wegetarianami, więc na stole od dawna pojawiają się u nas dania bez mięsa i wegańskie odpowiedniki tych mięsnych.

Ale czy tylko?

– Nie, bo rodzina to też dziadkowie oraz teściowie, którzy jedzą tradycyjnie. Mimo to nadal myślę o Bożym Narodzeniu jak o świętach przyjaznych weganom i wegetarianom.

To jaka jest w takim razie pani definicja weganizmu?

– To sposób jedzenia, w którym rezygnuje się z mięsa, ryb i wszelkich innych produktów odzwierzęcych, czyli jajek, mleka i serów. A wegetarianizm to niejedzenie mięsa.

Dużo nie zostaje.

– Ależ skąd! Są przecież owoce, kasze, strączki, nasiona, pestki, orzechy, warzywa liściaste, warzywa bulwiaste, okopowe, psiankowe... Mnóstwo smaków, przypraw, aromatów i ziół. I dlatego przy podawaniu definicji weganizmu nie zatrzymuję się tylko na tym, czego się nie je – wtedy może ona brzmieć postronie. Po przecinku dopowiadam, co weganie i wegetarianie jedzą.

Bulwy, korzenie i liście – jak niektórzy kwitują to cierpko.

– Ale to nie musi tak wyglądać! To stereotyp, że weganie jedzą

**MARTA
DYMEK**

– autorka roślinnego bloga Jadłonomia i książek pod tym samym tytułem; wszystkie doczekały się wielu dodruków, tłumaczeń i wyróżnień



niesmacznie. Że to ani nie jest dobre, ani nie da się tym najeść – to kolejny mit. Podobnie jak ten: wszystko musi być wydumane, wydziwiane. Zamiast normalnego obiadu, który może być sycący.

A tak nie jest? Przecież nadal weganizm wielu kojarzy się z chipsami z kapusty i np. cappuccino szparagowym.

– Zdecydowanie nie! Osoby, które nie jedzą mięsa, nadal jedzą, tak jak lubią. I tak jak lubiły wcześniej. Jeżeli ktoś uwielbia kuchnię polską i kocha kotlety z ziemniakami i surówką, może tak jeść. Nadal bez mięsa oczywiście. Jeżeli z kolei uwielbia kuchnię orientalne, również – wciąż nie jedząc mięsa. Dlatego zawsze będę podkreślać i to: weganizm może być różnorodny. Nie ma jednej jego wersji. Jest tyle typów, ile osób, które tak jedzą. Nawet na święta.

Skoro tak, to jak z roślin zrobić smaczny i wystawny obiad na Boże Narodzenie?

– Można poszukać inspiracji w dawnych zwyczajach kuchni polskich. Zaczynam od tego celowo, bo

wielu osobom polskie święta kojarzą się wyłącznie z mięsem – często czują, że nie byłyby w stanie ograniczyć jedzenia go właśnie dlatego, że tak lubią kuchnię polską. A jeżeli przyjrzeć się dawnym książkom kucharskim lub zajrzeć do notatek etnografów, którzy badali to, co kiedyś jadano na polskich wsiach, szybko się okaże, że świąteczny jadłospis jest pełen roślinnych potraw. Ba, czerpie z okresu, kiedy 24 grudnia nie świętowano jeszcze narodzin Chrystusa, ale obchodzono pogańskie święto Gódów, celebrujące przesilenie zimowe.

A tak konkretnie czym z tej dawnej kuchni moglibyśmy się zainspirować?

– Skupiłabym się na kaszach, kiszzonej kapuście, suszonych grzybach, soczewicy, fasoli. I burakach oczywiście. Moglibyśmy zrobić np. kulebiak z kiszoną kapustą, dużą ilością suszonych grzybów, doprawiony suszonymi śliwkami i suszonymi jabłkami. Rzadko ich używamy, a dają wspaniały aromat.

Można by też zrobić fasolę zapiekaną w ulubionych przyprawach

i piwie, winie lub bulionie – co kto lubi najbardziej. Podałabym ją z cebulką, ziołami i skropiła olejem lnianym. Bardzo smacznym pomysłem są różnego rodzaju boczniki, które dają się marynować jak śledzie.

Bocznik to najlepsza ryba?

– Tak! (śmiej). Jeżeli więc ktoś ma ukochany rodzinny przepis na śledzie, po kaszubsku czy np. korzenne, może tak samo przyrządzić boczniki. Wcześniej należy je usmażyć lub ugotować w wywarze z liśćmi laurowymi, a potem już tylko zanurzyć w marynacie.

Niektórzy nie wyobrażają sobie świąt bez schabu ze śliwką.

– Tutaj można pójść w dwie strony. Albo takie potrawy odtwarzać jeden do jednego, albo wybrać przepis, który nawiązuje do tych smaków. Jeśli zatem lubimy schab ze śliwką, możemy ugotować dużą białą fasolę – jest smaczniejsza niż ta z puszek, a potem upiec ją w tych samych przyprawach, w jakich tradycyjnie pieczemy schab. Podlać bulionem, dać sporo smacznego oleju czy oliwy, by była odpowiednio tłusta. Do tego suszone śliwki. Piec pod przykryciem, a na koniec całość postawić na stole, tak jak pieczone mięso.

Chrupiącą gąskę – czym można by zastąpić?

– Nie wszystko da się tak (łatwo) zastąpić... Są pewne potrawy, które mają na tyle unikatowy smak i strukturę, że w wersji roślinnej możemy mieć poczucie, że czegoś im brakuje.

Dużo osób w Polsce chce jeść mniej mięsa – deklaruje to już co drugi z nas.

Gdyby mimo wszystko ktoś się uparł...

– ...to można przygotować wspólną pieczeń z kalafiora, którego w całości wkładamy do piekarnika. Będzie wyglądać bardzo elegancko. Poza tym da się go pokroić na porcje tak jak steki i podać z żurawiną, kluskami, kaszą gryczaną. To zresztą mogłoby być główne danie bożonarodzeniowego obiadu.

Skoro już kalafior ma udawać gęs, to jak go przyrządzić?

– Zadbaj o smak umami. Ten piąty, obok czterech podstawowych, czyli słodkiego, słonego, gorzkiego i kwaśnego. Żeby go uzyskać, wystarczy

poszukać roślinnych składników, które mają go dużo.

Czyli?

– To przede wszystkim sos sojowy, który jest wręcz eliksirem umami. Ale też orzechy włoskie czy bulwa selera, suszone pomidory i suszone grzyby. Świeże pomidory i grzyby też go mają, ale w suszonych umami jest więcej.

Załóżmy w takim razie, że mamy kalafiora, a pod ręką też orzechy i suszone grzyby – co musimy zacząć robić i w jakiej kolejności, żeby wyszło dobrze?

– Rozgrzewam piekarnik do 250 st., bo cały kalafior potrzebuje wysokiej temperatury. W tym czasie sięgam

Jeżeli ktoś ma ukochany rodzinny przepis na śledzie, może tak samo przyrządzić boczniki.

po ulubiony olej, sól i pieprz. Kalafiora nacieram taką mieszanką, zawijam w folię lub wkładam do naczynia żaroodpornego. A następnie do piekarnika na 45-60 minut. Kolejnym krokiem mogłoby być zrobienie sosu lub proszku. Proszek będzie nawet prostszy. Grzyby wystarczy wrzucić do młynka, zemleć i gotowe. Tak na marginesie: przygotowaną w ten sposób mękę można dodawać do wywarów, zup, pasztetów, to w wersji bardziej *fusion*.

A w wersji tradycyjnej?

– Z suszonych grzybów można zrobić np. sos na bulionie i cebulce, zagęszczony męką, jeśli ktoś

będziemy chcieli przygotować pasztet. Takim najprostszym, dla początkujących, jest ten pieczony z soczewicy.

Może brzmieć mało atrakcyjnie.

– Ale wyobraźmy sobie, że zaczynamy od podsmażenia sporej ilości cebuli i podduszenia jej w bulionie albo w winie. Lub mocniejszym alkoholem – whisky, wódce. Dobrze jest taką cebulę zasmażyć też w dużej ilości przypraw. Jałowiec, liść laurowy, może cząber, ziele angielskie – doskonale się tu sprawdzają. Potem należy to zblendować z ugotowaną wcześniej soczewicą, garścią orzechów lub pestek i opcjonalnie kaszą jaglaną, bo dodaje przyjemnej kremowości. Do tego olej i sos sojowy.

Na sam koniec, żeby było jeszcze bardziej tradycyjnie, taką masę wymieszamy z suszoną żurawiną, po czym przełożymy do formy. I tyle, pieczemy go w piekarniku jak tradycyjny pasztet. Podobnie jak ten mięsny smakuje prześwietnie, z kiszonym ogórkiem, małymi piklami...

Aż się boję zapytać, jak zrobić pasztet dla zaawansowanych.

– Jeżeli ktoś lubi eksperymentować, to mogę zaproponować przepis szybszy i z mniejszą liczbą składników, choć wymaga otwartości na nowe techniki. Byłby to pasztet z orzechów włoskich. Bez pieczenia. Jeden z moich ulubionych przepisów.

Też zaczynam od podsmażenia cebulki z przyprawami, bo daje ona przyjemny aromat, potem przerzucam cebulę do blendera i dodaję orzechy jeszcze włoskie. Całość mielę na jednorodną masę. Dodaję mękę ziemniaczaną, kilka łyżek bulionu i niedbale mieszam. Na koniec przelewam na patelnię lub do garnka i zaczynam podgrzewać. Kiedy pasztet zgęstnieje, przekładam go do słoików lub foremki.

Brzmi nieskomplikowanie. A takie podstawowe produkty to z czego najlepiej robić?

– Znowu zacząłabym od naszych chęci i możliwości. Bo są osoby, które kochają spędzać długie godziny w kuchni – one na pewno znajdą w sieci masę porad, jak zrobić domowe mleko owsiane. Ale być może wiele z nas nie kocha tak

lubi. W międzyczasie, kiedy kalafior będzie dochodzić do miękkości, orzechy trzeba porządnie podprażyć, a potem posiekać. I kiedy kalafior już się upiecze, połać go obficie sosem, skropić tłuszczem, bo pomoże przenosić smaki, i to wszystko posypać mieszanką prażonych orzechów, solą i świeżo zmielonym czarnym pieprzem.

To teraz rozumiem, dlaczego w jednej z książek pisze pani: „W kuchni roślinnej występują te same składniki co w kuchni tradycyjnej. Wymagają tylko innych dodatków”.

– Tak. I będzie to prawdą nawet wtedy, kiedy na świąteczny stół

► spędzać każdego popołudnia. I wcale nie musi, bo podstawowe produkty, np. roślinne mleko, można już kupić w każdym dyskoncie. Kosztują niewiele więcej niż tradycyjne. Co ciekawe, ostatnio pojawiła się nawet roślinna ośelka z orzechów. Teraz producenci widzą, że dużo osób w Polsce chce jeść mniej mięsa – badania z zeszłego roku pokazały, że deklaruje to już co drugi z nas. I wychodzą temu naprzeciw.

A co, jeżeli ktoś w święta nie da się przekonać do warzyw?

– Jeśli ich nie lubi, to można spróbować roślinnych alternatyw mięsa, które też są teraz łatwo dostępne. Niektóre smakują jak prawdziwe mięso. A gdyby ktoś wątpił, powiem tylko tyle: firma produkująca zastępniki burgerów roślinnych z białka grochu przygotowała ślepy test dla jednego z uznanych krytyków kulinarnych w USA. Zarzekł się, że na pewno wy czuje różnicę. I co? Pomylił się. Wskazał burger roślinny jako ten zwierzęcy.

Po co w ogóle weganom i wegetarianom tak doskonale imitacje mięsa?!

– No właśnie, może one nie są dla wegetarian i wegan, ale dla tych, którzy chcą jeść mniej mięsa. Ze względów środowiskowych, może martwi ich los zwierząt z hodowli przemysłowych, a może chcą się odżywiać zdrowo, a nie potrafią zrezygnować z tego smaku. Motywacji może być wiele.

Sos sojowy jest wręcz eliksirem umami. Ale też orzechy włoskie czy bulwa selera, suszone pomidory i suszone grzyby.

Gdyby ktoś od dziś chciał przejść na weganizm, to co obowiązkowo powinno się znaleźć w spiżarni roślinożercy?

– Obowiązkowych składników jest niewiele, ale można wymienić parę pomocnych. Zaczęłabym od odżywczych węglowodanów, czyli kaszy. Dobrze, by były różnorodne: gryczana palona i niepalona, jęczmienna, jaglana. Może też różne rodzaje ryżu, żeby nie musieć jeść stale tego samego.

Dalej byłyby strączki. Tutaj na szczęście również jest w czym wybierać. Soczewice: czerwona, dobra do zup, zielona – idealna do gulaszu, fasola – biała, taciata, tzw. polski orzek, czerwona i czarna, ciecierzycy...



Dla koneserów jest olej z pestek dyni – ma głęboki smak i jako jeden z niewielu pasuje do deserów.

Kolejną grupą są przyprawy. Takie jak lubimy i szczególnie ciekawa: papryka czerwona – zapewni wędzony boczkowy aromat, a także sos sojowy. Na sam koniec nasiona, orzechy i pestki. Nie tylko jako dodatek, ale też baza do kotletów i pasztetów. Choć nadal nie tylko – jeśli mam je pod ręką, to łatwo dowolne resztki z lodówki przeobrazić w syty obiad. Wystarczy pomieszać kaszę z wczorajszego dnia z ogórkiem kiszonym,

szpinakiem lub kawałkiem kapusty, a całość posypać np. prażonymi pestkami dyni.

Brakuje jeszcze jednej kategorii – tłuszczy.

– Zgoda. Oleje do smażenia, popularne oleje rafinowane, i tłoczone na zimno, w tym olej lniany – bardzo tradycyjny w Polsce. Dla koneserów olej z pestek dyni – ma naprawdę głęboki smak i jako jeden z niewielu pasuje do deserów. Z powodzeniem można nim skropić np. lody waniliowe.

Olej z dyni do lodów waniliowych?!

– Tak! I mówię to z pełną odpowiedzialnością. Jak komuś nie zasmakuje, może się poskarżyć na blogu, który prowadzę już dziesięć lat.

Skoro o blogu mowa, jak to się stało, że została pani weganą?

– Stopniowo. Kiedy miałam 15-16 lat, w liceum spotkałam pierwszego wegetarianina, do dzisiaj mojego przyjaciela, i wtedy mnie olśniło: to też jest droga dla mnie. Jako nastolatka przestałam więc jeść mięso, a kiedy na studiach wyjechałam na stypendium, w holenderskim Utrechcie odkryłam weganizm.

Jak?

– W wolnym czasie dorabiałam w restauracjach, a że lubiłam gotowanie, w końcu trafiłam i do kuchni społecznych. Takich, w których gotuje się dużo i smacznie. I tylko z produktów roślinnych. Zainteresowałam się tym jeszcze bardziej i wkrótce sama zaczęłam tak przyrządzać jedzenie.

A skąd pomysł na blog?

– Z potrzeby. Koleżanki mamy co chwilę prosiły o przepis na to, co robiłam, a ona przyniosła do pracy. Albo znajomi pytali, jak zrobić ten czy inny pasztet lub zupę. Zamiast ciągle przepisywać receptury i drukować je na domowym sprzęcie, doszłam do wniosku, że umieszczę je w sieci. Będą tylko dla znajomych – tak zakładałam. A dziś miesięcznie mam około pół miliona użytkowników i 1,5-2 mln odsłon.

Nie liczby są jednak dla pani najważniejsze – blog jest bezpłatny, nie zawiera product placement ani reklam.

– Chcę pokazać, że weganizm może być i tani, i niewyszukany. Przepisy proste, a lista składników krótka. Poza tym łatwo je zdobyć, o czym przekonuje się zresztą coraz więcej osób. Jeśli spojrzeć na badania, to wegetarian w Polsce jest już ponad milion; wegan – nie wiadomo, tu nie ma danych. Ale ich liczba na pewno rośnie – ostatnie analizy pokazują, że w związku z pandemią ok. 20% Polaków deklaruje, że je mniej mięsa. Nie chodzi wyłącznie o trudność w zakupie, to po pierwsze decyzja, by w ogóle jeść zdrowiej – raport NIK z 2018 r. pokazał, że 70-80% producentów drobiu nadużywa antybiotyków. Po drugie zaś przekonanie – o czym coraz głośniejszą mówią teraz naukowcy, zwłaszcza epidemiolodzy – że intensywna hodowla zwierząt jest głównym źródłem ryzyka kolejnych pandemii.

Dorota Bartosewicz

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Jabłko Benjamina

O wpół do siódmej do pokoju wchodzi opiekunka, żeby zapalić ogień – zaczyna się święto pieczonego jabłka. Ognie z kominka rozrzucają po parkiecie ruchome odbłaski. Przedmioty wokół łózka wyglądają inaczej niż zwykle. Chłopiec ostrożnie staje na podłodze – ona odbija coś jak rozgrzane druty, które przepychają się, nabiegają blaskiem. Na palcach podchodzi do ognia, otwiera drzwi szabaśnika. Sprawdza, czy jabłko zmieniło już zapach, czy puszcza pienisty sok. Młody Walter Benjamin w berlińskim mieszkaniu czuje coś, co opisze potem jako „ulotną wieść”, która może pochodzić z „głębszej i bardziej przemilczanej komórki zimowego dnia”. To zapowiedź świąt: wracając ze szkoły, chłopcy dostrzegają „zielone pieczęcie”, które zabezpieczają miasto jak święteczną paczkę. Ale paczka i tak eksploduje – już teraz wysypują się z niej klocki, szaliki, książki. Niedoszły autor „Pasaży”, obok obfitości berlińskiego mieszczańskiego domu, pamięta także biedę: oto rodzice wysyłają dzieci, żeby kupowały od najuboższych wełniane owieczki i świece. Teraz kontrast jest największy.

Nie tylko Benjamin wykorzystał obraz, który jest najbardziej uderzający – społecznie i, *pardon*, literacko. Oprócz wielkich kryzysów to święta w najjaskrawszy sposób pokazują skalę kontrastów między ubogimi a bogatymi, samotnymi a tymi, którym udało się zbudować jakiś przytulny kolektyw. Wielu bohaterów literackich – od dziewczynek z zapalkami po Oliverów Twistów – właśnie teraz wpatruje się przez szyby w ciepłe wnętrza mieszkań, obserwując mrugające choinki. Wiadomo – ta najwyższa, sięgająca sufitu, zniknie (razem z całym światem), kiedy tylko zgaśnie zapalka.

Benjamin już wtedy, jako siedmioletni chłopiec, dostrzegał tę ponurą podwójność, którą zapowiadały upiorne odbłaski na parkiecie, bolesna zabawa ze świecami

czy przerażająca mała Mumurela, która odstawiała się na dnie talerza, kiedy posłusznie zjadał zupę. My również tę podwójność widzimy: w Kościele katolickim święto Bożego Narodzenia jest „nakazane” jako tradycyjna uroczystość liturgiczna. Jest też Boże Narodzenie najbardziej mieszczańskim świętem, które u schyłku nowoczesności opisywane jest przez narracje ekologiczne jako szkodliwe. Chodzi oczywiście o niezliczone plastikowe choinki, przechowywanie karpi, tony mikroplastiku (brokat!). Od lat narzekamy, że kapitalizm zmienił Boże Narodzenie w święto kupowania. I już nawet nikt się nie śmieje z ozdób, które dzień po Świącie Zmarłych zastępują smutne manekiny w sklepowych witrynach.

Ale nie da się tego zlekceważyć. W końcu każdy pamięta swoją pierwszą teatralną inscenizację – ze scenografią z waty i brokatu. Moment, kiedy za firanką pojawia się pierwsza „ogoniasta” gwiazda. Ceregiele z choinką. O północy – lękliwe spojrzenia na psa. Szepty i wrzaski za kurtyną. Do dzisiaj to popularna porada teatralna: nie masz pomysłu na scenę? Każ bohaterom ubierać choinkę. Więc ubieramy. Wracają stare filmy i wiersze – jak ten Reznikoffa: „Pokazując rozdarty rękaw, stary mężczyzna sztywnymi i drżącymi palcami / odrywa kawałek pieczonego jabłka, które lśni od cukru, / nabożnie oddając się strawie, wielkiej pocieszycielce”.

Małemu Benjaminowi tamtego dnia, w Berlinie, na przełomie wieków, wystarczyło pieczone jabłko. Ale ono pochodziło „z głębszej i bardziej przemilczanej komórki zimowego dnia”.

Wiersz Charlesa Reznikoffa w przekładzie Piotra Sommera pochodzi z antologii „0 krok od nich”, Karakter, Kraków 2018

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl



DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku i Twitterze



Zarobki futbolistów bardziej frapujące niż gra

Zarabiana kasa i sportowa klasa rzadko idą w parze

**Adam Godlewski,
Maciej Polkowski**

Pieniądze w piłkę nie grają, ale ich podliczanie w futbolowym świecie jest często uprawianą dyscypliną. Dla niektórych nawet bardziej frapującą niż gra na boisku. Zwłaszcza że pod naszą szerokością geograficzną zarabiana kasa i sportowa klasa rzadko idą w parze. Właściciele i prezesi klubów nie mają jednak wyboru – uczestnicząc w wyścigu na międzynarodowym rynku, muszą płacić piłkarzom ze średniej półki europejskie stawki. W przeciwnym razie ci wybiorą korzystniejszy z finansowego punktu widzenia kierunek.

Klasa czy jej brak?

Na początku o klasie, a właściwie o tym, na czym polega jej brak. Trafnie wyjaśnił to znany trener Jerzy Jastrzębowski: „Wpływ na to ma kilka zasadniczych elementów. Najważniejszy to brak umiejętności gry jeden na jednego. Dotyczy to każdego zawodnika (i atakującego, i broniącego) oraz każdej strefy boiska. Nie mniej istotna jest niewystarczająca szybkość zawodnika – zarówno motoryczna, jak i przy podejmowaniu decyzji. Szwankuje także niezwykle ważna technika użytkowa. Najkrócej mówiąc, chodzi o tzw. czytanie gry, wybór najtrafniejszych zagrań, współpracę z partnerem, podstawowe umiejętności (podanie, przyjęcie, strzał). Warto zastanowić się nad sensem sprowadzania z zagranicy zawodników przeciętnych, którzy zabierają miejsce w składzie naszej młodzieży. Od tych średniaków zdolni chłopcy niczego się nie nauczą. No, może poza materialnym podejściem do sportu”.

Dlatego od lat zasadne jest pytanie, za co i komu płacimy. Z drugiej

strony warto sobie uzmystwić, że kluby piłkarskie są tak naprawdę przedsiębiorstwami, które można kupić, ale trzeba w nie ciągle inwestować. Nie można bowiem co roku wygrywać, zatrudniając tanich zawodników za małą płacę. Teoretycznie istnieją śmielsze kroki, np. systematyczna sprzedaż piłkarzy, ale najpierw trzeba by ich szkolić na odpowiednim poziomie, czego dopiero się uczymy. A do tego jeszcze promować najzdolniejszych w europejskich rozgrywkach, do których polskie kluby kwalifikują się bardzo rzadko. Prawda jest zatem taka, że jeśli chce się wygrywać nawet w kraju, trzeba wydawać więcej, niż klub jest w stanie zarobić. Gorzej, jeżeli po okresie prosperity kolejny sezon okazuje się klapą. Taki przebieg wydarzeń może doprowadzić do tego,

Właściciele i prezesi klubów muszą płacić piłkarzom ze średniej półki europejskie stawki.

że klub będzie osiągał coraz mniejsze przychody, jednak wydatki pozostaną takie same. Spotkało to kilka lat temu m.in. polskie drużyny z długą historią i utytułowane, takie jak ŁKS czy Polonia Warszawa, które przez problemy finansowe straciły licencję na grę w Ekstraklasie i zostały zdegradowane. A w ślad za tym straciły najlepszych piłkarzy i większość sponsorów, czyli możliwość zarabkowania. Na dobre od dna nie odużyły się do dziś. Łodzianie wprawdzie w zeszłym roku wrócili do PKO BP Ekstraklasy, ale zaledwie na sezon.

Aby pokazać, jak szybko powstaje finansowa wyrwa, nie trzeba się odwoływać do przypadków historycznych i w jakimś sensie patologicznych. Wspomniane procesy zachodzą bowiem tu i teraz, nawet w ekstraklasowej czołówce. Nie jest tajemnicą, że najlepiej klubom płaci

UEFA. Za udział w fazie grupowej najbardziej prestiżowych rozgrywek – Ligi Mistrzów – 15,25 mln euro, czyli prawie 70 mln zł. Skok na ten pułap sportowy i finansowy nie był jednak – mimo że w tym roku po takie frukty sięgnął np. węgierski Ferencvárosi – nawet w zasięgu marzeń właściciela Legii Warszawa, Dariusza Mioduskiego. Plany, co znajdowało odzwierciedlenie w konstrukcji budżetu, ograniczały się do słabszego (i zapewniającego niższe nagrody pieniężne) z europejskich pucharów, czyli Ligi Europy. Do której mistrz kraju może trafić, jeśli z Ligi Mistrzów zostanie wyeliminowany w drugiej rundzie kwalifikacyjnej (i dwóch późniejszych). Do zgarnięcia jest nawet 12 mln euro, niemal 55 mln zł. Których już od czterech lat – w każdym sezonie – brakuje w Legii do spięcia

przychodów z wydatkami. Deficyt najbogatszego polskiego klubu, który w poprzednim roku zbudował budżet na poziomie niemal 124 mln zł, sięgał zatem ok. 44%! Gdy przed dwoma laty potwierdzaliśmy u Mioduskiego, czy właśnie taka wyrwa powstała w budżecie Legii po zakończonych klęską kwalifikacjach pucharowych, odpowiedział po prostu: „Budżet jest spięty, ale trzeba było dokończyć. Nie chcę mówić o szczegółach, ale to jest mniej więcej ten rząd wielkości”.

Między bajki należy zatem włożyć opowieści o właścicielach zarabiających na futbolu krocie. Oni, jeżeli w ogóle, są bowiem ostatni na klubowej, całkiem długiej liście płac.

Pieniądze w piłkę nie grają

W całym poważnym piłkarskim świecie – od Europy, przez Amerykę



Najlepiej przez lata opłacanym zawodnikiem Legii – i całej ligi – był reprezentacyjny obrońca Artur Jędrzejczyk.

Południową i Północną, po Azję – za optymalne rozwiązanie uważa się przeznaczanie na płace zawodników maksimum 60% klubowego budżetu. Ten próg, rekomendowany przez najtęższych na świecie futbolowych ekonomistów, w Polsce jest rzadko przestrzegany. Z raportu specjalizującego się w tematyce piłkarskiej audytora Deloitte za rok 2019 wynika, że tylko cztery z 16 klubów polskiej Ekstraklasy były w stanie do tego wskaźnika się dostosować bez uwzględniania zmiennego i bardzo niepewnego czynnika, jakim są przychody z transferów. Konkretnie: wspomniany i zdegradowany ŁKS (36%), Wisła Kraków (45%), Cracovia (57%) i Legia Warszawa (58%). Pozostali uczestnicy rozgrywek od odpowiedzialnego zarządzania finansami woleli ryzyko. W efekcie w aż sześciu przypadkach nie udało się uzupełnić stanu kasy wpływami ze sprzedaży graczy do poziomu, który dyktuje ekonomiczny rozsądek. A najmocniej „popłynęła” płocka Wisła, która na wynagrodzenia przeznaczyła 93% budżetu.

Mimo to Nafciarze z Płocka pod względem wydatków na piłkarskie płace uplasowali się na przedostatnim miejscu w lidze. Przychody klubu były po prostu niskie i mimo że Wisła jako jeden z pięciu zaledwie klubów nie wydała na

kontrakty piłkarzy nawet 20 mln zł w całym sezonie, wskaźnik płacowy prezentuje się tak niekorzystnie. Życie ponad stan poskutkowało jednak lipcową dymisją prezesa, Jacka Kruszewskiego. A także rozwiązaniem umowy z dyrektorem sportowym, Markiem Józwiakiem, które nastąpiło 30 listopada, po rozliczeniu i ocenie ostatniego okienka transferowego. Finansowa jazda

Warszawska Legia wydaje na płace ponad 70 mln zł, Lechia Gdańsk – ponad 30 mln zł, Lech Poznań ponad 20 mln zł.

bez trzymanki była opłacalna o tyle, że płocczanie zajęli w rozgrywkach 12. miejsce – przedostatnie, które zapewniało pozostanie w najwyższej lidze w Polsce. Tyle że za rozrzutność przyjdzie (zapewne) płacić co najmniej zwiększoną dawką stresu jeszcze w obecnych rozgrywkach. Zespół prowadzony przez trenera Radosława Sobolewskiego wlece się bowiem w tabeli Ekstraklasy niebezpiecznie blisko końca.

Najwięcej – grubo ponad 70 mln zł (przy ponad 123 mln przychodu) na płace przeznaczono w warszawskiej Legii, która sięgnęła po tytuł mistrza Polski. Ponad 30 mln zł zgarnęli piłkarze Lechii Gdańsk (czwarta pozycja w lidze, przychody 51,2 mln). Trzeci pod względem wpływów

Lech Poznań na zarobki zawodników wydał natomiast prawie 10 mln zł mniej od klubu z Trójmiasta. W tabeli uplasował się jednak wyżej od rywala z Wybrzeża; tuż za plecami Legii. Co dowodzi słuszności stwierdzenia, które padło wyżej, że pieniądze w piłkę nie grają.

Pęczniały portfele nielicznych

Najlepiej przez lata opłacanym zawodnikiem Legii – i całej ligi – był reprezentacyjny obrońca Artur Jędrzejczyk. Korzystając z chwilowej hossy związanej z występem w Lidze Mistrzów (rok 2016), poprzedni prezes klubu zaoferował reprezentacyjnemu stoperowi gażę na poziomie 800 tys. euro. Półtora roku później okazało się, że stołecznego klubu nie stać na taki wydatek, więc czas spłaty dwuipółletniego kontraktu rozłożono na cztery lata. Zabieg ten zmniejszył miesięczną pensję urodzonego w 1987 r. obrońcy z ok. 285 do 200 tys. zł. A na tym poziomie w poprzednim sezonie zarabiał także najlepszy snajper Lecha Poznań – i całej ligi – Christian Gytkjær. Duńczyka nie ma już jednak w Poznaniu, jego obowiązki (a należy zakładać, że i pobory) przejął w Kolejorzu Szwed Mikael Ishak. Trzeba mu oddać, że również on wyróżnia się bardzo korzystnie na szarym tle PKO BP Ekstraklasy.

Niewiele mniej, wedle niepotwierdzonych informacji, ma inkasować w Cracovii (zdobywca Pucharu i Superpucharu Polski) sprowadzony w tym roku – podobnie jak Ishak z drugiej Bundesligi – napastnik Marcos Alvarez. Niemiec z hiszpańskim paszportem zarabia podobno pod Wawelem 30 tys. euro netto, podczas gdy w poprzednim klubie VfL Osnabrück miał pobierać dokładnie połowę tej kwoty. Wygląda na to, że w polskiej Ekstraklasie płaci się niektórym nie tylko za umiejętności, ale i za... brak prestiżu rozgrywek.

Szefom biedniejszych polskich klubów trzeba oddać, że potrafią konstruować motywacyjne umowy dla dobrych zawodników. Igor Angulo, najlepszy piłkarz i zarazem strzelec

► Górnika Zabrze, w minionych czterech latach miał taki kontrakt, że opłacało mu się zdobywać gole. Podstawowa pensja Baska wynosiła 10 tys. euro miesięcznie. Miał jednak w kontrakcie zapis o bonusach, które po sezonie umożliwiały podwyższenie gaży o dodatkowe 5 tys. euro w skali miesiąca. Czyli jego roczna premia sięgała aż 60 tys. euro, połowy zasadniczej płacy. Bartosz Sarnowski, poprzedni prezes Górnika,

prezesi klubów Ekstraklasy. A także wiceprezes Cracovii, trener Michał Probiez. W kwestii cięcia pensji dogadał się z każdym, oprócz kapitana zespołu Janusza Gola. Środkowy pomocnik, zasłużenie wybrany na Ligowca Roku 2019, mógł pod Wawelem – wedle niektórych źródeł – liczyć na uposażenie w wysokości 130 tys. zł miesięcznie. I zapewne biorąc pod uwagę swój niezaprzeczalny wkład w podniesienie jakości

A nie byli wcale rekordzistami. Już w trakcie pandemii Sławomir Peszko, były reprezentant Polski, podpisał umowę z Wieczystą Kraków, klubem z małopolskiej klasy okręgowej (szósty poziom rozgrywkowy), wartą 40 tys. zł miesięcznie. Z drugiej strony kapitan i zarazem współwłaściciel Wisły Kraków, zresztą kolega Peszki z kadry narodowej, Jakub Błaszczykowski, gra w Ekstraklasie za 500 zł. I całą tę kwotę przekazuje na cele dobroczynne. Oczywiście po okresie występów w Bundeslidze (z krótką przerwą na Serie A) stać go na to. A nawet na pożyczkę w wysokości niemal 1,5 mln zł, której udzielił klubowi, gdy Biała Gwiazda była na ostrym zakręcie. Trzeba jednak przy tym zaznaczyć, że w porównaniu z najlepiej opłacanymi zawodnikami świata Kuba (w Dortmundzie inkasował 2 mln euro za sezon) jest niczym ubogi krewny (patrz: ramka).

•
Już prezes klubu Tęcza, Ryszard Ochódzki, w kultowym, nakręconym w 1980 r. przez Stanisława Barej filmie „Miś” apelował proroczo:

Płocka Wisła na wynagrodzenia przeznaczyła 93% budżetu.

umieścić w umowie z zawodnikiem zapis, że dodatkowe pieniądze będą mu się należały na koniec sezonu tylko wtedy, gdy w klasyfikacji kanadyjskiej – obejmującej gole i asysty – uplasuje się w czołowej trójce ligi. W efekcie Angulo w 138 meczach rozegranych w barwach zabrzańskiego zespołu zdobył 80 bramek, był królem strzelców zarówno I ligi, jak i Ekstraklasy. I w trakcie zaledwie czterech lat awansował do czołowej dziesiątki najskuteczniejszych piłkarzy w historii KSG. A przy tym dostrzegał lepiej ustawionych kolegów, gdyż opłacało mu się nie tylko kończyć akcje, ale i notować kluczowe podania w sytuacjach bramkowych.

zespołu, nie był skłonny podzielić apanaży przez dwa. Efekt? Najpierw stracił kapitańską opaskę, stopniowo był marginalizowany, aż w końcu trafił do tzw. Klubu Kokosa. Czyli w ogóle przestał się pojawiać na boisku i nie dotrzymał podpisanej do 30 czerwca 2022 r. umowy, która ostatecznie została rozwiązana łącznie za porozumieniem stron. Dziś gra już dla Dinama Bukareszt. Z doniesień tamtejszych mediów wynika, że za równowartość niespełna 100 tys. zł.

Za optymalne rozwiązanie uważa się przeznaczanie na płace zawodników maksimum 60% klubowego budżetu.

Pandemiczny spadek apetytów i stawek

Płacowe otrzeźwienie przyszło wraz z narzuconymi przez pandemię ograniczeniami w pozyskiwaniu środków finansowych. Obniżenie pborów – przynajmniej na czas lockdownu – negocjowali wszyscy

Statystyczni Kowalski z Nowakiem mogą oczywiście przeżyć szok, patrząc na stawki obowiązujące nie tylko w polskim futbolu. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że jeszcze do maja np. w Kotwicy Kołobrzeg – występującej w III lidze (czwarty poziom rozgrywek) – piłkarze z przeszłością w Ekstraklasie zarabiali po 12 tys. zł.

„Nie mieszajmy myślowo dwóch różnych systemów walutowych. Nie bądźmy Pewexami!”. Najlepszy dowód, że trafnie przewidział piłkarską przyszłość, stanowi fakt, że kilka miesięcy temu specjalistyczny portal Transfermarkt.de wartość stu najwyższych wycenianych piłkarzy PKO BP Ekstraklasy szacował – w sumie – na niespełna 194 mln euro. Natomiast Brazylijczyk Neymar przeszedł w sierpniu 2017 r. z Barcelony do PSG za 222 mln euro.

Ludzie narzekają, że futboliści są przesadnie wynagradzani, ale na sukcesach, a w zasadzie to już na występach, piłkarzy zarabia cały świat: czasopisma, stacje telewizyjne, portale internetowe, bukmacherzy, producenci. I to nie tylko z reklam. Tak naprawdę świat zarabia na futbolu więcej niż sam futbol. A że polska piłka nożna nie jest pępkiem tego świata, to już kompletnie inna sprawa.

Adam Godlewski,
Maciej Polkowski

Zarobki najlepszych na świecie

1. Leo Messi (FC Barcelona)	– 126 mln dol. (92 mln z kontraktu + 34 mln z umów reklamowych)
2. Cristiano Ronaldo (Juventus)	– 117 mln (70 + 47)
3. Neymar (Paris Saint-Germain)	– 96 mln (78 + 18)
4. Kylian Mbappé (Paris Saint-Germain)	– 42 mln (28 + 14)
5. Mohamed Salah (Liverpool)	– 37 mln (24 + 13)
6. Paul Pogba (Manchester United)	– 34 mln (28 + 6)
7. Antoine Griezmann (FC Barcelona)	– 33 mln (28 + 5)
8. Gareth Bale (Tottenham Londyn)	– 29 mln (23 + 6)
9. Robert Lewandowski (Bayern Monachium)	– 28 mln (24 + 4)
10. David De Gea (Manchester United)	– 27 mln (24 + 3)

Źródło: „Forbes”, TOP10 – 2020



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Gemütlich, w święta musiało być *gemütlich*; może gdyby pradziady nasze żyły po ruskiej stronie Brynicy, w Boże Narodzenie byłoby ujutnie, ale mój śląski ojciec swoje niezaspokojone pragnienie przytulnego i bezpiecznego zaszycia się w domowych pieleszach określał z niemiecka. On sobie raj wyobrażał jako wieczne trwanie przy rodzinnym stole, najlepiej suto zastawionym; urodził się w pierwszą wiosnę wojny światowej, jego pokolenie wzrastało w przekazywanym z mlekiem matki lęku przed głodem i utratą najbliższych. Uwielbiał przedłużać w nieskończoność tzw. rodzinne posiłki; nie chciał jeść, chciał śniadać, obiadować i wieczerzać, otaczając się najbliższymi. Czas świąt, u katolików przykazany cykl uświęconego nieróbstwa, dawał mu rytualną władzę nad stołem, nad stadłem i stadkiem. Był dyrygentem jadalni, stolnikiem jako żywo, wprzódzy zaglądającym do kuchni, aby ocenić, czy kobiety domowe (matka, żona, siostra) urabiają się po łokcie wedle tradycji, potem zaś wskazującym (obywał się bez batuty), gdzie dary Boże stawiać, jaką kolejność potraw zachować, a także jak dbać o temperaturę. Nie chodziło tylko o ciepłotę potraw, aby święta były *gemütlich*, kobiety domowe musiały emanować ciepłem i roztaczać wokół siebie błogi

W wypukłości choinkowych bombek świat odbijał się zakrzywiony, moja gęba i nasze mieszkanie w tle, tak też się zakrzywiała czasoprzestrzeń, skorośmy wszyscy rok w rok wracali do tej samej mistyfikacji, na jeden wieczór w porywach do dwóch dni wszyscy udawali, że się kochają, ci gorliwsi jakby się naćpali mirrą i kadzidłem, jak ciotka, która miała na ten czas *timbre* ustawiony zgoła liturgicznie, ci bliżsi ziemi po prostu robiący dobre miny do złej gry, żeby się choć przełamać opłatkiem.

A kiedy już udawało się dotrzeć do zmierzchu, ojciec jako mistrz ceremonii odczytywał biblijny fragmencik, po czym dziękował Bogu za to wszystko, co przygotowały mamaciotkababcia, i przystępował do celebry spożywania darów. Wyposzczony rzucał się na kolejne dania i kontemplował, zachwalał, przeciągał, przedłużał, przeginał – albowiem nikomu od stołu wstać nie wolno, póki pan domu nie zakończy biesiady (nikomu, prócz kobiet domowych – służebnic pańskich, wnoszących i wynoszących talerze po trzynastokroć). Wysysał karpia do ostatniej ości, wylizywał talerz po barszczyku, kazał sobie dokładać gotowanej kapusty z grzybami („Dolóż mi tej kłapouchy”), dolewał barszczu z uszkami, kompotu z suszu, z którego wyląwiał śliwkę i ogryzał

Pójdźmy wszyscy do stołu

spokój – ojciec badawczo przyglądał się mojej matce-ciotce-babci za każdym razem, kiedy wnosily tace i półmiski, czy aby na pewno czynią to z odpowiednią radością, czy za ich uśmiechami nie czai się jakaś utajona pretensja do losu, która fałszywym tonem zakłóciłaby tę symfonię przytulności.

Jako nadzorca wigilijnego nastroju bywał czasem zbyt nimbem harcownikiem, od rana prowokował ile wlezie, żeby porozciągać granice cierpliwości kobiet domowych przed wieczorem, aby, gdy pierwsza gwiazdka zaświeci, zdolne były puścić mimo uszu i oczu znacznie więcej niż w dniu powszednie. Mówił np., chodząc z psą przed porannym spacerkiem: „Synek, a ty wiesz, że dzisiaj zwierzęta mówią ludzkim głosem?” – mówił to do mnie, ale tak, żeby mama w kuchni słyszała – „To może i z matką wreszcie się da spokojnie pogadać! He, hehe”.

Matka ścierała zęby, aby nie wyjść z siebie i nie ustyszeć, że „są takie, co nawet świąt uszanować nie potrafią”, ale odkuwała się po 26 grudnia, och, odkuwała się właściwie wedle kalendarza w każdy nieświęty dzień roku, oczywiście na początku, przez pierwsze lata, wtedy, kiedy jeszcze ulegała tym szantażom emocjonalnym, że święta muszą być *gemütlich*, inaczej to grzech. Zamiast więc wieszać na ojcu psy, mama wieszała ze mną ozdoby na choince i mnie ten przedświąteczny *reisefieber* nawet się podobał. Bo miast złorzeczeń z ust rodziców koledzy sączyły się z radyjka, wszystko ku czemuś niezwykle mu mierzało – gorliwi katolicy ku ponownym narodzinom Boga, bierni wierni ku świętym spokojom (wszystkie kobiety domowe tego świata mierzały też ku wielkiemu zmywaniu, ale to potem-potem), ja zaś, pospołu z dziatwą reszty świata, na zapach świeżego igliwia reagowałem wyczekiwaniem na prezenty, co to się miały w końcu pojawić.

ją do samej pestki, a potem wycmokiwał spomiędzy zębów skórki, ścięgienka, czy co tam utkwilo, na deser zaś sięgał po kolejne chochle swoich ulubionych makówek („Mmm, makówka jak ta lala”), w których się niemal nurzał, w których byłby się wytarzał z rozkoszy, gdyby to stolnikowi przystało, a przy tym mruczał, charkotał, jęczał, zawodził, cmokał, pogwizdywał – wszystko to ku chwale smaków wigilijnych; o, jakże mu było *gemütlich*, *sein Gott*. Aż w końcu, kiedy wielokrotnie się upewnił, że żadne z nas nie ma już od dawna ochoty na nic do zjedzenia, ogłaszał, że można wstać, że mam iść do kuchni i pomóc w zmywaniu, i wiedziałem już, co się święci. Niedługo później zachodził do nas, by wieczerzynkowo przyaktorzyć: „A kto to okno w pokoju otworzył na oścież? Śniegu nawiewa, zimno jak w psiarni, chodźcie, zobaczcie, co to ma być?!”. „Och, to przecież Dzieciątko prezenty przyniosło!” – już można było dać nura pod choinkę, rozszarpywać na strzępy opakowania i wyjmować podarki; ojciec wtedy przenosił się z krzesła na fotel i zapadał się w nim utuczony, i napawał się, i przeżarty przycinał komara, patrząc na krzątanie kobiet domowych i swojego potomka.

Ile było takich wigilii? Może z dziesięć, potem już matka nie miała siły udawać, ja się wyleczyłem z katolickich neuroz dzieciństwa, kobiety się oddomowiły – babcia zmarła, cioteczka odeszła niedaleko, ale od zmysłów. Ojciec spędzał święta z powiek przed telewizorem, mamrocząc coś pod nosem mizernie i cicho przy bigosie z cateringu. A kiedy się klimat ocieplił, wyleczyłem się zupełnie z tego biedasarmackiego obyczaju; już mnie dzwonki sań za serce nie ściskają, bo nawet śnieg jest już tylko sztuczny. Poślubiłem ateistkę, mam *gemütlich* przez cały rok.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Nieludzkim głosem

Zwierzęta mówią dużo, trzeba tylko zrozumieć ich mowę

Samice jelonka rogacza komunikują się za pomocą feromonów działających na samce niczym Chanel N°5.

Konrad Malec

Nigdy nie słyszałem, by zwierzęta mówiły ludzkim głosem, ani w wigilię św. Jana, ani w okolicy przesilenia zimowego. Nie oznacza to jednak, że w ogóle nie mówią, przeciwnie, trzeba tylko zrozumieć ich mowę.

Zwykle, kiedy myślimy o mowie, chodzi nam o głosy wydobywające się z gardzieli, jak w „Rejsie”, gdzie chodziło o podanie odgłosu konia paszczą. Nic dziwnego, to nasz główny sposób komunikacji, który jest bardzo popularny wśród ptaków. Ssaki pod tym względem zajmują pośrednie miejsce, z nielicznymi wyjątkami, do których właśnie my się zaliczamy. To również jedna z przyczyn, dla których lepiej rozumiemy ptaki niż naszych krewniaków. Ptaki kojarzą się nam głównie ze wspaniałymi śpiewami w okresie godowym. Powszechnie wiadomo, że w ten sposób wabią partnerki, choć to nie cała prawda. Wprawdzie śpiew jest często informacją dla samicy, o sile i zdrowiu samca, ale zwykle głównym adresatem trelu są inne samce. Opierzeni soliści oznaczają w ten sposób swoje terytorium. Inny samiec otrzymuje informację, że lepiej tu nie zaglądać. Choć nie wszyscy do tego się zastosują – wpadną z wizytą osobniki,

które nie przystąpiły do lęgów, bo gdzieś podział się musza. Wpadnie też sąsiad, ale raczej do szanownej małżonki, zwłaszcza gdy właściciel terenu nie jest przesadnie atrakcyjny, lecz o tym innym razem.

Poza sezonem godowym, a także w jego trakcie, słyszymy głosy kontaktowe oraz ostrzegawcze. Te ostatnie są szczególnie ważne, gdy mamy do czynienia ze zgrupowaniami ptaków, np. przy karmniku często możemy usłyszeć ostrzeżenie przed krogulcem. Alarm sprawia, że natychmiast cała ferajna kryje się w niedostępnych miejscach. Alarm ptasiej drobnicy to wysoki gwizd, podobny

Dla ludzi to spore zaskoczenie, że większość świata zwierząt jest głucha.

u różnych gatunków, mamy tu więc coś na kształt esperanto. Podobny mechanizm wykształciły kaczki, wydające dobrze nam znane, międzygatunkowe kwakanie. Podobieństwo sygnału alarmowego w stadzie, poza oczywistym porozumiewaniem się między gatunkami, ma też inną zaletę – osobnik wszczynający alarm nie wyróżnia się w grupie, dzięki czemu nie ściąga na siebie uwagi napastnika. Ten drugi fakt zdaje się bardziej istotny, ponieważ odmienne sygnały alarmowe są często zrozumiałe

dla zwierząt spoza grupy. Wiewiórki intensywnie nasłuchują głosów wydawanych przez ptaki i są w stanie wychwycić zagrożenie, bez względu na to, czy alarm podniesie bogatka, kwiczoł czy sójka. Każde ze wspomnianych zwierząt robi to w odmienny sposób, ale i każde rozpoznaje sygnały ostrzegawcze pozostałych.

By posługiwać się głosem, konieczny jest aparat nadawczy, np. wspomniana paszcza. Skoro emitujemy dźwięk, liczymy, że ktoś go odbierze i zrozumie, konieczny jest więc aparat odbiorczy. Dla ludzi to spore zaskoczenie, że większość świata zwierząt jest głucha. Spośród

owadów, stanowiących trzy czwarte świata zwierząt, tylko niewielka grupa ma słuch. Wśród sześcionożnych organizmów do

nielicznych posiadaczy słuchu należą prostoskrzydłe, których przedstawicielami są pasikoniki. Zmysł słuchu powstał u nich bez związku z naszymi uszami i zupełnie inaczej zlokalizowane są aparaty odbiorcze, zwane narządkiem tympanalnym. Zapewne pasikoniki dziwią się, że nosimy uszy na głowie, one mają je na goleniach. Do wydawania głosów nie używają też jamy gębowej, lecz posługują się strydulacją – czyli pocieraniem różnych części ciała o siebie, np. nogi o skrzydło, skrzydła o drugie

skrzydło czy, jak niektóre pluskwiaki, penisa o podbrzusze.

Mechaniczne metody nie są też obce ptakom, np. gorzykowatym. Ich najwybitniejszym muzycznie przedstawicielem jest kusogorzyk miotlasty, którego muzyka jest porównywana z dźwiękami skrzypiec (mnie przypomina raczej piszczałkę, ale chyba uszy mam z drewna i na goleniach). By zaimponować dziewczynom, kusogorzyki uderzają o siebie skrzydłami 107 razy na sekundę! Tempo nieosiągalne nawet dla Paganiniego. Z rodzimych ptaków najbardziej znanymi instrumentalistami są bociany, które uderzając dwiema połówkami dzioba, wydają klekot. Metodami perkusyjnymi posługują się również dzięcioły, bębniące o dobrze rezonujące gałęzie, latarnie czy blaszane dachy. Z kolei kszuki, znane głównie jako wyjątek ortograficzny, którym poloniści katują dzieci, wlatują wysoko, a następnie opadają pod kątem 45 st., rozpościerając zewnętrzne skrzydła w ogonie, co powoduje dźwięczny furkot, przypominający beczenie jagnięcia. Temu dźwiękowi imię zawdzięcza cała grupa tych ptaków, zwanych bekasami.

Wracając do owadów, większość komunikuje się za pomocą zapachów. Samice jelonka rogacza z odchodami rozsiewają feromony, działające na samce niczym Chanel N°5. Podobnie rzecz się ma u motyli, są one jednak znacznie bardziej wyrafinowane. Panowie mają plamy zapachowe na skrzydłach, które rozsyłają zapach będący zaproszeniem (i informacją o kondycji) dla samic. Najlepszym tego przykładem jest latolistek cytrynek, charakterystyczny żółty motyl, jedna z pierwszych oznak wiosny, często nazywany po prostu cytrynikiem. Warto wiedzieć, że żółte są tylko samce. Większość ludzi myśli, że nazwa gatunku pochodzi od tego koloru, tymczasem wywodzi się ona od cytrynowego zapachu. Gwoli sprawiedliwości dodam, że niektóre motyle wydają i słyszą dźwięki, ale ich narządy tympanalne zlokalizowane są u podstawy pierwszej pary skrzydeł.

Bardziej złożoną mową zapachów posługują się mrówki. Specjalnym zapachem oznaczają ścieżkę, po której idą, by później trafić do mrowiska. Jeśli znajdą obfite źródło pokarmu, zostawiają drogowy zapachowy dla pobratymców z kolonii. Dzięki

zapachowemu dowodowi osobistemu rozpoznają siostry z własnego mrowiska, odróżniając je od intruzek, które należy niezwłocznie (brutalnie) wyprosić. Poszczególne gatunki mrówek mogą używać dobrze ponad setki różnych informacji zapachowych. Podobnie sprawa się ma z większością ssaków. Każdy mieszkający z psem czy kotem wie, że pies zaznacza terytorium moczem, a kot – ocierając się o różne przedmioty. Ba! Koty, a także ich dzicy i bardzo rzadcy w naturze pobratymcy, żbiki i rysie, zostawiają swój zapach nawet włoskami między

Niektóre ośmiornice zmianą barwy sygnalizują uczucia względem potencjalnego partnera.

opuszkami na łapkach. Cenną pomocą w zostawianiu zapachu jest gruczoł fiołkowy, obecny m.in. u wilków i lisów. Znajduje się on na grzbiecie, w pobliżu nasady ogona.

A skoro już doszliśmy do ssaków, warto napomknąć, jak potrafią porozumiewać się paszczą, np. wilki z ich legendarnym nocnym wyciem. Ponadto wilki warczą, ale nigdy nie szczekają. To ostatnie jest domeną... saren, ostre szczeknięcie stanowi sygnał ostrzegawczy, zwykle wydawany przez matkę, ale można je usłyszeć także zimą, gdy sarny grupują się w mniejsze lub większe stada.

Choć u ssaków wzrok zwykle nie odgrywa pierwszoplanowej roli, to i komunikacja wzrokowa jest istotna. Wspomniane sarny mają wokół odbytu plamy jasnego owłosienia, zwane lustrem. Służy ono do komunikacji – dzięki temu zwierzęta widzą się w nocy i stado się nie gubi. Ponadto może ono służyć jako informacja ostrzegawcza – zaskoczone nagłą bliskością zagrożenia sarny nie wokalizują, lecz biorą nogi za pas. Szybko oddalając się lustro jest sygnałem, że i my powinniśmy czym prędzej dać drapaka. Ta metoda bywa pomocna w porozumiewaniu się ofiar z... drapieżnikami. Oddalające się lustro może być sygnałem dla napastnika, by dać sobie spokój, ponieważ niedoszły posiłek jest zbyt sprawny, by go dogonić. To pozwala oszczędzić cenną energię. Znacznie dalej w tej metodzie doszły zamieszkujące południową Afrykę

skoczniki antylopie, nieco większe od naszych saren. Na widok lwa czy lamparta wykonują podskoki na wysokość 4 m! Zdaje się, że zwierzę mówi w ten sposób: „Daj spokój, widzisz, jaki jestem sprawny? Nie dopadniesz mnie!”. I rzeczywiście, po takiej demonstracji wielkie koty często odpuszczają, no chyba że któryś osobnik skacze niezbyt wiarygodnie.

Wizualne porozumiewanie się ma znaczenie również dla wyboru odpowiedniego partnera. Wydaje się, że w tej dziedzinie mistrzami są niektóre ośmiornice, sygnalizujące zmianą barwy uczucia względem potencjalnego partnera. Naczelne, do których i my należymy, często mają intensywnie czerwone pośladki. Widoczne jest to szczególnie u małych samic. Wprawdzie u naszych krewniaków samce nie są specjalnie wybredne, niemniej jednak to informacja o vitalności samicy. Dziewczyny o mniej wybarwionych pośladkach mogą liczyć na mniej ponętnych partnerów. Od tych atrakcyjniejszych odpędzą je laski o intensywnie czerwonych i wielkich pupach. Podobnie rzecz się ma u innych zwierząt z widocznymi różnicami między chłopakami a dziewczynami, zwanych przez biologów dymorfizmem płciowym. Rzecz jasna, w takich razach myśl nasza biegnie do ptaków, szczególnie do kaczek, u których dziewczyny uchodzą za brzydkie (skądinąd nieśluszenie, ich maskujące i zarazem

Mrówki specjalnym zapachem oznaczają ścieżkę, po której idą, by później trafić do mrowiska.

misterne ubarwienie jest zachwycające), panowie zaś za kolorowych i pięknych. I rzeczywiście, wybierając kaczorów na mężów, kaczki kierują się ich wyglądem. Im barwniejszy, tym lepszy. Ale liczba najatrakcyjniejszych samców jest ograniczona, nie wszystkim dziewczynom trafi się supermen. Rogi mało wyglądne samcowi trudno dorobić, panowie bardzo pilnują swoich wybranek, zresztą oddalenie się od partnera naraża samice na gwałt, niekiedy zbiorowy. Takim niezbyt przystojnym kaczorom samice złożą mniejsze jaja. Ale o tym napiszę w kolejnym artykule. ■



Tamara Łempicka

– królowa art déco

Tamara Łempicka urodziła się jako Maria Gurwik-Górska. Od najmłodszych lat obracała się w towarzystwie światowych elit i brylowała na salonach. Lubiła życie towarzyskie. Szybko zaczęła pasjonować się sztuką. Jako młoda dziewczyna poślubiła Tadeusza Łempickiego. W latach 20. XX w. Łempiccy przeprowadzili się do Paryża, gdzie z uwagi na ich sytuację majątkową Tamara zaczęła malować zarobkowo. Tu zdobyła wielu wpływowych klientów i osiągnęła sukces.

Dzisiaj obrazy Łempickiej osiągają zawrotne ceny na aukcjach. Wydawnictwo BOSZ przygotowało kalendarz z najbardziej znanymi i cenionymi dziełami królowej art déco. W ofercie znajduje się także album malarki.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



DECEMBER

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31

BOSZ



MAY

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31

BOSZ



OCTOBER

2021

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31



AUGUST

2021

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31



FEBRUARY

2021

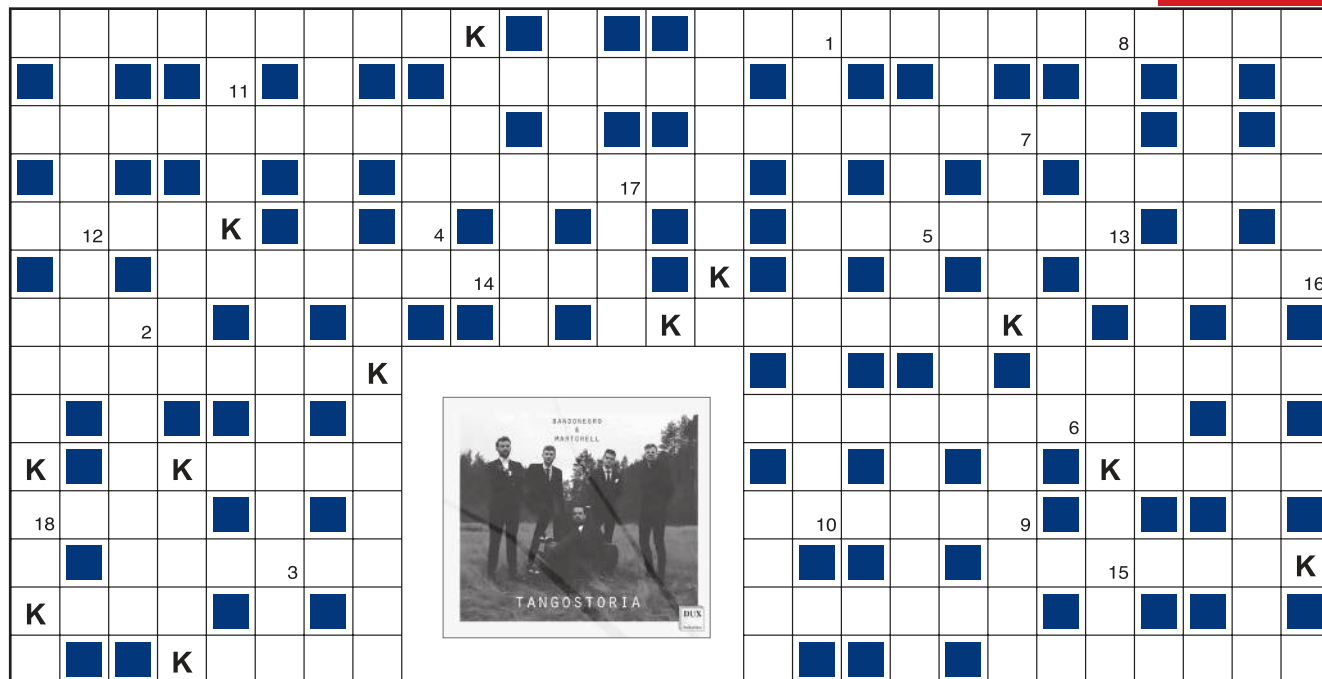
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28



MARCH

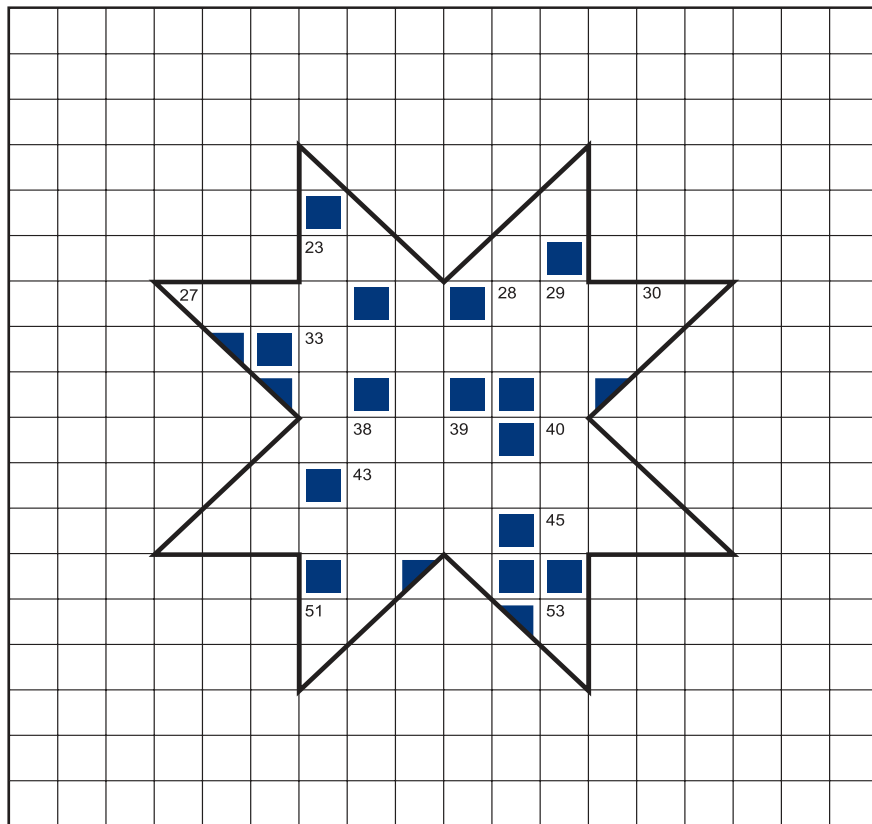
2021

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31



KRZYŻÓWKA Z GWIAZDKĄ

W diagramie ujawniono tylko część numerów i zaciemnionych pól – rozmieszczenie pozostałych należy ustalić samemu.



Poziomo:

- 1) obok szablisty i florecisty
- 10) między starszym kapralem a sierżantem
- 11) tendencja, nurt w sztuce
- 14) pośrednik handlowy z angielska
- 15) podsłuchowa lub hazardowa
- 18) Jan... Sztudynger
- 19) zielone gałązki do przybrania bukietu
- 22) Bursztynowa zaginiona
- 25) potrzebna, żeby przerwać monotonię
- 28) ambra to wydzielina z jego przewodu pokarmowego
- 33) ładnie zapakowane pod choinką
- 34) w przenośni o przyszłości
- 36) miękka tkanina ze strzyżonym włosom
- 40) M, L lub XXL
- 42) świetlny, dźwiękowy lub chorągiewką
- 43) obowiązkowa nie kusi ucznia
- 44) linia ciśnienia na mapie pogody
- 45) przyfrunie dziobać słoninę
- 48) wrażliwe wymagają szczególnej ochrony
- 50) wybryk, eksces
- 53) oddział chorób wewnętrznych
- 55) z sejmowej można grzmieć
- 56) mistrz, dobry fachowiec
- 57) salata w portfelu
- 58) żelazne u opanowanego
- 59) nielot z Ameryki Południowej
- 60) komisyjny, wstępny albo poprawkowy
- 61) brytyjski kolega harcerza
- 62) „...nocna” albo „Wymarsz strzelców” Rembrandta

Pionowo:

- 1) substancja chroniąca koronę zęba
- 2) dbałość wynikająca z głębokiego szacunku
- 3) uprawia japońską sztukę walki wręcz

- 4) przyświeca oddanym sprawie, wizjonerom
- 5) i akwalung, i cyfrowka
- 6) najwyższy poziom, maksymalna wysokość
- 7) w słoju z kiszonymi ogórkami lub do ziemniaczków
- 8) wiano
- 9) słodka potrawa żydowska i przysmak
- 12) rozkazał otruc Brytanika
- 13) drzewo liściaste o owocach ze skrzydełkami
- 16) bohater m.in. dzieła Goethego, przyzwał diabła
- 17) mops, pers lub arden
- 20) procenty dla Japończyka
- 21) powyżej kolana
- 23) uproszczony plan okolicy, trasy
- 24) pracownia, studio artysty
- 26) ...Pierścienia z Gandalfem i Aragornem
- 27) z losom bywa niebezpieczne
- 29) już nie w Trójce, ale w „Szkle kontaktowym” wciąż
- 30) kształt błyskawicy
- 31) na świątecznym makowcu
- 32) autor, kreator
- 35) ...zdrowia – rzadko choruje
- 37) smak miodu i błogość
- 38) niesmaczny dźwięk przy jedzeniu
- 39) chrząstka, łączna lub nabłonkowa
- 41) ...Express – kursował z Paryża do Stambułu
- 46) składa propozycję handlową
- 47) naczynie do podlewania roślin
- 48) gra i strój maskaradowy
- 49) wesola w tytule kolędy
- 50) urwis, psotnik
- 51) państwo w Oceanii, dawniej ...Zachodnie
- 52) ...ze szpinakiem – z patelni
- 53) symbol tej religii to półksiężyc
- 54) żywioł Igi Świątek

SUDOKU

Uzupełnij diagram, tak aby w każdym rzędzie, w każdej kolumnie i w każdym kwadracie 3 x 3 znalazło się 9 różnych cyfr od 1 do 9.

LATWE

		4		2			5	
			3				6	
		3		6	4	1		9
9						8		
	7	1	4		8		9	
	4	2						
5			1	2				6
	2			9	5	7	4	
		6	8		7	2		5

ŚREDNIE

						5		
2				8				9
7	8				5		3	4
1	2			7				8
5	9			2	6		4	
					9	1		6
4	7				3		9	5
					7			
	3	9		4				

TRUDNE

5		2	9	6				
		1						7
7		4			1		6	
2		6						
		3	2	9				6
	8		4	5				
					9	8		2
						4		
4			8				7	3

PIEKIELNIE TRUDNE

5		2			4			
					7		6	
			9		5			7
1				7	9			
	4							
		6	2					5
4				5	1	6		9
3	8			4				
	5					4		

Rozwiązania sudoku i krzyżówki na s. 64

Prymus regionu – Rumunia

To już wszyscy wiemy – przegraliśmy z Rumunią. Rywalizację o siedzibę Europejskiego Centrum Cyberbezpieczeństwa w Przemysle, Technologii i Badaniach Naukowych.

Centrum to unijna instytucja. O tym, że powstanie, zadecydowano we wrześniu tego roku, a procedurę wyboru siedziby rozpoczęto 28 października. No i natychmiast zgłosiła się Warszawa, premier Morawiecki napisał w tej sprawie list do przywódców państw UE, zachwalając miasto. Pisał, że jest świetnie skomunikowane, że ma lotnicze połączenia z 65 krajami i oferuje znakomitą infrastrukturę, edukację, dobrą służbę zdrowia oraz wiele świetnych ofert pracy.

Oprócz Warszawy o siedzibę agencji zabiegały inne miasta: Bruksela, Monachium, Wilno, Luksemburg, Bukareszt i León w Hiszpanii. Głosowanie nie było dla Polski szczęśliwe, bo Warszawa odpadła już w pierwszej turze, zdobywając dwa głosy (w tym swój). A ostatecznie zwyciężył Bukareszt, otrzymując w finałowej serii 15 głosów na 27 możliwych.

I teraz warto się zastanowić, dlaczego przegraliśmy bój o siedzibę unijnej instytucji, a wygrała Rumunia. Oczywiście opozycja od razu zawołała, że ta bolesna porażka (tylko dwa głosy) to efekt wojny z Unią, którą prowadzi PiS. Że Polski w Unii się nie lubi. Do tego państwa członkowskie podejmowały decyzję w tym samym czasie, kiedy Polska groziła Unii wetem. Poza tym – to już opinia naszych dyplomatów pracujących w Brukseli – Polska nie dość energicznie zabiegała o tę siedzibę. Sam list premiera to naprawdę bardzo mało. Tu potrzebna była szersza akcja.

Innymi słowy, kraj niepopularny, słaba dyplomacja, to nie mogło się udać. Niewątpliwie trudno z tą tezą polemizować. Ale też prawda jest taka, że nawet w dobrych dla Polski czasach szanse na wygranę tego wyścigu mielibyśmy niewielkie. Po prostu Warszawa ma już siedzibę jednej agencji unijnej, Fronteksu, czyli Europejskiej Agencji Straży Granicznej i Przybrzeżnej – więc w takich konkursach ustawiana jest za tymi, którzy nie mają nic.

A dlaczego wygrał Bukareszt? Po części odpowiedzią są dosłownie na dniach opublikowane dane Eurostatu, dotyczące PKB na mieszkańca i poziomu siły nabywczej. Pokazują one, że najszybciej rozwijającym się państwem regionu jest właśnie Rumunia. I jeżeli jeszcze dwa lata temu była sporo za Polską, to już ją dogoniła. Oba kraje notują poziom konsumpcji na mieszkańca (AIC, rzeczywista konsumpcja indywidualna) na poziomie 79% średniej unijnej i w ten sposób przegonili Grecję. A jeszcze trzy lata temu Polska notowała 77% średniej unijnej, a Rumunia – 70%.

Jeżeli już przeglądamy wyniki Eurostatu, warto zauważyć, że poziom indywidualnej konsumpcji w Czechach wynosi 85% średniej unijnej. Natomiast na Węgrzech, które jeszcze 20 lat temu (nie mówiąc o czasach Kádára) należały do najbogatszych w regionie – 67%. Widać więc jak na dłoni, kto się rozwija, a kto zwija.

Widać także na przykładzie głosowania w sprawie Centrum Cyberbezpieczeństwa, że lubi się prymusów i w ogóle tych, którym się udaje i mają dobrą dyplomację.

Attaché



Piękna sceneria i ciepła woda to doskonały sposób na relaks podczas świąt. Rosja, wieś Bobrowka w powiecie tarskim.

PENETRACJE

ZDANIE

PROF. MONIKA PŁATEK,
PRAWNICZKA, UW

Śmiszek mi tłumaczył, że Biedroń na pewno mandat odda. Więcej rozmów na ten temat nie było. To, że Wiosna dostała w 2019 r. dużo mniej głosów, niż mogła, to jest być może rezultat tego, że cała kampania była przygotowywana w zasadzie na trzy osoby: na Roberta Biedronia, na Krzysztofa Śmiszka i na Sylwią Spurek. W kampanii nie mieliśmy żadnego wsparcia, żadnej instrukcji. Każdy musiał pracować na siebie i robić sam. Znow włożyłam w to 1500 zł, bo to jest wszystko, co moge w kampanię włożyć.

FORUM

SWIATŁANA ALEKSI-JEWICZ,
BIAŁORUSKA
PISARKA I DZIENNIKARKA

Łukaszenka nie za bardzo umie sobie poradzić z tymi wszystkimi kobietami, bardzo często wypowiadał się publicznie z pogardą o naszej płci. Dla niego liczy się wyłącznie ten, kto był w armii. Nie docenił siły kobiet, aż doszło do sytuacji, w której nawet w wioskach demonstrowano poparcie dla nich. To kobiety trzymały w ryzach ten kraj po upadku Związku Radzieckiego. Mężczyźni często byli zagubieni, zaczynali pić. One wyjeżdżały z wielkimi torbami do sąsiednich krajów i próbowały handlować. Sieci kontaktów, jakie wówczas powstały, były wyłącznie kobiece.

STYL

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA,
SZEFOWA
FUNDACJI DOMY
WSPÓLNOTY CHLEB ŻYCIA

Świat ma dziury. Te dziury to zło, cierpienie, egoizm, dbanie o własną tylną część ciała. Codziennie trzeba cerować życie od nowa. Nie zrażać się. Dziura po dziurze. To nie muszą być wielkie rzeczy. Warto po prostu widzieć w człowieku, którego spotykamy, brata albo siostrę. Poświęcić mu chwilę, jeśli czujemy, że potrzebuje.

charaktery
magazyn psychologiczny

PROF. HEINZ BUDE,
SOCJOLOG, UNIWERSYTET W KASSEL

Dla silnego, ale zastraszonego indywiduum, które straciło do siebie zaufanie, istnieje dziś tylko jeden ważny przekaz: rozwiązaniem możemy znaleźć wyłącznie wspólnymi siłami, wszak wszyscy inni boją się tak samo jak ty. Politycy nie są w stanie całkowicie uleczyć społecznych obaw. Mogą jedynie zmniejszyć lęk ludzi przed tymi obawami. Taki rodzaj społecznej terapii wydaje się szczególnie ważny, ponieważ krytykę tego niepewnego stanu uprawiają dziś głównie siły prawicowe. Prawica podejmuje temat ochrony przed współczesnymi zagrożeniami i postuluje solidarność, ale wyłącznie w bardzo ekskluzywnej formie, skierowanej zawsze przeciwko „innym”.

Aby język giętki...

IGNACY GOGOLEWSKI
O POGLĄDACH LEWICOWYCH

Wywodzę się z ubogiej rodziny i myślę, że to tamten ustrój, tak dziś potępiany, dał mi szansę osiągnąć to, co osiągnąłem.

EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA
O WDZIĘCZNOŚCI

To jedyne uczucie, z którym nie idzie w parze żadne brzydkie, negatywne nastawienie.

ADAM SZOSTKIEWICZ
O TADEUSZU RYDZYKU

Jeśli przypomina jakąś postać z Ewangelii, to najbardziej kupca w świątyni.

JERZY BRZĘCEK
O ROBERTCIE LEWANDOWSKIM

Rozumiem, że najlepszy napastnik świata może być sfrustrowany po meczu, w którym nie oddaje celnego strzału.

ZIEMOWIT SZCZEREK O LEWICY

Widzę w lewicy takie samo buractwo jak w PiS. I w Kościele, szczególnie polskim.

ALEKSANDER HALL O PiS

To prawica rewolucyjna, populistyczna, która patrzy na dużą część wyborców jak na klientelę do kupienia.

GRAŻYNA SZAPOŁOWSKA O KARIERZE

Dziewczyna z Torunia idzie do szkoły artystycznej, żeby zostać wielką gwiazdą. Gra we wszystkich filmach, dobrych, złych. Każą jej się rozbiierać, to się rozbiiera.

VINCENT ŻUŁAWSKI O OJCU ANDRZEJU

Dla mnie był bardziej jak dziadek, miał już 55 lat, kiedy się urodziłem. Bardziej rozumiał życie, miał większy dystans do wszystkiego.

AGNIESZKA DYGANT
O PREZENECIE POD CHOINKĘ

Marzę o długiej, wygodnej poduszce do spania na boku dla osób mających problemy z kręgosłupem.

AGNIESZKA CEGIELSKA O ZIÓŁKACH

Melisa, rumianek, werbena i lipa to moi najlepsi przyjaciele przed snem.



Zwiewna baletnica swoją gracją umiła przedsięwzięte zakupy w Melbourne.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Nasi bracia mniejsi,
ci bardziej dzicy
i ci udomowieni
– czy przemówią
w tym roku
ludzkim głosem?



ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Nie tak ostro!

Coraz więcej mieszkańców Holandii poważnie rani sobie ręce, przygotowując awokado – alarmują tamtejsi lekarze. Mowa o osobach, które usuwają pestkę tego owocu za pomocą ostrego noża. Bywa, że ześlizguje się on i kałeczy dłonie smakosza, a nawet powoduje poważniejszy uszczerbek na zdrowiu. Często uszkodzone lub nawet przecięte zostają nerwy palców, dlatego niderlandzki związek chirurgów apeluje, by przymierzający się do pałaszowania smaczliwki używali łyżki. Problem nieobcy jest też medykom z innych krajów: w USA liczbę „ofiar awokado” szacuje się na 8 tys. rocznie.

Donald wiedział, nie powiedział

Szef izraelskiego programu bezpieczeństwa kosmicznego w latach 1981-2011, gen. prof. Haim Eshed, potwierdził w wywiadzie dla dziennika „Jedi’ot Acharonot” istnienie inteligentnego życia pozaziemskiego. Zdradził, że Donald Trump ledwo powstrzymał się przed upublicznieniem kontaktów ludzkości z kosmitami (dał się jednak przekonać, że mogłoby to spowodować masową panikę) i że w podziemnej bazie na Marsie rozwijana jest międzygatunkowa współpraca naukowa. Niestety, nie dowiedzieliśmy się najciekawszego – z której planety jest Macierewicz.

Nie dla gwiazd kamasze

Globalny fenomen południowokoreańskiego boysbandu BTS sprawił, że w jego ojczyźnie zmieniono prawo dotyczące powszechnej

ROZWIĄZANIA SUDOKU I KRZYŻÓWKI

S	Z	P	A	D	Z	I	S	T	A	P	K	P	C
Z	I	Z	D	P	L	U	T	O	N	O	W	Y	
K	I	E	R	U	N	E	K	A	L	P	S	M	
L	T	D	E	A	L	E	R	A	F	E	R	A	E
I	Z	Y	D	O	R	O	A	S	P	A	R	A	G
W	Z	K	O	M	N	A	T	A	U	S	D		
O	D	M	I	A	N	A	T	K	A	S	Z	A	L
R	G	P	R	E	Z	E	N	T	Y	U	W		
J	U	T	R	O	K	L	D	G	K	O			
Z	A	K	S	A	M	I	T	R	O	Z	M	I	A
S	Y	G	N	A	L	L	E	K	T	U	R	A	E
N	I	Z	O	B	A	R	A	S	I	K	O	R	K
D	A	N	E	D	S	N	E	F	O				
O	W	Y	S	K	O	K	I	N	T	E	R	N	A
M	O	W	N	I	C	A	M	A	J	S	T	E	R
I	I	S	Z	M	A	L	L	N	E	R	W	Y	
N	A	N	D	U	O	E	G	Z	A	M	I	N	K
O	A	S	K	A	U	T	M	S	T	R	A	Z	

ŁATWE

6	1	4	7	2	9	3	5	8
2	5	9	3	8	1	4	6	7
7	8	3	5	6	4	1	2	9
9	6	5	2	1	3	8	7	4
3	7	1	4	5	8	6	9	2
8	4	2	9	7	6	5	3	1
5	3	7	1	4	2	9	8	6
1	2	8	6	9	5	7	4	3
4	9	6	8	3	7	2	1	5

ŚREDNIE

9	6	4	7	3	2	5	8	1
2	5	3	4	8	1	6	7	9
7	8	1	9	6	5	2	3	4
1	2	6	3	7	4	9	5	8
5	9	8	1	2	6	3	4	7
3	4	7	8	5	9	1	2	6
4	7	2	6	1	3	8	9	5
8	1	5	2	9	7	4	6	3
6	3	9	5	4	8	7	1	2

TRUDNE

5	3	2	9	6	7	1	8	4
8	6	1	5	2	4	9	3	7
7	9	4	3	8	1	2	6	5
2	4	6	1	7	3	5	9	8
1	5	3	2	9	8	7	4	6
9	8	7	4	5	6	3	2	1
3	7	5	6	4	9	8	1	2
6	1	8	7	3	2	4	5	9
4	2	9	8	1	5	6	7	3

PIEKIELNIE TRUDNE

5	7	2	1	6	4	3	9	8
9	1	3	8	2	7	5	6	4
8	6	4	9	3	5	2	1	7
1	3	5	4	7	9	8	2	6
2	4	8	5	1	6	9	7	3
7	9	6	2	8	3	1	4	5
4	2	7	3	5	1	6	8	9
3	8	9	6	4	2	7	5	1
6	5	1	7	9	8	4	3	2



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dziurka, Mateusz Mazini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin),
Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pynzar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszki, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPLP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



służby wojskowej. Od teraz uniknąć poboru mogą nie tylko uznani artyści, sportowcy i muzycy, ale również ci, którzy „wyróżniają się w kulturze popularnej”. Przypomnijmy: w Korei Południowej (prawie) każdy zdrowy mężczyzna musi spędzić w koszarach 18 miesięcy. Gdy los ten miał spotkać jednego z członków zespołu, Zgromadzenie Narodowe pośpiesznie znowelizowało przepisy. Wypada przy tym wspomnieć, że idole nastolatków deklarowali gotowość do wypełnienia obywatelskiej powinności.

Dzień dobry, ja w sprawie rachunku... sumienia

Penitencjariusz większy Stolicy Apostolskiej, kard. Mauro Piacenza, zabrał głos w sprawie możliwości spowiedzi przez telefon. Wyjaśnił, że będzie ona nieważna, gdyż w jej przypadku „brakuje rzeczywistej obecności penitenta i nie dochodzi do przekazania słowa rozgrzeszenia, są tylko wibracje elektryczne, które odtwarzają ludzkie słowa”. Hierarcha dodał, że oglądanie mszy w telewizji nie zastąpi wizyty w kościele. „Oczywiście jeśli ktoś nie ma możliwości uczestnictwa w liturgii i bierze w niej udział za pośrednictwem telewizji, dokonuje aktu pobożnego i duchowo pożytecznego”, podkreślił.



FOT. WWW.WIOCHA.PL, OGLĄDAM WIADOMOŚCI BO NIE STAĆ MNIE NA DOPALACZE,
FABRIZIO BIGNOTTI/SOLENT NEWS/EAST NEWS, WRH PHOTOGRAPHY/SOLENT NEWS/EAST NEWS

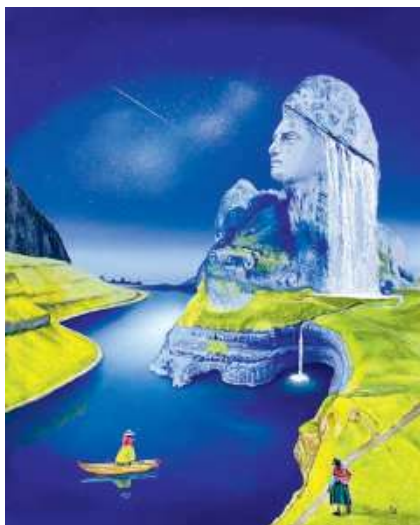
Polacy chętnie kupowali na aukcjach Młodej Sztuki pod koniec roku. Pokazujemy tylko namiastkę z obfitej oferty twórców naszych czasów.



Katarzyna Chmiel – Forma fizyczna
– Kobieta o gołęmbim sercu, 2020, sprzedane za 4000 zł, Sopocki Dom Aukcyjny



Malwina de Brade – Samowar, 2020, sprzedane za 3000 zł, 101 Projekt – Galeria Sztuki Współczesnej



Paulina Zalewska – Statua wolności, 2020, sprzedane za 6500 zł, Rynek Sztuki



Zofia Błażko – Kasia, 2018, sprzedany za 9500 zł, Art in House Dom Aukcyjny



Sandra Arabska
– Akt, 2017, sprzedane za 24 000 zł, Sopocki Dom Aukcyjny

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wspólne czytanie jest naukowo potwierdzoną
metodą na zapewnienie dziecku rozwoju
emocjonalnego, społecznego i poznawczego.

Dołącz do akcji #ZnajdźCzasNaCzytanie!

  @FundacjaPowszechnegoCzytania

www.fpc.org.pl



6 minut czytania obniża
poziom stresu o **60%**

#ZnajdźCzasNaCzytanie



Które marzenie wybierzesz?



Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl